KAMIENICA W DŁUGIM RYNKU

POWIEŚĆ

przez

J. I. Kraszewskiego

NAKŁADEM [1868]

Ktokolwiek zwiédzał Gdańsk i jego okolice, — przyznać musi, że mało miast w Europie tak średniowieczny na sobie zatrzymało charakter, nie wyrzekając się wszakże tego, czém żyje teraźniejszość i zapewnia się przyszłość. Miasta jak ludzie mają właściwą fizyognomią, a śmiésznémby było utrzymywać, że ona jest dziełem przypadku i nie ma żadnego głębszego znaczenia. Owszem, jak w człowieku tak w mieście rysy ogólne twarzy dla fizyognomisty mówią wiele... tak wiele, iż z nich przeszłość niemal całą, teraźniejszość w części, a przyszłość choć potroszę odczytać można. Gdańsk należy do tych szczęśliwych staruszków których poczciwy, długi, pracowity żywot wypiętnował się na licu; a mimo wieku jest i krasa na policzkach i życie w oczach zmarszczkami okrytych. Jak z pompejańskich gruzów, tak z tych szczytów XVII i XVIII wieku, z gotyckich budowli XIII i XIV, słychać przeszłość opowiadającą dzieje nadmorskiéj osady, miasta, grodu, portu i targowicy... Na każdym kroku spotyka podróżny jakąś niezbyt zawikłaną zagadkę którą sobie z przyjemnością, nie łamiąc

1

bardzo głowy, wysyllabizowuje... Nie szkodzi to téż nic Gdańskowi że jest i dla artysty pełnym wzorów, motywów, tematów do ślicznych obrazków.

A któż policzy ile w tych ścianach, gankach, na poddaszach, po uliczkach i zakątach kryje się podań, powieści, dramatów i obłamków żywota ludzkiego? Na wsi spokojnéj, w miasteczku zamieszkaném przez emerytów, procentowiczów i rozmaite kalectwa odpoczywające po burzach żywota... formuła życia i historya ludzi są niezmiernie proste. Urodził się, łotrował trochę, pił, hulał, jadł, ożenił się, zruinował i... Bogu ducha oddał... (jeśli tylko Bogu). W mieście takiém jak Gdańsk gdzie żyły złota jak w Kalifornii jednego dnia otwiérały się szczęśliwym, a drugiego wysychały do szczętu... gdzie pracą od szeląga nabywały się majątki, a upojeniem zbogacenia traciły, gdzie wczorajszy ulicznik mógł być niedługo kapitalistą, a kapitalista nędzarzem... pojąć łatwo co piéniądz, ten wszechmogący pan świata... figlów płatał, dramatów rozwiązywał niespodzianie, i ile dawał szczęścia, co wywoływał wstydu... i boleści.

Totéż zbliżywszy się do dawnych mieszkańców pomorskiego grodu... można się bez liku nasłuchać opowiadań, tradycyj... stokroć więcéj zajmujących w swéj prostocie, niżeli sztuczne owe powieści nasze, które my z taką biédą i mozołem wymyślamy dla rozrywki i pożytku czytelników naszych.

Brzydką to jest rzeczą mówić o sobie i zaczynać opowiadanie od rachunków sumienia, ale czasem się tak złoży iż tego uniknąć niepodobna. Nie wahamy się wstrzymać łaskawych naszych czytelników (!!) wyznaniem im na ucho i pod najuroczystszém zaklęciem, że—nigdy powieści nie tworzym z własnéj fantazyi. Mocno przekonani, iż rzeczywistość tak jest bogatą, iż my się z nią mierzyć wcale nie możemy, zwykliśmy po prostu okradać Pana Boga, którego to nie zuboży, i posługiwać się tém co nam spadnie gotowém z życia. Ktoby się uskarżał na brak zasobów do powieści, ten chyba nie umiałby użyć tego niezmiernego bogactwa materyałów, które go otacza i wala się pod stopami. Na nieszczęście z tych kopalni marmurów my potém robiemy często... gruz, dużo pyłu, obłamków... a rzadko kiedy pomnikowe dzieło... Ale folgujcie państwo słabości ludzkiéj, i—przebaczcie!!

Najzręczniejszym z powieścio-pisarzy będzie—zawsze ten, który jak najmniéj... tworzy, bałamuci i kłamie; najszczęśliwszym za to kto podsłuchuje i powtarza wiernie.

Lękam się aby ktoś z pośpiechu, przy, uchowaj Boże, rozdrażnieniu nerwowém, lub usposobieniu żółciowém—nie wywnioskował sobie z tego że jesteśmy za... realizmem czystym i nie znamy a znać nie chcemy warunków sztuki... tworzenia... i piękności

ideału! A! ideały... ideały tworzy téż i rzeczywistość, i warunki kreacyi zna ona przynajmniéj tak dobrze jak estetycy wykładający teorye piękna po uniwersytetach. Nie wszystko jest piękném w naturze... ale natura w chwilach szczęśliwych jest doprawdy tak piękną... jak nigdy nie bywa sztuka! Sztuka tylko tę znikomą chwilę... ten błysk ducha niebieski... to ukazanie się ideału... wciela, chwyta i pozwala nam dłużéj się wrażeniem jego napawać... Wierzcie mi państwo... twórczość człowieka... jest zapożyczoną od Boga... i bez pierwowzoru... ziarna piasku z atomów utworzyćby nie umiała... My się napawamy... Bożą ideą i jéj blaskiem... a jak mniéj więcéj czyste lub mętne zwierciadełka... odsyłamy to światło odbite...

Cały ten wstęp (może trochę nudny...?) moglibyśmy zastąpić kilką wyrazami, oświadczając, że do powieści naszéj życie dostarczyło wątku... ale chcieliśmy się trochę wywnętrzyć i trochę pogawędzić. Nie jest to grzéch tak wielki, by przebaczonym być nie mógł. A za wyznaniem piérwszém idzie téż drugie znowu, iż w osobach wchodzących do opowiadania nie należy szukać i odgadywać... po imieniu żywych albo zmarłych... Warunkiem jest dla nas byśmy wziętą z życia prawdę tak pięknie ubrać potrafili i przestroić, aby w niéj nikt

ani siebie, ani bliźniego nie poznał. Smutną byłoby rzeczą żywić się tak surowém mięsem, lub co gorzéj... zwłokami nieboszczyków.

Starożytni mistrzowie malując śmierć człowieka, wyobrazili ją bardzo kunsztownie. Z ust umiérającego wymykała się duszyczka zwierzęca, a z ust téj dopiéro... duch ludzki. Ten malutéczki człowieczek... jest właśnie tem co sztuka z rzeczywistości chwycić ma prawo... Nie skostniałego ona maluje trupa, ale tę skrzydlatą jego duszyczkę, taką jaką ją życie uczyniło... brzydką lub anielsko piękną.

Na tém koniec spowiedzi i gawędzie—wracamy do Gdańska...

Niedaleko od Artushofu i wspaniałego ratusza na który składały się wieki, budując się bardzo figlarnie, bo nawet z pomocą pożarów przyczyniających się do coraz piękniejszego i bogatszego wznoszenia gmachów... które niszczyły pozornie, by z nią młode feniksy powstały—była (i jest) kamienica świadcząca iż jéj właściciele należéć musieli do najmajętniejszych rodzin miasta, gdzie niemal wszyscy byli zamożni. Sama powierzchowność domu wzbudzała uszanowanie; rozmiar jak na Gdańsk, był znaczny, bo gdy inne fronty często trzema i dwoma i jednėm oknem patrzą w ulicę, ten o któ-

rym mówimy, liczył ich aż pięć i to... dosyć szeroko rozstawionych. Ganek obyczajem tutejszym wybiegał prawie do środka drogi, jakby gości zapraszał — a był to portyk choć bez kolumn i pokrycia... ozdobny, wytworny, wyrzeźbiony, wystrojony—odświętny... Dwie chimery leżały z dwóch stron z rozdartemi paszczami, nastawionemi skrzydły i fantastycznemi zwojami, nierozwikłanej budowy na którą się składały zwierzęta, ptaki, reminiscenecye człowieka i węża... Artysta sobie pozwolił tworzyć je, nie pytając o pozwolenie ani naturalistów, ani mytologów. Istoty te widocznie wyrosły nad brzegiem Baltyku, dla pociechy i dumy właściciela, który mógł takich dwóch niebywałych stróżów postawić sobie przy wschodkach... Oprócz nich stały i dwie ogromne kule na słupkach... a ściany ganku przyozdabiały płaskorzeźby, obrazy przedstawiające handel, przypominające podróże, pełne cudów światy zamorskie... i cnoty potrzebne tym którzy pośredniczyli pomiędzy domem a obczyzną... Po wschodach otoczonych temi rzeźbami, wstępowało się na podniesiony ganek, cały wyłożony posadzką kamienną... przepyszne drzwi z drzewa najkunsztowniej znowu wydzierzganego dłutem i stolarszczyzną powleczonego... wiodły do wnętrza kamienicy. Ale zgrzészyłby ktoby się pośpieszył wnijść nie obejrzawszy na wspaniały szczyt domostwa...

W końcu XVII wieku facyata ze szczéro gotyckiéj przeistoczoną została wytwornie na nowszego smaku budowę. Na ostrym przyczółku stał Archanioł Michał z rozpiętemi skrzydłami, podniesionym mieczem płomienistym i tarczą z napisem: *Quit ut Deus?* Kto jak Bóg? (Wiadomo że to jest hebrajskie znaczenie wyrazu *Michael*...) Poniżéj między oknami, na ścianach, gdziekolwiek gzéms i wyżłobienie zostawiło próżnię, XVII wieku architekt nasiał kwiatów, nawieszał wieńców, nasadził owoców, narzucał aniołków, nastawił karyatyd pełnych fantazyi. Zdawało się iż mu szło o to aby nie posądzono właściciela o skąpstwo a jego o brak pomysłów... Wszystko to było świéżo wykute z kamienia, i uczciwie narysowane, z tym wdziękiem epoki, który choć często chce nadto... rzadko téż nie wywoła wrażenia. Pomiędzy oknami piérwszego a drugiego piętra, rozścielały się całe obrazy biblijne... historya patryarchy Jakuba, wyżéj w mniejszych odpowiadających im medalyonach, a po nad trzecim już wykwitały liściaste tylko ozdoby... Było tego wszystkiego może nieco zawiele, zaobficie, ale razem wzięta facyata uderzała wszakże właściwym stylem... śmiało użytym i wykonanym szczęśliwie.

Nie jeden się pyta przechodząc ulicę z wązkiemi kamieniczkami co téż domy takie zawiérać mogą, które ledwie parę okienek mają na czole? Aże-

by sobie na pytanie to odpowiedzićć, potrzeba wnijść, obejrzéć podwórze i zrozumiéć ekonomią wewnętrzną budowli, które bokiem stoją po większéj części do ulicy, a ciągną się w głąb podwórcami, skrzydły i rozrastają tajemniczo... Nasza kamienica była także téj natury i front jéj o pięciu oknach, krył obszerne bardzo domostwo wyciągnięte ku drugiéj bocznéj uliczce, na którą znowu patrzyło inną twarzą, dosyć ozdobną, choć może nie tak jak główna wytworną. Nie jedna rodzina ale kilka pobłogosławionych przez Boga, mogły się wybornie w tych rozległych zabudowaniach pomieścić.

Wytłumaczy nas dalszy ciąg opowiadania z tego na pozór zbytniego zajęcia domem, który zdaje się grać piérwszą rolę... i w istocie ma niepoślednią w historyi rodziny, któréj losy treść téj powieści stanowią. Prosimy więc o cierpliwość czytelników i nie zapuszczając się na ten raz wgłąb kamienicy, zwrócimy się do ludzi którzy ją zamieszkiwali...

W piérwszych latach XVIII wieku, (historya nasza musi sięgnąć tak daleko) gdy kamienica o któréj mowa, była jeszcze własnością spadkobierców po zmarłym kupcu Stenzlu, a nie wyglądała wcale tak pięknie—przybył do Gdańska średniego wieku

mężczyzna z kilkoletniém chłopięciem. Był on tu całkiem obcy; zamieszkał w najętym dworku na przedmieściu i z początku żył bardzo samotnie. Mówiono że był szlachcicem, że posiadał znaczną majętność, że wypadki jakieś nieszczęśliwe wygnały go z kraju i zmusiły szukać przytułku daleko. Zwano przybysza Janem Paparoną. Nie rychło zawiązał on tu stosunki, znalazł spólnika do handlu i oddał się nowemu zawodowi z całą gorliwością świéżego jeszcze człowieka, który chce i potrzebuje się dorabiać. Z małym, jak się zdawało kapitałem, Paparona łączył niezmierną energią i pracowitość. Wychowanie dziecka, które prawie niestannie miał przy sobie, i zajęcia handlowe pochłaniały wszystek czas jego. Szczęściem trafił na uczciwego i roztropnego, oswojonego z miejscowemi stosunkami wspólnika, zdziwił go zdolnościami i niezmordowaną pracą, a Pan Bóg tak im poszczęścił, iż wkrótce kapitał ich urósł znacznie. Paparona otrzymał prawo miejskie, rozwiązał współkę i poszedł daléj o swéj sile. Nie łatwo to nowemu człowiekowi, przybyszowi nieznanemu wcisnąć się w społeczeństwo obce, zyskać zaufanie, wyrobić sobie stanowisko wśród starszych współzawodników miejscowych. Paparona znać od razu przygotowanym był do walki, do znoszenia nieprzyjemności nieuniknionych, z zimną krwią nastawiał im czoła, szedł swoją drogą z rozwagą chłodną, z wytrwaniem upartém, niezrażając się

niczém i.... zwyciężył. Pokonał on to co mu stawało na przeszkodzie, prawością charakteru więcéj niż umiejętném zabieganiem, pracą, bystrém pojęciem natury tego handlu, do którego przyszedł z razu nowym, obcym, a w końcu stał się dla wszystkich wyrocznią... Nadzwyczajna oszczędność, życie skromne, zdrowe zahartowane i twarde, dozwoliły mu wystarczyć wszystkiemu—zajmować się czynnie handlem, spekulować, i pilnie jąć się wychowania dziecka, które kochał z czułością niezmierną i dla którego zdawał się jedynie żelazne podejmować trudy... Dla siebie oszczędny aż do skąpstwa, dlatego jedynego dziécięcia był niemal rozrzutnym. Najlepsi nauczyciele, najwyszukańsze środki ułatwiające naukę,—najdroższe rozrywki nic go dla miłego Bartoszka nie kosztowały... Celem życia było to rosnące ślicznie dziécię, które się wszakże nie zdawało przeznaczoném na wzięcie w spadku ojcowskiego handlu i stanowiska... Majętność Paparony, która nie miała być znaczną gdy do Gdańska przybył... urosła do tak wysokich rozmiarów, iż wkrótce nabył owę kamianicę po Stenzlach na najgłówniejszéj ulicy, oprócz tego wziął w jakimś długu dworek z gruntem na pół drogi ku Oliwie, położony wśród wzgórków... i liczono go na miliony. Być może iż nie cała ta fortuna byla owocem pracy i oszczędności, gdyż przybysz kilka razy wyjeżdżał tajemniczo i mówiono, domyśla-

no się przynajmniéj, że znaczne sumy z sobą przywoził.

Wśród tych zajęć pan Jan Paparona pozostał czém był w początkach, człowiekiem życia skromnego, zamkniętym w sobie, milczącym, poważnym a nieznużonym w pracy. Nawet ci co się doń dosyć poufale zbliżali, jego piérwszy wspólnik, ludzie codzień się oń ociérający, nic nie wiedzieli z jego przeszłości—pokryta ona była jakąś tajemnicą wiele dającą do myślenia. Nie śmiano jéj odsłaniać, dopytując go, badając, gdyż pan Jan widocznie o przeszłości mówić nie lubił... Cóś w niéj się kryło bolesnego... Zerwał on ze swoim światem, stosunkami, krajem i wyrobił sobie nowe, które synowi ukochanemu chciał w spadku zostawić.

Ci co osobiście znali Paparonę, mieli dlań szacunek połączony z pewną obawą... Skromny kupiec krył wsobie utajonego butnego niegdyś wojaka, który wejrzeniem i postawą chwilowo się zdradzał. Bywało że gdy go co oburzyło, rozprostował się, podniósł czoło, uderzył ręką po boku jakby szukał—ale wnet przypomnienie położenia, stanowiska... przywracało mu zimną, zrezygnowaną postawę, człowieka co się wyrzekł uczuć i namiętności niewłaściwych stanowi nowemu... Uśmiéchał się gorżko, kłaniał grzecznie, spuszczał oczy i ciągnął taczkę dorobkowicza.

Dziécię z takiém wychowane staraniem i miłością jakby mu ojciec chciał dać zapomniéć, że nigdy matki nie znało—wyrosło na podziw piękne, bujne, i rozkołysane pieszczotami w kolebce, ale ci co znali Paparonę i jego syna pytali się wduchu siebie, do czego je przysposobiono i przeznaczono. Wistocie trudno było odgadnąć. Ojciec przyjął miejskie nietylko prawo ale obyczaje i sposób życia, nie zdawało się więc ażeby syna chciał, dorobiwszy się majętności, wrócić stosunkom zerwanym i światu obcemu. Kupno kamienicy w Gdańsku i cały skład interesów wymagały zajmowania się czynnego handlem, który domowi temu szedł na podziw szczęśliwie. Cytowano Paparonę jako dowód co może uczciwość, praca i rozum, nawet w człowieku nieoswojonym z zawodem, któremu oddał się w późniejszym wieku. Nikt nie przypuszczał aby dom mógł być zwinięty. Tymczasem wychowanie i zamiłowanie młodego Bartoszka wcale w nim kupca nie obiecywały. Byłto świetnie wychowany chłopak, mówiący doskonale kilku językami, jeżdżący konno wybornie, lubiący fechtować się, tańcujący prześlicznie, malujący jak artysta i ze szczególném zamiłowaniem dla sztuki, która zdawała się być prawie namiętnością jego. Ojciec czy nie śmiał czy nie umiał przynaglać go do pilniejszego zajęcia nad księgami kupieckiemi i rachunkami. Wchodziło to wprawdzie w zakres jego zatrudnień, sta-

ło na programie, ale Bartoszek przychodził rzadko do kantoru, siadł za stół ażeby rysować szkice na białym papierze, ojciec uśmiéchając się podziwiał jego talent, całował w śliczne czoło, i po krótkiéj gawędce, nadchodząca pora przejażdżki lub czytania, przerywała nudnie i dla formy tylko zatrudnienia przesiedzianą godzinę.

Przyjaciele Paparony robili mu uwagę nieraz iż syna zbyt światowym, nadto pieszczonym wychowywał sposobem; odpowiadał im że mu dosyć zostawi majątku aby swym fantazyom mógł dogodzić a co się tyczy handlu to raz urządzone i w tryb pewien wprowadzone interesa, pójść muszą nawet gdyby ich swą pracą nie odżywiał. Potrząsali na to głowami ludzie doświadczeni, ale trudno się było sprzeczać, a ukazywać niebezpieczeństwo zapóźno. Ojciec miał tak widoczną słabość dla syna, iż mu nic odmówić nie mógł. Dorastał właśnie młody człowiek, gdy zacny Jan, który pracował do ostatniéj niemal godziny życia z zajadłością i pasyą nad powiększaniem już i tak kolosalnéj fortuny, zaziębiwszy się w szpichrzach zbożowych wiosenną porą... zachorował i umarł... Czując zbliżający się zgon, przywołał syna, zamknął się z nim na godzin kilka, mówiono że mu familijne miał powierzyć tajemnice, oddać jakieś papiéry... Bartosz wyszedł spłakany i smutny. Ojciec nazajutrz nie żył.

Po śmierci zacnego Paparony wykonana likwidacya jego majątku nieruchomego i ruchomego, kapitałów, statków, należności w domach bankowych, wykazała kilka milionów talarów czystego mienia, co na owe czasy było bogactwem ogromném i stawiło Bartosza na czele niemal piéniężnéj arystokracyi miasta Gdańska.

Ci którzy domyślali się wcześnie bardzo znacznéj fortuny, nie rachowali wszakże ani na połowę... zdumiało to wszystkich... Młody Paparona oświadczył zaraz, iż nadal interesa ojcowskie prowadzić będzie, zatrzymał w biórze pomocników, zachował stary porządek, słowem nie okazał wcale chęci zmiany stanu i zajęcia. Ale ze śmiercią pana Jana zmieniło się wszystko samą rzeczy naturą, w kilka miesięcy już stagnacya czuć się dawała... nie było tego co dawał życie i wléwał ducha. Klienci domu nie znajdowali nigdy prawie młodego Paparony tam gdzieby był powinien osobiście się stawić... rozmówić się z nim o interesach było trudno, zdawano wszystko na piérwszego komisanta... on sam ledwie miał wyobrażenie o handlu i toku spraw.

Wprawdzie zapraszał zato na wyborne obiady i śniadania, przyjmował z gościnnością wystawną, grzecznym był po pańsku, miłym niezmiernie... ale to wszystko nie obudzało zaufania. Interesa szły zrazu tym popędem jaki im nadał ojciec, potém

zaczęły wolniejszym już posuwać się trybem, opieszaléj... czynniejsi wiele z tego skorzystali, fortuna nie cierpiała jeszcze, ale już o powiększaniu jéj jak za nieboszczyka co roku, i mowy być nie mogło.

Tymczasem przyszły dla pana Bartłomieja lata młodości, w których życie się uśmiécha wszelkiemi szczęścia obietnicami... Bogaty, piękny, wychowany po paniczowsku wszedł w towarzystwa, kobiéty go ciągnęły, o interesach ani wiedzićć nie chciał. Roztargniony przychodził czasem do biura, przemówił słów kilka do starego swego poczciwego komisanta, pożartował z młodszymi, grzecznie się kłaniał, i uciekał. Starzy przyjaciele domu z tego wszystkiego nie rokowali nic dobrego. We wszelkich podobnego rodzaju przedsiębierstwach co nie idzie naprzód, cofać się musi i upadać. Tu jeśli dotąd nie było upadku widocznego, była dotykalna stagnacya, interesów brakło... Ducha przedsiębierczego nie miał pan Bartłomiéj wcale a w interesach tego uporu i chłodnéj zaciętości któréj one wymagają; najmniejsza rzecz go zrażała, cofał się, ustępował i bardzo po pańsku współzawodnikom schodził z drogi. Śmiano się zeń po cichu, ale szlachetność charakteru, niezmierna usłużność, czyniły go miłym ludziom.

Przebawiwszy lat kilka na niedoszłych różnych miłostkach, pan Bartłomiéj nareszcie trafił bardzo szczęśliwie... żeniąc się z córką bogatego kupca i

mieszczanina Helmuth'a... Była to najświetniejsza partya w Gdańsku, najpiękniejsza panna, największy posag i najstarsza firma niepokalana!!

Duch ojca z zagrobu jeszcze widocznie czuwał nad ukochaném dziécięciem... małżeństwa tego zazdrościli mu wszyscy. W istocie panna Dorota była najmilszą istotą w świecie, pieszczoną u ojca i jedyną jego spadkobiercżynią. Ślub ten kojarzył nietylko ludzi dwoje ale dwa domy i dwie potężne fortuny. Stary Helmuth był zabiegły, przebiegły, czynny, przyszłość obiecywała się świetną... I szczęście téż jaśniéć musiało nad domem, bo młodzi ludzie się kochali... panna była idealnie piękną... jakby wyhodowaną w szklarni, delikatną, świéżą, a nieznającą nic w świecie prócz niewinnych jego rozkoszy... Bartoszek zakochany w niéj na zabój. Wesele odbyło się z tym przepychem tradycyjnym mieszczan bogatych, którzy zwykli byli w podobnych razach występować świetnie i całe niemal miasto zapraszać na gody... Orszak panny młodéj, występ pana młodego, ognie sztuczne, teatr domowy, maskarada, bal, stoły na kilkaset osób, beczki wina dla ludu w ulicach... epitalamy drukowane na atłasie... wieńce, łuki tryumfalne... wszystko to zajmowało miasto przez parę tygodni. Paparona dom wspaniale na nowo na przyjęcie swéj oblu-

bienicy urządził... Stary Helmuth trochę skąpy, tą razą powiedział—niczego nie żałować—i zdumił tych co go znali...

Obudziło to trochę zazdrości w ludziach, dało powód do różnych plotek i ukąszeń, ale najzłośliwsi zaprzeczyć nie mogli, iż dawno Gdańsk nie widział nic podobnego. Bartoszek szczęśliwy, rozjaśniony, poczuł życie nowe. I on i żona mieli upopobanie i gust wykwintny, zaraz więc po ożenieniu najpiérwszą rzeczą dla obojga było dom stary odpowiednio do myśli swéj urządzić. Sprowadzono rzeźbiarzy, rysownika, malarzy, zamówiono najlepszych rzemieślników, nie wahano się marmury kupić we Włoszech i restauracyą poczęto na taką skalę, iż miliony pochłonąć mogła. Stary Helmuth stanął w początku oporem, robił uwagi, usiłował odwieść od tak kosztownego przedsięwzięcia, ale córka umiała go sobie pozyskać i zamknąć mu usta. W parę lat późniéj śmierć mu je téż zawarła na wieki. Bez przeszkody oboje państwo oddali się ulubionemu marzeniu, uczynienia z domu tego pieścidełka któreby było cudem i podziwem dla miasta. Oprócz tego grunt i liche domostwo na pół drogi do Oliwy na wzgórzach zamierzono przeistoczyć na letnią willę i park prawdziwie pański. Dorota chciała aby się zwała willą Bartolomea, on

pragnął jéj dać imie Dorotei, stanęło przy piérwszém i równocześnie z przebudowywaniem kamienicy rozpoczęli artyści plany budowli, parku, fontan które piękne wiejskie schronienie przyozdobić miały. Roboty pędzone przez oboje państwo, którzy się niemi zajmowali namiętnie, szły szybko ale pochłaniały summy ogromne... Urodzenie syna... na chwilę tylko oderwało od nich...

W rok po przyjściu jego na świat, piękna Dosia zachorowała ze zbytku może szczęścia, które tak umié zabijać czasem zdradliwie jak niedola, a boleści żywią i krzepią... Zaczęło się to od małego kaszelku, od zbytnich rumieńców na ślicznéj twarzy białéj jakby wypalonych, zdawało się to niczém, potém nastąpiło osłabienie, niémoc, niepokój... lekarze cicho mówili o suchotach, radzili podróż jak zwykle, gdy się chorego chcą pozbyć. Pan Bartłomiéj wybrał się z żoną na południe, ale śliczna Dosia niedojechawszy daléj jak na brzeg Renu, zgasła na ramieniu męża, złożywszy główkę do snu... Rozpacz biédnego człowieka była niewysłowioną, żal straszny... Za ciałem ubóstwionéj istoty szedł biédny pieszo, wiodąc je do tego rodzinnego kąta... gdzie już szczęścia znaléść nie miał nigdy...

Jakiś czas po tym wypadku który go złamał i nagle do ciężkich życia zapasów sprowadził, pan Bartłomiéj był zamknięty, milczący, obojętny na

wszystko. Nawet dziécię nie pocieszało go, unikał małego Albertka, który mu nadto przypominał żonę, nadzieje, czasy błogie, a niepowrotne... W rok po zgonie Doroty, który był przerwał i zwolnił prace rozpoczęte około kamienicy i willi, rozbudziła się znowu w Paparonie gorączkowa namiętność owa do budowli... Powodem może było to właśnie iż się niemi nieboszczka żywo także zajmowała, chciał myśl jéj przywieść do skutku. Z nową gorliwością rzucił się do architektury, malarstwa, rzeźby i sam niemal stał się artystą... Nie dziwiono, się wcale, że w tém szukał roztargnienia, zajęcia, upojenia, aby o srogim żalu swym zapomniéć. Ale ten towarzyszył mu wszędzie, był szczérym i głębokim i nie ustał do zgonu.

Może szał artystyczny, czy inne jakie powody odciągnęły pana Bartłomieja od troskliwego zajęcia się losem dziecka, które chowało się szczęśliwie, zdrowo, ale w ręku obcych i pod wpływem cudzym. Ojciec z dziwną obojętnością i surowością nawet się z niém obchodził. Sam rozpieszczony, może z pewną myślą surowiéj chciał wyhodować Alberta. Niezaniedbywano nic co do wykształcenia jego przyczyniać się mogło, ale Paparona skierował nauki ku przyszłemu zawodowi do hadlu, do przemysłu i rzeczywistości. Jakby umyślnie unikano

wszystkiego coby w chłopięciu ojcowskie zamiłowanie w sztukach obudzić mogło.

Rósł tak na uboczu sierota ponuro, smutno i te piérwsze lata życia, wpływ na jego charakter wywarły stanowczy. Niepodobny do ojca i matki, dosyć pospolitych rysów twarzy, przypominających dziwnie dziada Helmuth'a Albert od dziecka tak począł być skąpym, iż go za fenomen w swym rodzaju uważano. Téj namiętności nikt nie myślał hamować, rosła więc z nim i zwiększała się jakby na przekorę rozrzutności ojcowskiéj. Miliony starego Paparony i Helmuth'a szły na ozdabianie willi i domu, a mały Albertek ciułał już miedziaki i współuczniom wypożyczał je—na procenta...

Opatrzność może chciała dom ocalić w ten sposób od zupełnego upadku, gdyż ruina mu groziła zarówno przez nieopatrzność pana Bartłomieja, jak zaniedbanie interesów. Dom widocznie chylił się, chwiał, kapitały wyczerpywały, a gdy na to uwagę Paparony zwracano, ruszał niedowierzająco ramionami. Milczał, odwracał się, nie chciał słuchać, nie umiał radzić, a nadewszystko powstrzymać szalonych wydatków. Dom którego zewnętrzną postać nakréśliliśmy w początku opowiadania, powstał staraniem p. Bartłomieja: podziwiali go wszyscy, ukazywano go obcym jako osobliwość i skarby miasta, ale gdy już był na ukończeniu, a willa Bartolomea rozpościerała się wśród zieleni i wodotry-

sków... przyszły tak ciężkie czasy dla miasta, dla kraju, a szczególniéj dla domu Paparonów, iż wszystko potrzeba było zawiesić... Nie wiele téż do ukończenia pozostawało...

Pan Bartłomiéj postarzał w tém życiu, syn jego podrósł i skończywszy szkoły, usiadł od razu za kantorem u ojca... ale tu zajmował podrzędne stanowisko jakby komisanta tylko... i spełniał je z bierną obojętnością. Ojciec i syn widywali się codzień, ale stosunki ich były więcéj niż chłodne, dostrzegano w nich prawie niechęć dziecka dla rodzica... Pan Bartłomiéj obchodził się téż z synem jakby go za nierównego sobie inteligencyą uważał, mówił z nim rzadko, unikał wywnętrzeń, zbywał krótko i sucho... Już za życia ojca z pewném zajęciem i ciekawością rozpowiadano sobie o przyszłym dziedzicu domu. Albert w istocie niepospolitym był młodzieńcem, dojrzałym przedwcześnie, zimnym, wyrachowanym, oszczędnym do śmiészności, obojętnym dla ludzi, zamkniętym w sobie. Z pensyjki jaką mu dawał ojciec, z pomocą, uboczną spekulacyi, wiadomo było że sobie już stworzył kapitalik dosyć znaczny, którym obracał bardzo zręcznie. Tak gdy z jednéj strony sumy szalone sypały się na rozrywkę artystyczną pana Bartłomieja, na marmury, alabastry, bronzy, obrazy i

najdziwniejsze fantazye, gdy w willi Bartolomea sprowadzanemi zdala konchami wyściełano pieczary i groty, a ze skał przywożonych statkami wznoszono góry sztuczne... młody Albert oszczędzając się na jadle i napoju, na sukni, na najdrobniejszych rzeczach, rozpoczynał swą opatrznościową jakby misyą dźwigania zachwianego domu. Dom ten który przez połączenie z Helmuthowskim był najznaczniejszym w Gdańsku i rozporządzał kapitałami niezmiernemi, a kredyt miał na europejskich placach nieograniczony i wiarę, w istocie został przez nieopatrzną fantazyą p. Bartłomieja przywiedziony niemal do upadku. Nie było żadnéj rachuby w wydatkach na budowy kosztowne. Zapasy się wyczerpywały, wiara zachwiała, wszyscy powoli cofali się od Paparonów i kantor ich pustkami stał prawie. Naczelnik domu zdawał się to obojętnie przyjmować, nic go to nie obchodziło, ruszał ramionami gdy mu o tém mówiono, a ostatki grosza rzucał w tę otchłań, która je pożerała. Wprawdzie facyata kamienicy, wewnętrzne jéj urządzenie, willa sama były podziwem obcych i dumą mieszczan, ale zarazem rozrzutność i nieład zniszczyły olbrzymią fortunę. P. Bartłomiéj do artystycznych swych zachcianek łączył jeszcze pańską gościnność i upodobanie w występowaniu przy każdéj zręczności, może aby miał przed kim ze swym książęcym pałacem się popisać, dawał obiady, wieczory, za-

praszał cudzoziemców, najbardziéj szlachtę przybywającą do Gdańska i lubił drobnostkowo pokazywać swe skarby.

Szczególniéj tak zwana sala wenecka, obudzała podziw wszystkich miłośników sztuki. Strop jéj w kasselony złocone ozdobny, zawiérał przepyszne obrazy, w podobny sposób i nie z mniejszém ułożone staraniem jak w salach pałacu Dożów. W pośrodku alegoryczna postać Gdańska, do koła godła różne, sceny z życia portowego, przez najlepszych owego czasu artystów malowane były i świetniały kolorytem a wdziękiem. Rzeźby na drzewie okrywały téż ściany, a drzwi, kominy, ławy, sprzęty dziwiły wykonaniem prawie jubilersko wykończoném. Całe zresztą piérwsze piętro, aż do sieni, wschodów, było już podobnie przyozdobioném. Roboty w willi Bartolomea także się do końca zbliżały, gdy brak kapitałów zmusił je powstrzymać; monoman zgryzł się tém, zachorował, trzy dni zamknięty w swoim pokoju—i umarł, nie zawoławszy nawet syna do siebie...

Wszyscy, przyznać potrzeba, po śmierci pana Bartłomieja Paparony, więcéj okazywali ciekawości co się stanie z domem jego, niż żalu po biédnym szaleńcu... Pogrzeb odbył się przyzwoicie, ale bez zbytniéj wystawy (było to w r. 1770). Albert na-

tychmiast wszystkie roboty około willi i domu przerwał, użytych kunsztmistrzów pozpłacał, zamówienia dalsze poodwoływał i przedsięwziął troskliwą likwidacyą stanu domu i firmy, który z powodu nieporządku lat ostatnich, nikomu dobrze nie był znany. Odbyło się to w największéj ciszy i spokoju... Bilans wypadł był straszliwie groźny dla każdego innego jak pan Albert spadkobiercy; na twarzy młodéj ale zastygłéj już tego dziwnego człowieka, nie było śladu ani żalu, ani trwogi, ani pomieszania.

Milcząco ze zmarszczoną brwią przejrzał rachunki, skonfrontował je, i nie dał nikomu poznać po sobie co postanowi. Byli tacy którzy mu doradzali żeby dom i willę sprzedał natychmiast, chociaż nie łatwo i za bezcen było znaléźć na nie kupca. Skarby artystyczne nagromadzone tam, z trudnością miłośnika, coby je ocenił, znaléźć mogły. Domyślano się już iż to wszystko pójdzie pod młotek, ale się stało inaczéj. Czy to szanując pamięć ojca, czy z innych powodów, których się domyślać nikt nie umiał, Albert nie tknął ani kamienicy, ani willi... Stanęły tylko roboty, pozamykano wszystko, nowy dziedzic zajął lichą stancyjkę na tyłach i—rozpoczął pracę jakby zupełnie na nowo się miał dorabiać. A było mu pewnie trudniéj niż gdyby z niczego tworzył, bo ruina każda jest zawadą; łatwiéj wznieść chatę nową, niż stary pałac

upadający podźwignąć. Ale wola człowieka jest siłą potężną, jeśli potrafi być trwałą a niezmożoną. Dla tych co się zblizka przypatrywali, stał się Albert nietylko zagadką, ale podziwem, dla wielu pośmiewiskiem. Szydzono sobie z rozrzutności ojca i jego pańskich tonów, syn zdawał się chcieć najostateczniéj przeciwną odgrywać rolę. Od dziecka był skąpym, teraz stał się nim ochydnie, zajadle, śmiésznie, dobrowolnie zaś zajął stanowisko w obec społeczeństwa tak podrzędne, tak uniżone jakby mu ono na cóś z rachuby jego było potrzebném.

Nie mogąc dla braku kapitałów i nadwerężonego kredytu rzucać się na wielkie interesa, począł od najdrobniejszych, odprawił wszystkich komisantów prócz jednego staruszka, pozbył się sług, oblókł w suknie najlichsze i nastręczał téż do najlichszych posług byle cóś zarobić. Niedługo czasu było potrzeba ażeby kredyt powracać zaczął. Albert był rzetelności nieposzlakowanéj, regularności zégara gdańskiego, ale w rachunkach drobnostkowy, nieubłagany, nielitościwy. Do serca i uczucia ani się można było odzywać, śladu go w piersi nie było... Skąpstwo posuwał do bajecznych granic. W domu gotowano raz na tydzień, żyło się odgrzewaném lub suchem, gość nie przestąpił progu. Salon wenecki i dom zamknięty na klucz stara baba pokazywała ciekawym za piéniądze.

Minęły łata... w postępowaniu Alberta na włos się nic nie zmieniło, chociaż majątek rósł, dom kwitnął, interesa płynęły a spekulacye udawały się na podziw szczęśliwie. Resztki po Paparonach i Helmuthach zgarnięte starannie, pracą wspólną rozrobione, znowu się rozrastały i p. Albert w szarym przyodziewku z niepozorną miną, na giełdzie obudzał poszanowanie. Słowo jego stało za złoto, pięć minut nikt na niego nigdy nie czekał, ale też i on nikomu na minutę nie przebaczył. Znano go jako nieubłaganego w sprawach pieniężnych, równie dla siebie jak dla innych.

Postać człowieka urobiła się do jego charakteru... młody wydawał się zawcześnie starym, płeć nie miała krwi, żółta pergaminowa powlekała twarz skóra, oczy były jakby zagasłe i martwe, usta zapadłe. Trzymał się zgarbiony, z głową spuszczoną w dół, z wejrzeniem w ziemię, z rękami w kieszeniach, mówił mało, pół słowami, często dla oszczędności ograniczając znaczącém głowy skinieniem.

Nie widział go nikt nigdy przy rozrywce, na przechadzce, próżnującego; pracował za cztérech, spał nierozebrany najczęściéj, jadł chodząc lub pisząc.

W tém najsurowszém życiu anachorety, dobiwszy się prawie do lat cztérdziestu, gdy już przebąkiwano że się pewnie nie ożeni nigdy (rzecz

była bardzo prawdopodobna)—nagle Paparona zawiązał tajemniczo stosunku z niejakim panem Handlem, który miał tylko jednę córkę, a w Gdańsku jakoś nie najlepszéj sławy używał. Ten Händel był niegdyś małym faktorem na placu, począł od niczego, pochodził z rodziny izraelskiéj, ale się wychrzcił wprędce, zwykle rzucał się do interesów najniebezpieczniejszych, do robót nie bardzo jasnych i czystych, ale miał talent szczególny wychodzić z nich ręką obronną. Na tego rodzaju sprawach ryzykownych, zysk zawsze bywa w stosunku do niebezpieczeństwa, nie dziwiono się téż że Händel dorobił się prędko i szczęśliwie. Miał nieprzyjaciół bez liku, przyjaciela ani jednego... Człowiek był ponury, przykry, zjadliwy i pogardzający światem, aż do cynizmu. Z przyjemnością jakąś przyczépiał się do tych, których mógł męczyć i dopiekać im... Z piérwszego jakiegoś małżeństwa Handel miał jednę córkę, Maryą, panienkę nie ładną, niezbyt młodą, ale słynącą z gospodarności i rozsądku. Sława ojca, mimo że się domyślano posagu znacznego, odstręczała od niéj konkurentów. Albert nie starając się wcale, prawie w domu ich nie bywając, nagle ożenił się z Maryą Händel. Dowiedziano się o tém gdy już było po cichém weselu. Nie zmieniło ono wcale trybu życia w kamienicy na Długim Rynku... otwarto jeden pokoik dla nowéj pani, oddano jéj klucze, a jéjmość z no-

wym koszykiem na targ chodzić zaczęła. Przebąkiwano iż w umowie i kontrakcie o córkę Albert Paparona wymówił sobie wyraźnie ażeby teść u niego nie bywał, jakoż nigdy go w weneckim pałacu nie widywano...

W rok po ślubie dał Pan Bóg córkę młodym nowożeńcom, a we trzy potém syna...

Rozwodzim się tu dosyć obszernie nad historyą rodziny, od któréj ostatnich potomków najbliżéj nas obchodzących jeszcze jedno dzieli pokolenie, ale cała nasza historya stałaby się niezrozumiałą, gdybyśmy jéj nie poprzedzili tym rysem genealogicznym, który się ściśle łączy z opowiadaniem, prosiemy więc o cierpliwość dla antenatów Paparonów ostatnich, gdyż nieboszczyki te czynny udział miéć muszą w powieści, przedewszystkiém zaś Albert.

Alberta znowu zrozumiećby było trudno i ocenić gdybyśmy potroszę dziejów przodków jego nie znali... Zatém, błagamy jeszcze o chwilę rezygnacyi.

Piérwsze kroki Alberta w życiu już nam całego malują, nie zmienił się on na włos, ani zbogaceniem, ani ożenieniem, ani wiekiem. Skąpstwo tylko zdawało się rosnąć z latami, a żona była dlań szacowną współpracownicą, gdyż poślubiwszy człowieka zaślubiła razem jego obyczaj, charakter, pra-

cowitość i oszczędność. Oprócz tego po śmierci starego Händla wniosła domowi Paparonów przeszło sto tysięcy talarów uciułanych po jednym i okupionych niewysłowionemi kłopoty, procesami, zabiegami. Niedługo jednak cieszył się Albert tak wybornie dobraną towarzyszką żywota i nim dzieci dorosły, utracił Maryą; która zaziębiwszy się na targu, potém nie chcąc doktora aby mu nie płacić, z jakiejś gorączki nagle zmarła. W rok po niéj stracił także Paparona córkę i został mu tylko syn Teodor, którego sam wychowaniem się zatrudniał. Po piérwszych kilku klasach odbytych w szkołach i niezbędném elementarném wykształceniu, ojciec odebrał chłopca do domu i posadził go w kantorze, wdrażając do pracy i do posłuszeństwa niewolniczego. Dziecko było powolne, zahukane, i nieobiecujące nadzwyczajnych zdolności. Całém staraniem rodzica było utrzymać je jak najdłużej w małoletności. Dorastający Teodorek wyglądał na ubogiego komisanta, życie prowadził surowe, grosza nigdy nie miał na rozporządzenie własne i dał się tak poprowadzić, że się stał machiną mierną w rękach nieubłaganego starca.

Chciwość starego rosła i wzmagała się z bogactwy. Od dawna już dom znowu stał na najświetniejszéj stopie, rozporządzał kapitałami znacznemi, ale skąpstwo coraz się jeszcze zwiększało. Kamienica owa na którą wysypano miliony, willa wspa-

niała — zamknięte, opustoszone, bo grosza na ich utrzymanie stary dać nie chciał, zruinowały się powolnie, nieznacznie, ale ich ani sprzedać, ani zmienić tego postępowania Paparona nie myślał. Kilka razy proponowano mu dosyć dobre warunki aby się pozbył nieużytecznego ciężaru, nie zgodził się wszakże ani nawet mówić o tém, rzucił ręką z jakąś niechęcią i odwrócił tylko. Do sali weneckiéj on sam nigdy prawie nie zajrzał, w ozdobniejszéj części domu wcale nie bywał, willi unikał. Dlaczego te nieużyteczne skarby trzymał — trudno było wytłumaczyć, boć pewnie nie dla pamięci ojca, z którym tak chłodno byli przez całe życie; ani dla miłości syna który zdawał mu się obojętnym. Po śmierci żony Albert Paparona zszedł do najostateczniejszéj skąpstwa granicy, stał się przez nią śmiésznym, a wzmagająca się namiętność do grosza, musiała w końcu samemu jego nabycia być szkodliwą, gdyż przestawała — jak wszelka namiętność, być logiczną. Pod starość zmienił się tryb prowadzenia interesów zupełnie, pościągał wszystkie kapitały, obrót niemi uczynił szczupłym i trwożliwym, pomieniał wszystko niemal co miał na monetę brzęczącą, a téj nigdy nie trzymał w kasie, ale ją zabiérał do siebie i chował gdzieś tak skrycie i tajemnie, że się nikt nawet domyślić nie mógł, dokąd ten skarb znosił. Wszelkie ryzyko odstręczało go, spekulacya na dłuższe termina sta-

nęła, ograniczał się z dnia na dzień małemi interesami, byle co najprędzéj w paki piéniądz zrealizować.

Pomimo najniewygodniejszego życia, głodu który cierpiał dobrowolnie, chłodu, pracy, troski, Albert Paparona zestarzawszy do pewnego kresu, zawiądł i żył zegarkowém życiem bez zmian najmniejszych jak machina... Nie chorował nigdy, nie przekraczał pod żadnym pozorem zwykłego sposobu utrzymywania się—był zdrów, silny i ruchawy.

Syn tymczasem na którego mało zwracał uwagi żył biédnie, smutnie i w niedostatku prawie, gorzéj od płatnego sługi. Ojciec był dlań surowym i zimnym zawsze, patrzył na uchodzącą jego młodość w téj niewoli i niedostatku, nie myśląc wcale aby cóś dlań uczynić wypadało. Kilka razy przyjaciele domu starali się go badać w tym przedmiocie, ale się nie tłumaczył, gniéwał, zżymał, rękami rzucał i odchodził... Syn i ojciec nie widywali się tylko w kantorze, nie mówili z sobą tylko o interesach, krótko i obojętnie... Użalano się nad losem nieszczęśliwego Teodora—ale na to zaradzić było trudno, przykre położenie od dzieciństwa, zawisłość ta, zahukanie, uczyniło go jakąś istotą zdrętwiałą, obudzającą litość. Ci co znali dziada, co spotykali biédnego w nędzném ubraniu dziedzi-

ca milionów, litując się nad nim, zapraszali go, starali się to życie osłodzić... ale nieszczęśliwy zdawał się zrezygnowany. Łagodny smutny uśmiéch zjawiał się na jego ustach, gdy kto doń przemówił serdeczniéj, czasem jakby łza na powiekach, serce wszakże nie otworzyło się słowem... bo odwykł od zwierzania się ludziom, lękał się wszystkich, a oka ojcowskiego najbardziéj. Tak ten niewolnik przeżył swe lat dwadzieścia, trzydzieści i doszedł do czterdziestego roku życia.

Skąpiec żył uparcie. Teodorowi przedwcześnie włos siwiał na skroni. Zapytywano starego Alberta czyby nie czas było syna ożenić, na to ramionami ruszał i odpowiadał—O! o! będzie jeszcze dosyć czasu... Z powodu interesów Teodor zbliżył się jakoś do pewnego kupca nazwiskiem Horowitza. Był to człowiek ukształcony, rozsądny, dobrze prowadzący handel, ani zbyt majętny, ni ubogi, obarczony bardzo liczną familią, bo samych córek miał pięć dorosłych i dorastających. Miał on jakąś szczególną sympatyą dla biédnego Teodora; zapoznawszy się z nim, prawie gwałtem go uprosił żeby w domu jego bywać zaczął. Przyjmowano go tu tak serdecznie, tak mu tam było dobrze i miło, iż odżył nieco, polubił towarzystwo i na ostatek pokochał się w starszéj córce Horowitza, pannie Adelajdzie. Ta cicha miłość cierpliwie trwała lat parę, gdy jednym razem, ojciec zawołał do sie-

bie syna...—Czego to Asińdziéj bywasz u tych Horowitzów? zapytał.—Nie zdaje mi się ażeby w tém było co złego, odpowiedział Teodor.—Tak, tak, ale strata czasu i bałamuctwo, dodał Albert, Asińdziejowi w głowie ożenek... głupstwo! Nie pora... a ja na wesele i na gospodarstwo złamanego nie dam szeląga i nie pozwolę, nie pozwolę! Proszę o tém wiedziéć i pamiętać. Z tém syna odprawił. Teodor nikomu o tém nie wspomniał, ale potajemnie bywać u Horowitzów nie przestał... Trwało tak już lat kilka, gdy wreszcie rozmówiwszy się z przyszłym teściem, odważył się Teodor sam znowu wszcząć o tém z ojcem rozmowę... Byłoto w kantorze, nikogo nie mieli świadkami. Z przyzwoitém dla rodzica uszanowaniem syn oświadczył iż niezmienne ma postanowienie żenić się z panną Horowitzówną, że doszedł lat czterdziestu kilku, i że czas było o losie jego postanowić.—A to sobie Asińdziéj stanów! jesteś pełnoletni—odparł gniewnie stary... tylko uprzedzam, że ja grosza nie dam... nie dam... bo nie mam na to... Słowa więcéj wydobyć z niego nie było można, wziął za czapkę i wyszedł. Folgując dziwactwu Paparony, Horowitz dał w swoim domu mieszkanie młodemu małżeństwu, ślub sprawił i Teodorowi wyznaczył procent od posagu córki. Na weselu był chwilę tylko stary skąpiec, a o resztę nawet się nie spytał...

Cierpiano wszystko rachując na to, że mająt-

3

ku z sobą nie weźmie, ani go stracić nie może, a Teodor był przecież jego jedynym spadkobiercą... Tymczasem starzec na przekorę żył, ruszał się, stawał coraz obrzydliwiéj skąpym i do dziwactwa a monomanii posunął miłość złota. Dwoje już dziatek mieli państwo Teodorostwo, gdy jednego poranku, dano im wiedzieć że drzwi pokoju staruszka stały zaparte, a on o zwykłéj godzinie w kantorze się nie ukazał.

Byłoto cóś tak nadzwyczajnego iż się, co najmniéj, ciężkiéj słabości domyślano i wybito drzwi po próżném kołataniu do nich. Stary siedział w swym krześle z głową na piersi opadłą, zastygły, od kilkunastu godzin, jak się zdawało, nieżywy.

Śmierć ta w osiemdziesięciu kilku leciech, przy ciężkiéj pracy i życiu niewygodném, dziwić nie mogła nikogo, była raczéj opóźnioną niżeli przyśpieszoną. Gdy przyszło do pogrzebu, okazało się że stary który sobie na ciepłą suknię żałował nawet, miał jednak pośmiertną fantazyą dosyć kosztowną. Wiadomo było bowiem jego poufałemu komisantowi i jedynemu powiernikowi Mansel, że na lat pięć przed zgonem zakupił i wykonać kazał starannie bardzo ogromną wspaniałą trumnę cynową, składającą się ze trzech wchodzących w siebie skrzyń zamykanych na klucze. Byłoto w swojém

rodzaju arcydzieło, które stary Paparona pod okiem pilném zrobić polecił, poprawiał, wykończał i którém się niemal bawił. Stała trumna ta w oddzielnéj izdebce jakby przygotowana na wypadek wszelki, i w niéj téż zwłoki jego do familijnego grobu przy kościele Panny Maryi wstawiono. Ten zbytek nie zdziwił tak bardzo nikogo, boć przecie skąpiec mógł miéć także jedno jakieś dziwactwo, któremu chciał dogodzić.

Zaraz po pogrzebie Teodor zajął się likwidacyą interesów. Tu czekała jego i wszystkich niespodzianka niezrozumiała, zagadkowa a smutna. W kasie domu było parę tysięcy talarów na rozchody bieżące, regestra starannie utrzymywane wykazywały w gotowiźnie kilko-milionowy kapitał, na bankach i wekslach mało znaczące sumki się znalazły... ale owe miliony... znikły. Nikt ani się mógł domyśléć gdzie je starzec chował, nikt najmniejszego o skarbcu nie miał wyobrażenia. Przetrzęsiono jak najpilniéj cały dom, kryjówki, lochy, ściany, posadzki, willę, powybijano próżno w murach wyłomy, poodrywano płyty kamienne... owych milionów nie było śladu. Wpadli ludzie na myśl zuchwałéj kradzieży, uwięziono komisanta, kilka osób domowych, zaprowadzono śledztwo surowe, poszukiwania trwały lata... i spełzły na niczém.

Położenie Teodora i jego rodziny było nad wszelki wyraz przykre... Został im dom i willa

których sprzedać nie mogli, obawiając się gdzieś zakopanego pozbyć skarbu, a zresztą przywiedzeni byli niemal do ubóstwa, potrzeba było jeszcze małe długi popłacić, tak że ostatecznie ledwie żyć mieli z czego.

Sprawa tego skarbu nie samę rodzinę obchodziła; całe miasto, można powiedziéć, żywo zajmowało się tą tajemniczą przygodą. Z papiérów okazywało się jak najdobitniéj że skarb ten istniał, że musiał być niemal cały w złocie, gdyż Albert zmieniał ciągle na dukaty cokolwiek uzbiérał. Tak znaczne sumy przez nikogo pochwycone być nie mogły, nikomu téż powierzone nie zostały. Owe miliony musiały więc być złożone w domu, co najprawdopodobniejsza, albo gdzieś w willi, choć do téj rzadko, prawie nigdy nie chodził stary. Z początku nadzieja odkrycia owego schowania była dosyć żywą, codzień niemal próbowano szukać, zawsze bezskutecznie. Papiéry nie dawały najmniejszéj skazówki. Badano obyczaje, ruchy, sposób życia starca w ostatnich latach jego, ale i to do niczego nie doprowadziło. Zwykle w kilku izdebkach do których chodził, zamykał się na klucz, a co tam robił, nikt nie wiedział, nikogo tu nie przyjmował tylko w kantorze na dole. Naturalnie nędzne, opuszczone i brudne pokoiki naprzód zrui-

nowano poszukiwaniami, obalono niemal i nie znaleziono w nich nic.

Przy staranném przetrząsaniu wszystkich pozostałości, w sukni Alberta Paparony, w któréj był zwykł chodzić, znalazł się w kieszeni bardzo misternéj roboty klucz duży... Zdawało się że on właśnie skarbiec ów, gdzie schowane były miliony, musiał otwiérać, ale klucz do niczego nie przypadał i pozostał tylko jako wskazówka i dowód istnienia kryjówki.

Trudno opisać skutek téj śmierci Alberta i okrutnego zawodu dzieci, które niedostatek prześladował, choć nadzieja zawsze przy złudzeniu utrzymywała, że kiedyś się to odkryć musi. Niedostatek kapitałów, zajęcie temi poszukiwaniami daremnemi spowodowały, że pan Teodor musiał się prawie wyrzec handlu i prowadzenia dalszych interesów...

On, żona, dwoje dzieci, zostali tak przy pałacu którego pozbyć się nie mogli, przy willi która im była ciężarem, w ubóstwie niemal. Im dłużéj ciągnęły się nadaremnie poszukiwania, tém rozpacz ogarniała bardziéj biédnego Teodora, który w końcu rozporządziwszy spadkiem swym ewentualnym, zmarł, zagryzłszy się.

Pozostała po nim wdowa, z dwoma synami pod opieką swojéj rodziny, już nawet nie śmiała kosztownych prowadzić daléj poszukiwań—mówiono o skarbie, wzdychano, ale nie było nadziei wynale-

zienia go, przypadek chyba mógł naprowadzić na odkrycie.

Z dwóch synów pani Adelajdy Paparonowéj, starszy Wiktor wprędce okazał ochotę dziwaczną do podróży, dalekich wycieczek, potém do stanu wojskowego, młodszy o lat parę Jakub pozostał przy matce...

Biédna matka przy innych utrapieniach miała niemało niepokoju i zgryzoty ze starszym, którego bardzo kochała. Chłopiec był umysłu żywego, pojętny, ciekawy, ale szaleniec niezmierny, a w głowie mu się paliło niewiedziéć czém. Napiérał się płynąć do Indyi, potém do Afryki, późniéj już chciał wstąpić do wojska... Matka się temu opiérała jak mogła. Wyprawiony po skończeniu szkół w rodzinném mieście do uniwersytetu w Bonn, po dwuletnim tam pobycie, napisał list do matki iż chce odbyć podróż do Hiszpanii, późniéj dał znać że wstąpił do wojska... Od tego ostatniego listu długo nie było o nim wiadomości żadnéj, potém zgłosił się parę razy, dając tylko znać że żyje i służy wojskowo... nareszcie przestał pisać zupełnie. Matka i rodzina zagrzebli go w sercu, bo lata upływały, a już o nim wcale nie było wieści. Po śmierci matki nie miał téż i brat żadnéj.

Los brata Jakuba mało się różnił od nieszczę-

śliwego jego ojca; nie poszukiwano już skarbu ale o nim zawsze myślano, często mówiono... Toż ubóstwo które znosił Teodor, stało się udziałem jego syna. Ażeby się utrzymać przy domu i willi, potrzeba było ofiar, oszczędności, żyło się więc nadzieją raczéj niż rzeczywistością.

W czasie gdy się powieść nasza właściwie poczyna, to jest w latach już naszych, gdy Gdańsk skutkiem różnych wpływów epoki stracił wiele na ważności, jako miasto handlowe i portowe, pan Jakub Paparona żył owdowiały z jedynaczką córką swoją panną Klarą, która przeszła już była granicę dla panien tak niebezpieczną lat dwudziestu. Dom ich był mało uczęszczanym, rodzina ubogą, chociaż zawsze jeszcze zostawała w posiadaniu swéj willi i kamienicy. Jakub miał lat cztérdzieści kilka... zajmował się interesami handlowemi, ale nie dla siebie, służył drugim, a że znano go z poczciwości i rodzina miała zachowanie u ludzi, miejsce to w znacznym kantorze dawało mu dochód wystarczający na życie skromne a przyzwoite. Część wspaniałego domu była zamieszkaną z wyjątkiem sali weneckiéj, która pozostała jak była ze swemi skarbami sztuki, a otwiérała się tylko w nadzwyczajnych wypadkach lub dla zwiédzających ją ciekawych cudzoziemców.

Jak na dnie wód najgłębszych barwa co je uścieła przebija się w fali i nadaje jéj kolor czasem trudny do wytłumaczenia a im tylko właściwy, tak w dziejach rodzin pochodzenie ich dalekie, zapomniane,—jeszcze się w jakim rysie niezrozumiałym maluje; po wiekach rozpoznajemy na twarzy krew któréj kropla zaledwie płynie w żyłach prawnuków. Chociaż Paparonowie zapomnieli prawie sami zkąd wyszedł ich pradziad, choć następcy jego żenili się i wychowywali w Gdańsku, jako tutejsi mieszczanie, choć jedno pokolenie starło z siebie charakter dawny, powracał on niespodzianie w twarzy a nawet usposobieniach następców. Wszyscy ostatnim z Paparonów panu Jakubowi i córce jego Klarze przyznawali cóś niezmiernie szlachetnego i co w świecie zowią dystyngowaném. Skąpstwa obrzydliwego Alberta za które pokutowała rodzina, nie było w nich śladu, raczéj z pewnemi zmianami, przypominali pana Bartłomieja.

Ubóstwo nawet nie oderwało im tego charakteru arystokratycznego niemal, który córka w pełni odziedziczyła po ojcu. Ale pan Jakub jakkolwiek zawsze czémś szlachcic, pozbył się zupełnie wad stanowi właściwych: próżnowania, lekkomyślności, upodobania w czczych rozrywkach i lenistwa. Byłto człowiek wykształcony, pracowity, a córkę swą wychował tak, że zdumiéwała ludzi i zawracała im głowy; piękną była jak niegdyś słynna Dorota,

któréj portret wisiał w sali weneckiéj, może nawet nieco ją rysami przypominała, acz surowszy był ich wyraz—a piękność stanowiła najmniejszą z jéj zalet... umysłem, nauką, talentami mogłaby była jaśnićć na największym świecie. Nieznając go, panna Klara zdawała się przeczuwać i temu to może nieco oryginalnemu usposobieniu, formom trochę wyszukanym, przypisać należało że nikt się do niéj zbliżyć nie ośmielił—oprócz—oprócz jednego co na zabój się w niéj pokochał.

Historya téj miłości należy już ściśle do ram naszego opowiadania.

Pan Jakub Paparona wychował jedyne dziécię ze staraniem i miłością człowieka, który na niéj wszystkie swe złożył nadzieje. Po śmierci żony byłato wcześnie jego pociecha jedyna i powiernica w smutkach, w tęsknotach wdowiego życia. Klara od dzieciństwa okazywała nadzwyczajną zdolność i energią ale razem dobroć wielką. To co ją otaczało, zachowane sztuki, obrazy, posągi, księgi, sztychy, musiało się wielce przyczynić do rozwinięcia w niéj artystycznego smaku. Lubiła od dziecka czytywać, potém rozwinął się talent muzykalny i zdolność niepospolita do rysunku. Wszystko to nie przeszkadzało jéj być wcale dobrą i troskliwą gospodynią.

Rodzina Paparonów pochodząca ze staréj szlach-

ty aż do ostatniego pokolenia zachowywała pamiątki po pradziadzie Janie, jego książki nabożne, papiéry, portrety. Wszyscy aż do Jakuba starali się nie zapomnieć języka, a w domu pewne tradycye wiejskie się przechowały. Ale już w trzeciém pokoleniu małżeństwa, zobojętnienie, wpływ miasta uczyniły ich nieznacznie prostaczkami... a stosunki wcieliły do prawie niemieckiéj społeczności otaczającéj. Byłato więc jakaś mieszanina obyczajów naszych i obcych, szczęściem złożona nie z tego co one mają gorszego, ujemnego, ale w czém celują i co je barwi. Klara wychowaną była na sposób kobiét niemieckich, których wysokie często wykształcenie wcale nie odrywa od gospodarstwa, od najskromniejszych zatrudnień około kuchni i spiżarni. Idzie się od rądelków do fortepiana nie zżymając i rozumié równie dobrze oszczędność jak Mendelsohn'a i Schumanna... Jestto niemal właściwością Niemki, iż pojmuje życia wymagania najprozaiczniejsze równie dobrze jak poezyą Goethego i Schiller'a, że jéj nie nudzi bielizna i pończocha, przy któréj czasem można czytać Jean Paul'a... Gdy w nowym świecie amerykańskim, dążenie do równo-uprawnienia kobiét, posuwa się aż do zrzeczenia charakteru niewiasty i jéj najpiękniejszéj cechy — macierzyństwa obowiązków — w Niemczech kobiéta wybornie równoważy w sobie rzeczywistości nieubłagane życia i swobodę lotu ku ideałom.

Klara pod tym względem była prawdziwą Niemką—chociaż nie straciła za innych—pamięci dawnego pochodzenia i tego co ona z sobą przynieść mogłą dla duszy i serca.

Choć wykształcona bardzo, choć wspólnie pracująca aby to wykształcenie nie zmarniało, Klara nie była ani pedantką ani niebieską pończochą. Nie napisała w życiu nic może oprócz listów mnóstwa, ale te... przyznać potrzeba były arcydziełami... uczucia, myśli i stylu.

Młodziuchną Klarę poznał z dzieciństwa wychodzącą syn majętnego bardzo bankiera p. Daniela Wojdskiego Teofil, jeszcze gdy do szkół uczęszczał. Oboje byli jakby stworzeni dla siebie... pokochali się całą siłą uczucia dziewiczego, czystego, napojonego poezyą... Dusze ich godziły się polotem, prostotą, upodobaniami, pojęciem a raczéj przeczuciem życia... Klara powiedziała mu wcześnie—nie pójdę za nikogo tylko za ciebie... Teofil przysiągł że wszystko poświęci dla niéj. Ale przysięgi miłosne!! cóż na nich budować można!! Miłostki z córką. p. Jakuba doszły do czujnego ucha pana Daniela Wojdskiego i rozbiły się o jego rodzicielską troskliwość dla syna.

Wojdski jak jego nazwisko dowodziło, pochodził także z rodziny dawnéj przesiedlonéj z Prus

zachodnich, ze wsi na bruk miejski. Wojdscy mieli posiadłości znaczne około Chełmna... Zubożawszy, jeden z nich wywędrował do Gdańska, został kupcem, syn począł mały handel pieniężny, wnuk miał już bank znaczny i majątek ogromny, ale Wojdski stał się panem Woydke, potém Wutke... naostatek Wudtke. Syn pana Daniela który miał dosyć wykształcenia, wychowany został starannie, ale po niemiecku. Jakby na przekór ojcowskiemu realizmowi, pokochał naukę i sztukę... naostatek i ideał w osobie panny Klary. Ojciec dopatrzywszy téj skłonności, przesadził go natychmiast do Berlina...

Pan Jakub chociaż się domyślał uczuć córki, a nie mógł nie postrzedz zabiegów i starań Teofila—musiał udawać że nic nie widzi... że nie wié o niczém. Wszystko to minęło bez otwartego rozmówienia się Wojdskiego z synem, syna jego z panem Jakubem ojcem Klary, a nawet rodzica z córką... Młodzieńcza miłość dwojga ludzi ograniczała się do ich dwojga a jeśli rodzina i świat wiedzieli o niéj, domyślali się, to nie z wyznań dzieci, ale z tego co biło w oczy i nie dozwalało wątpić o wzajemném przywiązaniu Teofila i Klary. Miłość ich téż była spokojna bo pewna siebie, głęboka, nie zrażająca się przeszkodami, jakie na drodze swéj spotykać miała. Nikogo ona

nie niecierpliwiła bardziéj nad starego Wudtke-Wojdskiego... oburzało go samo przypuszczanie ażeby syn jego mógł pomyśléć o pannie która co najwięcéj w posagu przynieść miała dom niepraktycznie urządzony i willę zruinowaną... Położenie p. Jakuba było nader skromne, a ów skarb o którym głuche chodziły wieści, wzbudzał, już tylko śmiéchy i szyderstwa. Ruszano ramionami gdy o nim była mowa. Wistocie skąpy ów dziad Albert zmarł w r. 1816, od tego czasu upływało prawie pół wieku; zatarły się więc nawet wszelkie ślady owego tajemniczego schowania a odkrycie mogło nastąpić chyba wskutku przypadku. Wudtke wreszcie z wielą innymi utrzymywał, że skarb ten nigdy nie istniał, że to było marzenie familii, że piéniądz na fałszywych spekulacyach został stracony, a ze wstydu w regestrach nie wzmiankowano o katastrofie która go pochłonęła. Na dowód przytaczał p. Wudtke w domniemanym czasie zaszłych kilka wielkich bankructw w Anglii, które się w Gdańsku czuć dały. Stary Albert widać wszystko co miał musiał powierzyć jednemu z tych domów, które kryzys handlowa i finansowa pochłonęła.

Główną pobudką dla ojca p. Teofila do sprzeciwienia się nawet przypuszczeniu małżeństwa między córką Paparony a jego synem, był—trzeba to wyznać—majątek. Jedną z zasad dla starego było, iż Teofil spadkobierca tak znacznego domu, przy-

tém sam z siebie człowiek znakomity i wykształcony, miał prawo i powinien się był dobijać ożenienia stosownego, któreby mu przyniosło drugie tyle fortuny a w dodatku stosunki arystokratyczne lub ze sferami rządowemi. Wudtkie był ambitny i wiedział że z za kantoru bankiera łatwo się przechodzi na... wszystkie możliwe świetności i władzy stopnie. Nie możnaby mu było tego mieć za złe, gdyby nie znał Klary i nie potrafił jéj ocenić...

Ręka Klary warta była więcéj dla człowieka takiego jak Teofil nad najświetniejszą pozycyą — ona jedna mogła być dlań prawdziwą towarzyszką życia... Ale stary Wudtke, praktyczny przedewszystkiém, mało w ogóle wagi przywiązywał do roli kobiéty w życiu.

To cośmy wyżéj powiedzieli o kobiécie w Niemczech i jéj właściwych przymiotach, musiémy dopełnić z powodu starego Wudtke, postrzeżeniem, iż właśnie Niemcy z małemi wyjątkami, te niewiasty swe tak godne szacunku, ważą sobie i cenią jak najmniéj. Daje się to dotkliwie postrzegać nawet w codziennném pożyciu... Kobiéta gra rolę skromną, podrzędną, często aż nadto cichą i pokorną, jest naprzód gospodynią i sługą, a rzadko kiedy prawdziwie towarzyszką i przyjaciółką mężczyzny. Ażeby się dobić innego stanowiska, wyjątkowego, nie mało energii potrzeba.

Stary Wudtke właśnie się może obawiał w Kla-

rze jéj wyższości a w synu swym słabości zbytniéj, ożenienie takie zdało mu się niepraktyczném...

Wyraz ten ulubiony szanownemu bankierowi, często, do zbytku spotykający się na jego ustach, malował—jakieśmy mówili—całego człowieka. Co nie było praktyczném, to choćby było najrozumniejszém i najświętszém, zdawało mu się zawsze grzeszném i niedorzeczném: piérwszą własnością wymaganą przezeń od człowieka i od czynu, była — praktyczność.

Przy największém wszakże staraniu o to aby z syna uczynić człowieka praktycznego, pan Daniel zupełnie chybił celu. Teofil był raczéj młodzieńcem teoryi, przyszłości niż teraźniejszości i praktyki; lubił sztukę, poezyą, nauki, myślenie a praktykę powszedniego życia uważał za podściół tylko, na którym wyrastać miały ideały karmiące człowieka...

Bystre ojca oko dostrzegło ze smutkiem tę ułomność syna, ale złożyło ją na karb młodości, na szumowiny które się ustać miały i opaść, gdy piérwsza fermentacya młoda się ukoi...

Pan Teofil pojechał na naukę do Berlina posłuszny ojcu, ale... ale co kilka dni pisywał do Klary a co kilkanaście znajdował bardzo ważne powody do odwiedzania ojca...

Za każdą bytnością syna, stary Wudtke śledził pilnie jego kroki i przekonał się że powodem tych częstych wycieczek nie co innego było, tylko serdeczna potrzeba widzenia się z Klarą. Młody człowiek téż zbytnią tego nie okrywał tajemnicą. Ojciec z niecierpliwością przyjąwszy ten objaw przywiązania tak stałego, gdy dobrodusznie sądził, że łatwe piękności berlińskie, któremi roją się salony, zbałamucą młodzieńca, i wybiją mu z głowy piękną Klarę,—spochmurniał ale zmilczał. Ogólnie tylko zrobił uwagę synowi iż nie powinienby tracić zbyt wiele czasu na przejażdżki, gdy go użyteczniéj w stolicy przepędzić może. Po wyjeździe zaś z Gdańska szukał sposobności widzenia się z panem Jakubem. Rzadko się z sobą spotykali. Wudtke nie chciał uroczyście iść i rzeczy którą dotąd za mało znaczną pragnął podać, nadawać zbytnią przez to wagę. Wyrachował się więc praktycznie tak, iż z panem Jakubem zeszli się na przechadzce. Rozmowa zrazu była obojętną, a ze strony bankiera nader uprzejmą; z kolei jakoś stała się poufalszą coraz i szczérszą... naostatek Wudtke jakby nagle cóś mu na myśl przyszło, odezwał się:

— Kochany panie Jakubie, spodziéwam się iż wierzysz w mój szczéry szacunek dla siebie i życzliwość. Dam ci jéj nowy dowód przy téj zręczności, otwiérając się przed tobą szczérze i otwarcie. Od dawna postrzegłem już przywiązanie syna mo-

jego do waszéj córki... Zrazu mając to za młodocianą przemijającą płochość z jego strony, nie czułem potrzeby zwracać na to zbytniéj uwagi. Widzę teraz że to może miéć niemiłe następstwa. Stosunki między młodymi ludźmi, mimo wyjazdu Teofila, trwają. Wysoko cenię pannę Klarę, ale muszę wam wyznać że synowi mojemu ani tak prędko żenić się pozwolę, anibym w żadnym razie na małżeństwo z nią mógł pozwolić. Czekajcie, dodał widząc że p. Jakub chce mu przerwać... Z takiéj synowéj byłbym szczęśliwy, nie czyni to wam ujmy, ale... ale—ale... syn mój nie ożeni się przed trzydziestym rokiem życia... pannie Klarze tak długo nań czekać się nie godzi... powtóre mam dla interesów moich potrzebne małżeństwo bogate na myśli, które muszę doprowadzić do skutku. Nie kryję się z tém wcale, że dla Teofila ambicyą mam wielką, postawię go wysoko... kuzynka Rotschildów go czeka... to rzecz umówiona. Dobrze więc zrobicie, kochany panie Jakubie gdy synowi mojemu dacie od siebie do zrozumienia, iżby odwiédzin bez celu w domu waszym poprzestał. Ja mu tego mówić nie chcę i nie mogę, nadałbym rzeczy ważność zbyteczną... wy... powinniście, przy piérwszéj zręczności.

Pan Jakub zmilczał chwilę—nareszcie odrzekł.

— Tę uwagę synowi waszemu uczynię bardzo chętnie. Wcale nie myślałem nigdy dla córki mo-

jéj gwałtownie go pociągać... bom przewidywał to postanowienie o którém mi dziś tak uprzejmie i przyjacielsko ostrzegacie. Ale uprzedzam was, szanowny panie, iż o tém co od was słyszę muszę téż panu Teofilowi powiedziéć, abym się przed nim wytłumaczył, dlaczego tak późno się opamiętałem.

— I owszem, odparł Wudtke, powtórzcie mu rozmowę naszą, nie widzę w tém nic złego a jeśli mi to nastręczy powód otwartego wynurzenia się przed moim Teofilem, bardzo wam będę wdzięcznym.

Na tém skończyła się rozmowa; p. Jakub smutny powrócił do domu, przez kilka dni zwłóczył z wyznaniem wszystkiego przed córką, nareszcie uznał za właściwe nie kryć tego dłużéj.

Tu musiémy powiedzieć czytelnikowi jak czule węzły przywiązania łączyły ojca i córkę. P. Jakub kochał ją niewysłowienie, aż do uwielbienia, a Klara mu to oddawała sercem całém.

Skromny ów człowiek widział w niéj wyższość, podziwiał talenta, ona była jego szczęściem domowém, dla niéj poświęciłby był wszystko... dla niéj pragnął tego marzonego skarbu... i losów na jakie zasługiwała... świetnych... coby ją na właściwy teatr, w społeczność jéj wykształceniu właściwą przeniosły... Boleśnie mu było rozbić jéj nadzieje i złudzenie, ale kryć się nie umiał przed nią z niczém

i nie mógł. W kilka dni potém nagryzłszy się niemało, gdy siedzieli przy skromnym podwieczorku, córka widząc chmurne czoło ojcowskie, pocałowała go w rękę i spytała:

— Macie jakieś zmartwienie? dlaczego kryjecie je przedemną? możebym ja pocieszyć was potrafiła?

— Zgadłaś moje dziecko, rzekł pan Jakub i dłużéj się przed tobą taić nie będę. Ono ciebie równie jak mnie dotyczy...

Klara zarumieniła się i spojrzała mu w oczy tylko.

— Ojcze kochany, rzekła —jeśli się to mnie tyczy, mów śmiało—mam dosyć mocy duszy aby znieść wszystko co mi jest przeznaczoném. Niczém się więcéj nie brzydzę jak tajemnicami...

— Stary Wudtke mówił zemną, odezwał się stłumionym głosem p. Jakub.

— Oszczędźże sobie, dobry mój ojcze, przykrości wypowiedania mi tego, czego się ja domyśléć mogę łatwo. Stary Wudtke patrzy z niechęcią na przywiązanie syna swojego do mnie i zapewne oznajmił ci, kochany ojcze, iż na to małżeństwo nigdy nie zezwoli.

Pan Jakub głową skinął tylko.

— To było do przewidzenia—mówiła spokojnie Klara. Teofil i ja spodziéwaliśmy się tego... Można się było domyśléć iż dla bogatego syna bankiera nie wydam się partyą stosowną... Teofil był

do tego przygotowany. Co do mnie wcale nie mam sobie do wyrzucenia zalotności, nie ciągnęłam młodego człowieka, nie łudziłam siebie... Miłość nasza, z którą taić się przed tobą nie mam powodu, przyszła niewiedziéć jak, zesłana z niebios, wyrosła jak kwiat. Jéj następstwa... jéj skutki były dla nas widoczne, ale drogi ojcze... mnie to ani do rozpaczy, ani do zwątpienia nie przywodzi. Znam Teofila, wierzę jego sercu... jestem spokojną...

— Radźże mi co mam ja uczynić? spytał Jakub.

— Nie będziecie potrzebowali nawet przykréj wszczynać rozmowy, odparła Klara, ja wam jéj oszczędzę... Sama powiem Teofilowi że władzy rodzicielskiéj sprzeciwiać się nie powinien, ale o ile on ją w sprawie serca uzna za... obowiązującą, mówiła uśmiéchając się spokojnie Klara... tego powiedziéć nie mogę.

Zdziwiony niezmiernie pozorną obojętnością z jaką Klara przyjęła tę wiadomość, p. Jakub nieuważał iż ręce jéj drżały i lice pobladło. Mężna niewiasta uśmiéchała się strapionemu ojcu, ale cierpiała. To czego się lękała... przyszło, a jakkolwiek spodziéwane, było straszném... Ojciec patrzył na nią, łza mu się zakręciła w oku... zmilczał, pocałował ją w czoło i wyszedł.

Tegoż dnia Klara napisała list do Teofila... nic nie tając przed nim i zapytując go co myśli czynić.

Na trzeci dzień nadeszła z Berlina odpowiedź, równie spokojna i rozważna jak list Klary. Teofil poprzysięgał jéj że to nie wpłynie na jego przywiązanie, że ojciec wytrwałością się da pokonać, że co do bywania w ich domu zastosuje się do woli p. Jakuba, ale błaga aby mu pozwolono było pisywać przynajmniéj. Wymieniono tak kilka korespondencyj... a wypadek ten raczéj zwiększył przywiązanie, cieśniéj węzły łączące ich zadzierzgnął, niżeli je zachwiał... Klara była spokojną i pogodną... p. Jakub odzyskał także tego ducha i odwagę z jaką od początku życia walczył z dolą swoją.

Tylko, mimowolnie znowu ten nieszczęśliwy skarb dziadka chciwiéj mu na myśl zaczął przychodzić, począł on grzebać w papiérach, chodzić po kamienicy, jeździć na willę a ludzie się z niego wyśmiéwali.

— Wierzcie mi, rzekł mu w końcu jednego dnia stary domu przyjaciel i ojca jego p. Radgosz mieszczanin Gdański, byłem w tę głupią skarbu waszegó sprawę wtajemniczony, wiem o tém co robił ojciec, jak uważano ją zaraz po śmierci Alberta... Jeśli w tém jest tajemnica, to nie inna tylko że skąpiec a chciwiec pod koniec życia gdzieś chciał wielkie *coup* uderzyć, miliony swe zdublować, wpadł na niepoczciwych, stracił wszystko a wyznać się wstydził. Ztądto pochodziło, iż ciągle z kasy na

te jakieś tajemnicze przedsiębierstwa piéniądze ściągał, które zniknęły jak w przepaści. O skarbie więc myśléć nawet jest dziś marzeniem.

— Być bardzo może iż się domyślacie trafnie, odparł p. Jakub, ale jestli podobna aby strata tak ogromna, majętności milionowéj, owocu całego życia pracy i skąpstwa—przeszła bez śladu, bez rozgłosu, w grobowém milczeniu?? Aby po niéj ani świstka papiéru, ani najmniejszego nie zostało poszlaku?? Jak to wytłumaczyć?

– A! fantazyą i wstydem dziada Alberta, który pozacierał ślady

— Wiecie, kończył Radgosz, iż się jednak odkryły pewne wskazówki iż Albert z Anglią miał potajemne stosunki, pisywał tam prywatnie nie przez biuro... wysyłał piéniądze... i zacierał umyślnie wszelkie ślady tych robót skrytych, niewiedziéć dlaczego... Cóż łatwiejszego nad przypuszczenie że to jego miliony pochłonęło?

Radgosz stary widząc pana Jakuba niezupełnie przekonanym jeszcze, z miłości jaką miał dla rodziny i dla niego, w końcu proponował by raz już mowa i próżne durzenie się skarbem ustało—pojechać do Anglii, dotrzéć tam do źródła i zasięgnąć stanowczych wiadomości. Ale ani czas ani fundusze nie dozwalały Paparonie wykonać téj zdrowéj rady. Wieczorami ten nieszczęśliwy skarb, będący dla jednych ideałem, dla drugich zagadką,

pożądany, niecierpliwiący, zajmował czasem rozmową do północy. Jedna tylko Klara śmiała się z niego i dosyć lekko go ważyła, choć on na jéj może los mógłby był wywrzéć wpływ największy.

Takie było położenie rodziny, gdy jednego dnia w czasie bytności w biurze p. Jakuba, zjawił się jakiś obcy jegomość już lat dojrzałych, szpakowaty i łamanym językiem dopytywać począł, kiedyby się z nim widziéć można.

Służąca któréj fizyognomia przybyłego nie przypadła wcale do smaku, miała go za podejrzaną jakąś figurę i oznajmując o nim, potrząsała głową, dodając że dziwnie oczyma rzucał po kątach, zdawał się śledzić czegoś i zbyt długo od drzwi nie odszedł... tak że go się ledwie pozbyć było można. Dano mu wiedziéć że p. Jakub je obiad między piérwszą a drugą, że do trzeciéj bawi najdaléj w domu, potém znowu do biura odchodzi i nie powraca aż wieczorem...

Nieznajomy namyślał się i oznajmił służącéj, że przyjdzie wieczorem, aby oznajmiła panu iżby go czekał, bo ma do niego pilny interes wielkiéj wagi...

Gdy o tém p. Jakub się dowiedział, zdziwiło go to mocno, nie miał od dawna własnych interesów prawie żadnych, stosunków dalekich mało-

Ktobyto być mógł, próżno sobie łamał głowę... niepodobna było odgadnąć... Zniecierpliwością przebywszy w biurze godzin kilka, p. Jakub wrócił do domu.

Punkt o godzinie wyznaczonéj dał się słyszéć dzwonęk na dole... chód żywy na wschodach... drzwi się otworzyły i wszedł... siwiejący już mężczyzna, zupełnie nieznany, twarzy ogorzałéj i czerwonéj, z wąsami dużemi, łysy, w ubraniu widocznie zagranicą gdzieś robioném, a wyglądającém cóś wojskowo.

Postać była tak cudzoziemska... tak dziwna... iż p. Jakub który na jéj powitanie wstał, patrzył nieumiejąc odgadnąć co ona u niego robić mogła, u niego, żadnych po świecie niemającego stosunków... Nieznajomy z równą przynajmniéj ciekawością i natężoną uwagą wpatrywał się pilnie w pana Jakuba.

Postąpiwszy parę kroków powolnie... z uśmiéchem na twarzy... spytał złą dosyć francuzczyzną—wszak p. Jakub Paparona; syn niegdy Teodora Paparony urodzony z Horowitzównéj?

— Tak jest, odpowiedział coraz bardziéj zdziwiony Jakub...

Usłyszawszy to przybyły stanął, uśmiéch znowu pokazał się na jego ustach, oczy mu zajaśniały, ręce wyciągnął i nic nie mówiąc rzucił się na szyję zupełnie zmieszanego gospodarza...

— No! zgadnijże, do kroćstotysięcy... kto ja jestem? zawołał—zgaduj... P. Jakub tak był zmieszany że i w téj chwili jeszcze na myśl mu nie przyszło iż... od bardzo, bardzo już dawna nie było wiadomości o bracie Wiktorze.

— Brat Wiktor! Wiktor Paparona, zawołał śmiejąc się i płacząc razem przybyły a cisnąc i całując Jakuba, który dopiéro począł zdziwiony zarzucać go pytaniami...

Ale w piérwszéj chwili wśród tłumnych wykrzyków, pytań, zadziwień i krzyżujących się przywitań nic dowiedziéć się nie mógł gospodarz, nic Klara która nadbiegła... Wiktor całował jéj ręce, przypatrywał się, admirował z żołniérską rubasznością i ciągle płakał a śmiał się.

Usiedli nareszcie a żołnierz począł niby opowiadanie o sobie... prawdę rzekłszy tak niepowiązane, nieporządne, przerywane jeszcze tysiącem pytań iż nie łatwo z niego zrozumiéć cóś było można, dodawszy iż nie mówił po niemiecku prawie, tylko francuzczyzną, do któréj mieszał włoski język i portugalski.

Z powieści pułkownika Wiktora, gdyż tego stopnia się w wojsku dosłużył, widać było iż w Hiszpanii zaciągnął się do Karlistów pod dowództwem Zumalacarregui. Ranny w 1835 w czasie wtargnięcia do Katalonii, wyleczony szczęśliwie uniknąwszy losu innych więźniów, był w oblężeniu Bilbao i na-

stępnych bitwach pod wodzą Zariateguy, a po zdradzie Marroto, wzięty w niewolę, zaciągnął się znowu do wojsk Krystyny i w nich służąc doszedł stopnia pułkownika. Te losy Wiktor był winien swéj obojętności dla obu obozów, w których się znajdował, tylko jako człowiek, który chce nie zalegać w rzemiośle żołnierza, wywijał orężem aby ręka nie ociężała, pałasz nie stępiał a jemu nie zabrakło żołniérskiéj swobody. Śmiał on się dobrodusznie równie z bohatérów obu obozów, ale z zapałem mówił o przecudnym kraju, o ciepłym klimacie, o malowniczych krajobrazach z zamkami maurytańskiemi i łańcuchami gór skalistych. Nareszcie, dodał—już mi się to życie sprzykrzyło, pomyślałem sobie, potrzeba zobaczyć co się to tam w domu dzieje... podałem się do dymisyi i oto mnie macie, niepotrzebny ciężar... Ale słuchaj poczciwy Jakubie—bo musisz być poczciwy—i ty śliczna moja panno Klaro, klnę się wam że zawadzać nie będę. W ojcowskim domu więcéj was o nic nie proszę nad ciepłą izdebkę w któréjbym mógł być swobodny. Mam moję pensyą, z któréj wygodnie żyć potrafię w Gdańsku, a spodziéwam się wesoło. Jeśli wy nie macie zwyczaju śmiać się to i was może ponauczam... i jak się do starego żołnierza przyzwyczaicie, zobaczycie że z niego będziecie kontenci. Nie chwaląc się jestem bardzo dobrym człowiekiem.

Uściskawszy jeszcza raz p. Jakuba i ucałowawszy rączki panny Klary, przybliżył się do stołu i przypatrzył podanéj kawie...

— Co to wy pijecie? spytał—to musi być ta mikstura którą kawą nazywają! Tylko zlitujcie się mnie na ten trunek nie proście... W Hiszpanii przyzwyczaiłem się do czekolady choćby z czosnkiem, bo i tak się tam trafia... a jako żołnierz gotówem napić się choćby spirytusu, byle nie tego lekarstwa...

Pan Jakub posłał natychmiast po butelkę Malagi, Klara postarała się o pożywniejszy podwieczorek i tak zasiedli ochoczo do stołu.

Pułkownik nieustannie badał ich wypytywał o wszystko... nareszcie zapytał o skarb... Jakub ręką tylko machnął, niechcąc już i mówić o tém.— Jakto? do téj pory nie znaleźliście nic? to widocznie Pan Bóg dla mnie sławę tego odkrycia zachował... zobaczycie że ja go wyszperam, Klara i ojciec jéj uśmiéchnęli się smutnie, opowiedzieli mu o swych staraniach, poszukiwaniach, nareszcie o tym domyśle powszechnie przyjętym za prawdę że skąpiec musiał wszystko stracić i taił się tylko ze wstydu przed swoimi.

— Taki człowiek jak dziadunio Albert, stracić! nie! to nie może być! nie może być... my te miliony odszukamy, a że mnie one nie potrzebne wca-

le... będę miał szczęście złożyć je u stóp naszéj ślicznéj panny Klary.

Długie życie awanturnicze dziwnego zaprawdę człowieka wyrobiło z pana pułkownika... poczciwy był i dobry jak dziécię, lekkomyślny, prędki, gorączka i na przygody obojętny. Tyle biédy przebył, tyle przecierpiał, że mu już teraz życie w warunkach spokojniejszych łatwém do zbytku się zdawało. Wielki miłośnik płci pięknéj ale już platoniczny tylko wielbiciel zdaleka, ochoczy do kielicha i wesołéj gawędki, usłużny i chętny do poświęcenia; zaraz po przybyciu oswoił się z żołniérską łatwością z położeniem nowém, usiłował rozpoznać je, ciekawie zajrzał we wszystko i poślubił gorąco interesa brata i synowicy... przez cały ten wieczór do późna opowiadał i rozpytywał, następny dzień w części strawił obchodząc miasto, szukając znajomych, przypominając sobie młodość. Wybrał sobie na drugiém piętrze parę pokojów, rozłożył się w nich po żołniérsku i zapowiedział że pozostanie gościem w domu tylko, że się godzinami, regularnością ich życia wiązać nie może, będzie jeść gdzie mu się podoba, przychodzić od fantazyi, siedziéć w mieście lub za miastem, iść i wracać, jeździć, ruszać się zupełnie swobodnie.

Z pułkownikiem Wiktorem, oprócz trochy żoł-

niérskiego mienia, przybyła tylko jedna stara biała papuga ulubiona, z którą najzabawniejsze sceny zwykł był wyprawiać. Nazywał ją Dewotką; była zła okrutnie, krzykliwa niezmiernie, ale to może właśnie dziwaka do niéj przywiązywało. Po całych godzinach łajali się wzajemnie... pułkownik palił cały dzień cygareta lub cygara... lubił towarzystwo choćby naostatek papugi... a zresztą najlepszym w świecie był człowiekiem... sercem cały. Potrzebował kochać i znalazłszy teraz rodzinę któréj długie lata był pozbawiony, brata... piękną Klarę, poprzysiągł im wierność do zgonu...

W parę dni, nie mogąc się dosyć jeszcze nagadać z Jakubem który siedział w biurze, ani z Klarą z którą musiał być nieco ceremonialnie, pochwycił dawnego przyjaciela domu poczciwego Radgosza i zmusił go do wtajemniczenia we wszystkie stosunki Paparonów. Od r. 1832 prawie nic nie wiedząc już o tém co się w domu działo, chciał z największemi szczegółami wszystkie te zaległości pochwycić. Od nikogo téż lepiéj nie mógł być objaśnionym jak od Radgosza, który sercem także całém kochał Paparonów i nad ich losem ubolewał.

On mu po cichu na ucho opowiedział smutną historyą Klary i jéj ulubionego p. Teofila, wstręt Wudtkiego do połączenia się z ubogą rodziną podupadłą i t. p.

Pułkownik wszystko co słyszał, chwytał chci-

wie, notował i powoli oswajał się z tém co go otaczało.

Przybycie dawno zapomnianego żołniérza, którego miano już za umarłego, choć w mieście tak zajętém interesami jak Gdańsk, powszechną jednak musiało obudzić ciekawość. Idącego ulicą pokazywano sobie palcami, szepcząc dziwne dziwy o jego przygód pełném życiu, wszyscy dawni znajomi Paparonów widziéć go chcieli z blizka i słyszéć opowiadającego...

W istocie pułkownik miał nieprzebrane skarby najzrozmaitszych powieści w swych sakwach podróżnych. Miał nadewszystko ten talent ludzi wiele po świecie otartych i bywałych, że wśród zupełnie obcych odrazu znajdował się jak w domu i umiał ich także swobodnemi uczynić. Wprawdzie ceremonialne zbyt towarzystwa przerażał, ale ze szczególnym talentem łącząc tę otwartość rycerską, nigdy granic przyzwoitości nie przekroczył, i strach który obudzał zrazu przechodził prędko, gdy się przekonano iż mimo żywości charakteru, był człowiekiem dobrego wychowania i niezmiernie przyzwoitym.

Jedno w nim szczególniéj zastanowić mogło, to niezmożona, niepokonana wiara w to co mu do szczęścia było potrzebném; budził się z uśmiéchem na

ustach, i z uśmiéchem na nich usypiał. Najsmutniejszego potrafił pokrzepić... Drugim dziwnym przymiotem pułkownika było, że niezmiernie dzieci lubił... nie wychodził nigdy w ulicę bez pierników i ciasteczek w kieszeni które osobliwie uboższéj dziatwie rozdawał... Zapoznawał się nadzwyczaj łatwo z niemi, przyjaźnił i umiał rozmówić prawie na migi, tak naturę dziecinną znał dobrze i w fizyognomii ich czytał żywo każdą myśl i uczucie. Niemniéj tkliwe uczucie dla płci piękněj nosił w starém sercu swojém. Dla niego w istocie kobiéty były płcią piękną, w najbrzydszéj bowiem znalazł zawsze jakiś ślad wdzięku, cóś miłego, jakiś przymiot, urok dla innych oczów niewidzialny. Grzeczność jego dla nich była tak pełna rycerskiego szacunku jak niewyczerpaną... śmiał się z niego Radgosz że piérwszy raz z nim zwiédzając kościół Panny Maryi, gdy żebraczkę odartą spotkali we drzwiach, pułkownik dawszy jéj jałmużnę, nie chciał przed nią piérwszy wnijść do środka i zmusił staruszkę, aby poszła przodem. Malowało to w istocie dosyć dobrze p. pułkownika, który w kobiécie widział cóś wyższego, idealnego i poszanowania godnego, a z prawa tego nie czynił wyjątków.

Można sobie wyobrazić jakie przy tém usposobiéniu do uwielbienia wrażenie na nim uczyniła piękna, utalentowana i dobra panna Klara. W piérwszych dniach nie mógł się uspokoić i nadziwić do-

syć jéj piękności, potém nie mógł się nasłuchać jéj, naostatek wziął jéj rękę i poprzysiągł być jéj oddanym i poświęconym do śmierci.

Z innych względów Wiktor niemniéj pokochał Jakuba.

Jakub był istotą cichą, spokojną, milczącą i obudzającą współczucie jakąś pokorą i rezygnacyą. Na jego twarzy malowała się dusza ukojona, pojednana z troską powszednią, pełna wiary w sprawiedliwość, ale szarym jakby smutkiem powleczona. Ten spokojny smutek drażnił Wiktora, który pragnął koniecznie brata widziéć odważnym jak sam był i z tą obojętnością niby poglądającym na życie. Doszedłszy przyczyn smutku Jakuba, poznawszy jego położenie, Wiktor sobie poprzysiągł iż go musi uszczęśliwić... Klarę ożenić z Teofilem, skarbu dziadunia Alberta odszukać i na starość cieszyć się swém dziełem.

Ponieważ wszystko zdawało się pułkownikowi zależéć od wynalezienia tego skarbu Albertowego, a tajemnicza jego historya sama z siebie go nęciła, poświęcił się więc całém sercem i duszą poszukiwaniom. Ale od wielu lat zarzucona myśl, zatarte ślady, utrudniały czynność, trudności zaś zwiększały jeszcze ochotę do ich pokonania. Nie mogąc zawsze gdy chciał poinformować się u p. Jakuba,

który za domem większą część dnia przepędzał, padł jak na pastwę na starego Radgosza...

Był on od dawna w tym względzie rozczarowanym niedowiarkiem, ale to nic nie pomogło, musiał pułkownikowi opowiadać co pamiętał i spowiadać się przed nim ze wszystkiego co kiedykolwiek w tym przedmiocie słyszał. Jakub, choć go tó już niecierpliwiło, zapozywany ciągle do nowych objaśnień i wskazówek, niechętnie ich udzielał. Pułkownik wszystko to i co gdziekolwiek bądź w mieście mógł połapać, zbiérał skrzętnie i nótował. Oprócz ustnych wiadomostek dobrał się jeszcze do starych papiérów, regestrów, notatek i w okularach, z pomocą Radgosza ślepił, śledził, wnikał coraz głębiéj w życie dziadka Alberta.

W istocie nikt dotąd ani takiéj pracy, ani takiéj rozwagi, ani tak troskliwego badania nie poświęcił tajemniczéj figurze staruszka. Zaraz po jego śmierci poszukiwania szły gwałtownie, ograniczały się niemal przewróceniem bezmyślném domu, murów, posadzek i kryjówek, potém więcéj mówiono i domyślano się niżeli śledzono, naostatek tradycye, pogadanki, przypuszczenia zastąpiło porządniejsze tą zagadką zajęcie.

Stary żołniérz zmienił się jakby w sędziego śledczego i rozwinął talent niepospolity w logicznném poszukiwaniu zatartych już dowodów, że Albert skarbem rozporządzić i utracić go nie mógł.

Nawet Radgosz który uparcie z innemi dowodził tego, może ażeby już próżnych w Jakubie nie rozbudzać nadziei, musiał uledz rzeczywistości, gdy staraniem pułkownika wynalezioną została notatka na trzy dni przed zgonem ręką Alberta pisana, zawiérająca spis różnych summ do niego należących. Najdziwniejszém w nim było, że summy różnemi oznaczone datami, miały ponotowane procenta aż do ostatnich czasów, jak gdyby gdzieś w banku złożone były lub powierzone komu... Broniąc swéj opinii Radgosz, choć zachwiany w przekonaniu, dowodził jeszcze iż Albert jako skąpiec monoman, mógł od strąconych summ w różnych czasach, imaginacyjne sobie rachować dochody, przez proste dziwactwo. Ale możnaż było przypuścić żeby taki człowiek zabawiał się tak dziecinnie?

Przyszedłszy do przekonania iż skarb nie został straconym, a po części wpoiwszy je w drugich, pułkownik oddał się cały słodkiéj nadziei, że mu przeznaczyła Opatrzność podźwignięcie domu Paparonów odszukaniem owych milionów ukrytych i niezatraconych. Od śmierci dziadka Alberta zmarłego w r. 1816, którego jak przez sen Wiktor sobie przypomniał... upłynęło prawie lat czterdzieści... a po latach czterdziestu jakże mało pozostaje z pamięci po człowieku!

Oblicza nieboszczyków z każdym dniem nikną,

jak gdyby się w istocie od nas oddalały, rys po rysie ginie, zaciéra się, blednieje... i zostaje najczęściéj tak wykrzywiona postać, tak fałszywe odbicie po zmarłym, jak twarz jego zeschła w trumnie.

Stało się to po części z dziadkiem Albertem, o którym teraz bezkarnie opowiadano dziwy... wyrósł na legendowego kościanego dziadka.

Zajęcie to około marzonego skarbu odżywiło starego wojaka, przywiązało go do miejsca, inaczéj bowiem, kto wié? byłby może nawykły do włóczenia się po świecie, nie wytrzymał w swoim ojczystym grodzie, mimo jego malowniczości i piękności. Równie a może silniéj poślubił on sprawę panny Klary przeciwko staremu Wudtke którego szczérze nienawidził i poprzysięgał głośno pomścić się na nim. Klara stała się jego ideałem, uwielbieniem, on jéj najwierniejszym sługą. Jakub śmiał się utrzymując, że ją stryjaszek do reszty pojmuje.

Życie więc złożyło się dosyć znośnie staremu żołnierzowi, który sobie znalazł łatwych słuchaczów, powoli przeszedł z wina na piwo gdańskie i polubił je nawet, zapoznał się z ubogiemi dziećmi w ulicach, obył ze starym domem a nawet opuszczoną willę zajmować zaczął. Mieszkańcy polubili go z powodu charakteru łagodnego, wesołości téj wiekuistéj, dowcipu, anegdotek, a choć się dziwi-

li iż mógł tak życie trawić prawie bez żadnego stałego zajęcia, wybaczali mu to przez wzgląd na jego wojskowe czyny i zasługi. Pułkownik w dnie niedzielne zachwycał ich piersią okrytą całym pasem krzyżów i medalów, których niemało nazdobywał w różnych wypadkach.

Jedna rzecz trochę jeszcze niecierpliwiła pana Wiktora, to że dotąd nieznał ulubionego Klarze p. Teofila i nie przekonał się naocznie o trafności jéj wyboru. Po dosyć długiéj wszakże niebytności w Gdańsku, młody Wudtke nadjechał i wedle zwyczaju pośpieszył do Paparonów, chociaż już wiedział iż ojciec jego był tym odwiedzinom i jego zamiarom przeciwny.

Byłoto jakoś po południu, Klara uszczęśliwiona po długiém rozstaniu siedziała znowu na rozmowie z Teofilem gdy wpadł pułkownik, który się już w mieście o jego przybyciu dowiedział... Teofil znał go z listów Klary... zapoznali się wzajemnie z sympatyczném usposobieniem. Piérwszy rzut oka na młodego człowieka dobrze pułkownika o nim uprzedził, zrobił na nim miłe wrażenie. Byłato fizyognomia spokojna, poważna a piękna, czarne oczy, czoło wyniosłe, usta łagodnego wyrazu, cóś szlachetnego w całéj postaci, z któréj jaśniał przenikliwy rozsądek...

Już i to podobało się w nim pułkownikowi, że

do ojca opasłego, grubego i wcale nieodznaczającego się powierzchownością, nie był wcale podobny.

Młody człowiek który pojmował życie i ludzi z całą ich rozmaitością na świecie nieuchronną a potrzebną—zrozumiał pułkownika, jego charakter i prostotę żołniérską. W pięć minut jak to się czasem zdarza byli dobrymi przyjaciółmi, nie mieli trudności zbadać się wzajemnie, znaleźli się od razu staremi znajomymi. Twarz Klary jaśniała, bo sobie życzyła wielce, aby ich przyjaźń złączyła... Zaczęli mówić, a Wiktor swoim obyczajem rozmowę uczynił całą jednym prawie żywym i barwnym słów potokiem.

— Uprzedzam tylko kochanego stryja, rzekła Klara, żeby p. Teofilowi nic nie mówił o skarbie, bo pod tym względem o ile stryj jest wierzącym, p. Teofil sceptykiem... a nie chciałabym ażebyście panowie drażliwą różnicą zdań oddalali się od siebie.

— On mi staremu wybaczy, odparł pułkownik, a ja jemu jako młodemu daruję że sobie będzie z téj mojéj manii żartował... Wszak prawda?—Teofil milcząco podał mu rękę.

— Kochany panie, ciągnął daléj pułkownik, jak wiész byłem długo żołniérzem, w naszém życiu spotyka się częściéj przygody dziwne niż gdzieindziéj, nawykłem do cudów. Tu zaś mojem zdaniem nie byłoby żadnego, gdyby się skarb dziad-

ka Alberta wynalazł... bo istnieje, to pewna... a co jest... to człowiek zawsze odkryć gdzieś może.

— Tak, przypadkiem chyba szczęśliwym, dodała Klara, bo niemal wszystkie ważniejsze odkrycia ludzkość winna trafom.

— Bardzo być może, ja zaś rzekł pułkownik, dam przypadkowi zręczność popisania się... mam szczęście...

— Jak to rany pułkownika dowodzą—uśmiéchając się rzekła synowica.

— Właśnie, wszakci to są szczęśliwe rany, kiedy mi życia nie odjęły, nieprawdaż?... Gdybym wam wszystkie przygody moje opowiedział, przyznalibyście że szczęśliwszego w życiu człowieka niéma i nie było odemnie!

— Jakżeto mało kochanemu stryjowi do szczęścia potrzeba! mówiła Klara wzdychając po cichu.

— Mało! ale to co ja mam jest wiele i bardzo wiele... takiego poczciwego brata, taką śliczną i rozumną synowicę... Kąt własny... rany pogojone i niezłamana niemi odwaga...

— I papuga! dodała śmiejąc się Klara.

— A! papuga! nie będziesz się gniewała Klaro kochana, to powiem... Lepiéjżeby było żebym wam z Hiszpanii zamiast krzykliwéj i złéj papugi przywiózł był obcą, niepojmującą was żonę? Zmuszony jako istota towarzyska szukać sobie towarzyszki i towarzystwa... trafiłem na szczęśliwą myśl

kupienia papugi... Wierzcie mi, że to paratoner na który spływają wszystkie moje złe humory, kłótliwość, przekora, papuga wyrządza nam wielką przysługę... całą żółć wylawszy w rozmowie z nią, przychodzę wam łagodny jak baranek...

Śmieli się wszyscy, a pułkownik nie chcąc być długo natrętnym, podał dłoń Teofilowi i poszedł do swéj kwatery, spytawszy go tylko jak długo zabawi.

Stary Wudtke zarówno z wielu sobie podobnemi ludźmi którym się udało zbogacić łatwo i szczęśliwie, chorował na wiele słabości temu stanowi właściwych. Kościół uznaje *łaski stanu*, patologia moralna nie może nie widziéć—chorób towarzyskich wyradzających się w pewnych położeniach. Jak robotnicy chodzący około ołowiu mrą z pewnych chorób właściwych, tak ci co mają do czynienia ze złotem, podlegają im także.

Wudtke miał te choroby bogatych a raczéj zbogaconych, rozwinięte do wysokiego stopnia. Nie można było zaprzeczyć poczciwości jego — ale trzeba było zwątpić zupełnie o sercu. W większéj części winien będąc swe zbogacenie samemu sobie, miał za niedołęgów i występnych tych, którzy niczego się dorobić nie potrafili i zamiast miłosierdzia okrywał ich nietajoną pogardą. Człowiek ubo-

gi w oczach jego nie miał żadnéj wartości, bo wedle teoryi Wudtkego, każdy się mógł i powinien był przynajmniéj niezależnego dopracować bytu. Wzrósłszy w majątek, a przekonanym będąc że w ręku człowieka umiejętnego jest szczeblem do wszystkiego na świecie, stary bankier miał ambicyą ogromną i marzył o stanowisku przeważném dla syna, o znaczeniu, o władzy, o rozgłosie. Jakkolwiek bowiem przywiązany głównie do bogactw swych, Wudtke nie pogardzał tém co niemi mógł wyrobić,—ani drogami które się prędzéj wiercą złotym świdrem niż stalowemi góra Cenisio.

Przygotowywał on je dla Teofila i gniewało go wszystko co syna jego z tego przeznaczeń wielkich gościńca mogło sprowadzić. Szczególniéj zaś miłość jego dla Klary i związek z domem Paparonów, dla których w ogóle Wudtke miał wzgardę człowieka majętnego i zwiększającego mienie, względem tych co je w jakikolwiek sposób utracili. Byłoto uczucie robotnika który widzi towarzyszowi z rąk wytrącone winą jego niezręczności narzędzie.

Po rozmowie z panem Jakubem, Wudtke domyślał się że ojciec musiał się zwierzyć córce, przypuszczał iż może młodzi do siebie pisują i że Klara znać dała... potwierdzało go w tym domyśle i to że Teofil dosyć długo, przeciwko zwyczajowi swojemu, nie przyjechał do Gdańska...

Śledził więc teraz każdy krok jego i nie wa-

hał się jednemu ze swych sług polecić aby mu doniósł kiedy będzie i jak długo u Paparonów.

Domyśléć się łatwo jakie były stosunki między ojcem Wudtke a synem, z nakréślonych ich już charakterów.

Stary nie miał serca ojcowskiego, miał tylko dumę ojcowską—młody nawykły do posłuszeństwa i uszanowania czuł w sobie godność człowieka i energią, która przy całém jego przywiązaniu do ojca, stawiła granice niewolniczemu posłuszeństwu. Stosunek ten w którym nic nie rozbudziło serca, nie krzewiło miłości, nie był właściwie takim jakim go rodzina wymaga, ale przyzwoitym wedle obyczaju tych ludzi i ich wyobrażeń. Młody Wudtke miał serce, bolał na to że nie było ratunku. Miłość nawet dziecinna ma pewne prawa bytu, odpychana więdnieje, nierozbudzona zamiéra, nieogrzéwana stygnie. Serce się zwraca gdzieindziéj jak magnes, ku temu co miłość powołuje i wyzywa.

Wieczorem tego dnia gdy już Teofil dwa razy był u Paparonów i spędził tam kilka godzin, stary bankier wychodząc z biura, dowiedział się od sługi o jego obrotach. Raz—przypuszczał bytność Teofila dla rozmówienia się i pożegnania z Klarą, dwa—było już zawiele. Postanowił natychmiast rozmówić się z synem otwarcie.

Rodzina Wudtkich składała się naówczas z ojca, syna, zamężnéj już i wyposażonéj córki która mieszkała w Berlinie i siostry bankiera staréj panny, osoby łagodnéj, dobréj a niedaleko widzącéj. Po wieczerzy bankier dał znak siostrze aby odeszła. Jakiś czas wiele znaczące panowało milczenie; ojciec z cygarem chodził po pokoju. Namyśliwszy się, stanął wreszcie naprzeciw Teofila.

— Mamy z sobą do pomówienia, rzekł, jesteś już dojrzałym mężczyzną, otwartość obowiązkiem. Wiem o twoich stosunkach z domem Paparonów, o miłości dla pięknéj panny Klary. Jestto dziecińistwo które do pewnego stopnia i do pewnéj godziny, było dla mnie wytłumaczoném i zrozumiałém.... ale naostatek boję się by to nie był dowód słabości charakteru i krótkiego widzenia i obowiązany cię jestem przestrzedz, że to nie prowadzi do niczego. Mylę się, prowadzi cię to do zgryzot sumienia, gdyż możesz zresztą przyzwoitéj i miłéj panience zagrodzić los, przeszkodzić do zamążpójścia... a nie sądzę ażebyś nawet przypuszczał ożenienie...

Stary spojrzał na syna, spodziéwał się go ujrzeć zmieszanym, zdziwił się i nastraszył widząc spokojnym zupełnie. Teofil przez chwilę milczał.

— Kochany ojcze, rzekł, nieokazując najmniejszéj trwogi i pomieszania—zdaje mi się że całą tę sprawę wypadałoby zostawić mojéj własnéj ini-

cyatywie i sumieniu... Jestto rzecz delikatna, osobista... Przyjmuję od ojca z wdzięcznością przestrogę, ale radbym się nie tłumaczyć z mojego postępowania, chyba znaglony rozkazem...

— Nie zwykłem nadużywać władzy rodzicielskiéj, odparł bankier. Ale muszę wszakże widziéć jasno o tém, bo mnie twój los obchodzi.

— Jest prawdą—odezwał się zawsze z równą spokojnością Teofil, że mam wysoki szacunek dla panny Klary i szczére do niéj przywiązanie. Są to uczucia które się nie pozbywają i nie zrzucają z siebie tak łatwo... Zdaje mi się wszakże iż jak skoro ja nie mówię ojcu o moich na przyszłość zamiarach i nie krzyżuję niemi domniemanych planów waszych—powinienbym w tém przynajmniéj miéć prawo rozporządzania sobą.

Odpowiedź ta chłodna, niemiecka, charakteryzująca stosunek ich, dotknęła suchością swą, powagą starego bankiera, który o mało nie postradał cierpliwości; zmiarkował jednak iż wybuchnąć przed synem, byłobyto słabość okazać, począł znowu chodzić po pokoju ruszając ramionami.

— Żadajesz mi niekompetencyą panie Teofilu—odezwał się—jestto oryginalném względem ojca, ale może być żem ja temu winien, zawcześnie postawiwszy cię na zbyt niezależném stanowisku; przyjmuję zarzut: mam jednak prawo przynajmniéj być wtajemniczonym w twe zamiary przyszłe, nie

przypuszczając abyś życie bez planu i celu prowadził.

— To, odezwał się Teofil, z konieczności oprzéć się musi o kardynalne zasady i pojęcia — w których się podobno wielce różnimy... Na cóż mamy poruszać kwestye, będąc pewni iż się wzajem nie przekonamy.

— Ale zkąd dane iż są między nami różnice zdań, pojęć i że się one do jednego mianownika sprowadzić nie dadzą? zapytał ojciec.

— Te dane czerpię z przestrogi ojcowskiéj bardzo prostą logiką, rzekł Teofil; gdybyśmy się zgadzali w poglądzie na świat i życie, nie przestrzegałbyś mnie ojciec o niebezpieczeństwie.

Ojciec acz podrażniony, był zadowolony z dyalektyki syna... Złagodniał nieco uszanowawszy w nim inteligencyą.

— Mówmy otwarcie, spytał — ożeniłbyś się z p. Klarą?

— Jestto jedyném i najgorętszém życzeniem mojém, odparł śmiało Teofil.

Wyznanie to szczére, otwarte, zuchwałém wydające się bankierowi, nagle przeważyło szalę niecierpliwości dotąd utrzymującą się w równowadze; wybuchnął.

— A ja mam honor ci oświadczyć, że dopóki żyję i po mojéj śmierci potrafię zapobiedz abyś tego szaleństwa nie popełnił. Panna Klara! p. Kla-

ra! ale tu nie idzie o poślubienie ładnéj twarzyczki, wdzięcznego uśmiéchu i utalentowanéj artystki... Małżeństwo to prowadzi za sobą cóś więcéj nieuchronnie... to poślubienie rodziny marzycieli, utracyuszów, dziwaków... Pod jéj wpływem owoc mojéj i twojéj pracy nad sobą musiałby zmarniéć, pojęcia życia musiałyby się zwichnąć, ty byś upadł moralnie i materyalnie—i przyszłość całą, świetną, poświęciłbyś chwili niedarowanéj—rozpusty.

— Rozpusty!! powtórzył Teofil oburzony.

— Ale tak jest, mówił wzburzony równie bankier, tak jest—nazywam to surowo ale tak jak zasługuje... rozpustą. Miałżebyś hołdować temu głupiemu przesądowi, że na świecie są istoty wybrane, unikaty których nic zastąpić nie może! Kobiéta jest kobiétą nic więcéj... ideały mogą zachwycać w Schillerze i Goethem, na teatrze, w poemacie... ale w życiu to dobrowolne złudzenie, tu ich niéma. Poświęcić się dla nich... szczére głupstwo, niedołęztwo, szaleństwo.

Staremu z gniewu wyrazów brakło, syn był spokojny.

— Otóż w tém kochany ojcze, odezwał się powoli—różniemy się zupełnie w pojęciu człowieka i kobiéty. Ja sądzę że to co zowiemy ideałem, istota w któréj przeważają strony jasne i która z wiedzą idzie do udoskonalenia—jest możliwą, acz rzadką... Znalezienie jéj jest szczęściem, cudem... Nie

widzę pówodu wyrzekania się tego co się znalazło, dlatego co się już wcale w życiu może nie spotkać. Z drugiéj strony w życiu tém człowieka, towarzyszkę godną mężczyzny, uważam za konieczne dopełnienie jego... Komu nie było daném je zyskać... jest ułomnym na wieki. Ojciec kwestyą miłości i małżeństwa cechujesz jako rozpustę, ja na nią się z poszanowaniem poglądam, jako na jedno z najwyższych zadań żywota...

— To są studenckie bałamuctwa, które mi prawisz, wyniesione z jakiegoś głupiego kursu estetyki, czy diabeł wié... któréj z nauk ogłupiających ludzi... zawołał bankier... Praktyka życia nic niéma wspólnego z temi kwintesencyami starego sofizmu.

— Więc milczę—odparł Teofil...

— Ale nie dosyć milczéć—nie dosyć milczéć! zawrzał stary gniewnie, potrzeba oczy otworzyć i słuchać...

— Gdybyto było możliwe—szepnął syn spokojnie.

Tok cały téj rozmowy, jéj charakter, czyniły ją wielce draźliwą dla starego Wudtkiego, który czuł się słabym w obec syna i tém bardziéj go to niecierpliwiło, iż sam postawił się od razu na stanowisku niedopuszczającém wystąpić z ojcowską powagą, z autorytetem.

Rozmowa podobna u nas, gdzie jeszcze miłość

i uczucie ze wszystkiemi swemi rozgałęzieniami stanowią węzeł rodziny—byłaby niemożliwą—w Niemczech nieuniknioną się stała. Koniec jéj dla ojca zapowiadał przegraną.

— Nie sądzę, rzekł bankier, abyś mnie swoją ślepotą doprowadził do téj ostateczności, żebym aż władzy ojcowskiéj miał użyć. Są wszakże wypadki w których ona jest ostatnią ucieczką... Mijając inne pobudki, idzie mi o to aby ludzie potém nie obrzucili nas słusznym wyrzutem, żeśmy wyrządzili krzywdę... Jakkolwiek sądzisz mnie materyalistą, oceniam moralną szkodę którą możesz rodzinie téj zadać...

— Ale, kochany ojcze, odpowiedział niewzruszony syn—boleję nad tém iż tak masz o mnie małe wyobrażenie, że przypuścić możesz iż krzywdy się dopuszczę...

— Jesteś pod panowaniem namiętności, zawołał ojciec.

— Uczucia—poprawił syn. Namiętność zaślepia, to prawda, uczucie często jaśniejszy daje pogląd od chłodnego rozumu, bo go nie wyłącza.

Stary Wudtke znużony argumentami, rozdrażniony polemiką, rzucił ostre wejrzenie na Teofila.

— Mój kochany, rzekł po chwili surowo—jesteś mi drogim i miłym, o tém wątpić nie możesz, chcę twojego dobra, a to dobro pewnie mojém doświadczeniem widzę i oceniam jaśniéj od samego

ciebie. Pracowałem dla ciebie... ale zarazem dla własnéj idei, która mi także leży na sercu. Dla słabości dziecka wyrzec się budowy całego życia ani myślę, ani chcę, ani mogę. Gwałtu ci zadawać nie chcę, rób co ci się podoba, ale nie dziwuj się jeśli późniéj w skutek twojego uporu, na kogo innego przeniosę moją miłość i pieczołowitość jako na głowę domu. Nie zapominaj że mam zięcia. Berens po mnie może odziedziczyć dom i interesa, a ty masz pensyjkę, abyś miał o czém filozofować nie mrąc z głodu. Na małżeństwo z Paparonówną nie zezwolę. Ożenienie twe jest dla mnie środkiem do postawienia domu o szczebel wyżéj...

— Kochany ojcze, rzekł Teofil—i w tém ogromna zachodzi różnica w zapatrywaniach się naszych; dla mnie małżeństwo jest zbyt świętém, abym je czynił podległém rachubom... Zdaje się więc, że najlepiéj będzie nadzieje domu, plany wzrostu jego przenieść na Berensa, który jest odemnie daleko zdatniejszy, ja będę zadowolony z tego co mi zechcecie wyznaczyć... nie potrzebuję wiele, a swobody i szczęścia mojego życia za nic w świecie bym, nawet za najświetniejsze położenie i Rotschyldowską wszechmocność, nie sprzedał.

— To ostatnie słowo? zapytał Wudtke prawie z gniéwem.

Syn ukłonił się milczący; przykra rozmowa przerwaną została.

W istocie oprócz wymienionych pobudek i przyrodzonego wstrętu jaki bogactwo ma zawsze dla ubóstwa, niechęć bankiera do Paparonów była w nim spadkową. Słyszał on od ojca jeszcze o jakiémś zajściu przykrém między starym Albertem a ówczesnym panem Wojdskim, w którém protoplasta jego nie piękną grał rolę i zawstydzony zeń wyszedł. Rzecz była od wieków zatarta, zapomniana — ale uczucie które zrodziła, na dnie mściwéj duszy pozostało...

Bankier prócz tego ubogiéj rodzinie i jéj wspaniałego domu zazdrościł; byłby go nabył chętnie, zdawało mu się śmiészném ażeby ludzie ubodzy taką znaczną wartość nieprocentującą w rękach trzymać mieli. Co się tyczy skarbu, z tego poprostu się wyśmiéwał i szydził nielitościwie.

Teofil pozostał parę dni w mieście, nie zmieniwszy nic a nic swojego postępowania z Paparonami, bywał u nich parę razy na dzień i nie dał im wcale poznać że miał tę przykrą z ojcem rozmowę. Był nawet starając się ukryć swe skupienie, o tyle wesół o ile mógł i umiał, chociaż to nie oszukało biédnéj Klary. Mimo całego przywiązania do Teofila, czuła ona w jak draźliwém położeniu stawiło ją ubóstwo i ta miłość z niém razem. Czytała z oczów młodego człowieka co się tam w domu bankiera dziać musiało.

Wudtke w istocie zły był i gniewny, a gdy raz

to uczucie go opanowało, nie przebiérał w środkach dogodzenia mu... Nie mogąc pomścić się inaczéj, okrywał śmiésznością biédnych ludzi... począwszy od pięknéj panny aż do oryginalnego pułkownika.

Pułkownik który całą duszą codzień mocniéj przywiązywał się do rodziny, a dla Klary byłby dał życie, tak zachwycała go swą wyższością, spokojem, talentami, charakterem... poślubił sprawę dwojga kochanków i śledził ją z niepokojem przyjaciela. Chciał się zbliżyć do bankiera, mając w tém swoje widoki, ale kilka prób zupełnie nieszczęśliwych, podraźniły jego dumę. Wudtke gadać z nim nie chciał. Ile razy się spotkali, ledwie odkłoniwszy mu się—odchodził.

— Twardy jegomość, rzekł w duchu pułkownik, ale i ja miękki nie jestem... zobaczymy kto kogo nadkąsi... zobaczymy...

Ukąsić wszakże zawiędłego Wudtkego nie było łatwo, pan Wiktor nadto sobie pochlebiał; bankier miał w mieście ogromne wpływy i stosunki, pozycyą wyrobioną, w towarzystwie przewagę znanéj praktyczności swéj i szczęścia—gdy nowy przybysz cieszył się tylko uznaniem i współczuciem ludzi mniejszego kalibru. Pułkownik byłby go wyzwał chętnie za krzywdę moralną którą wyrządzał

jego synowicy—ale Wudtke nie był z tych ludzi co na pojedynek wychodzą. Łamał sobie głowę stary czém tego olbrzyma zmódz i złamać, olbrzym tymczasem skuteczniéj daleko przeciwko Paparonom pracował.

Szukał on w głowie środków rozbicia tego uroku jaki dla syna jego miała panna Klara; rozumiejąc i dochodząc po swojemu, wyrachował wreszcie iż te resztki splendorów, dom, zabytki. sztuki, willa... ubóstwo, mające w sobie cóś arystokratycznego, mogło Teofila pociągać, otaczając ją jakąś aureolą.

Oprócz tego brzydkie uczucie mściwe wiodło go do szkodzenia tym ludziom. Sądził że zubożeni do ostatka, łatwiéj mu ulegną i z Teofilem zerwą. Chodziło o środki wykonania tego planu w sposób taki, ażeby go nie posądzano, że ruiny był sprawcą, boby przez to ściągnął na siebie w mieście nieprzyjemne plotki.

Pan Jakub, jakeśmy mówili, pracował w domu cudzym, zajmując dosyć ważną posadę. Naczelnik téj firmy, Fiszer, był w ścisłych z Wudtkem stosunkach... Fiszer mimo że obracał dosyć znacznemi kapitałami i miał klientelę wielką, skutkiem zwiększających się coraz interesów, często bardzo potrzebował kredytu. Byłto człowiek rzucający się śmiało, przebiegły, z trafnym sądem, dość szczęśliwy w swoich obrotach, ale mający słabość jednę

która mu wiele nawet w handlu szkodziła, bo go pętała i często czyniła do niczego niezdatnym. Fiszer miał lat blizko pięćdziesięciu, był nieżonaty choć namiętny wielbiciel kobiéty. Wiek nie zniszczył w nim tego wcale... Kobiécy uśmiéch odrywał go od wszystkiego, odbiérał mu przytomność... paraliżował. Więcéj w nim może było chorobliwéj miłości własnéj, niż namiętności i serca. Ten Don Juan-handlarz zaczynał być śmiesznym... mimo bardzo starannie utrzymywanéj powierzchowności, jeszcze młodzieńczo wyglądającéj.

Wudtke był z nim bardzo poufale i dobrze, a co więcéj często mu będąc potrzebnym, miał wpływ i przewagę nad nim...

Właśnie jakoś w tym czasie zeszli się ci panowie sam na sam u bankiera na górze, w jego gabinecie, gdzie był zwykł pracować; od interesów poważnych rozmowa w pogadankę się stoczyła.

— Czy stary Jakub Paparona zawsze u was w biurze pracuje? zapytał Wudtke.

— O! od dawna — dlaczegóżbym się miał z nim rozstawać? człowiek zdolny i nieposzlakowanéj poczciwości.

Wudtke się skrzywił. — O uczciwości nie mówię, rzekł — ale co do zdolności jego... o tych powątpiewam. Znam ci go dobrze, głowa ciasna; wybyście i młodszego i czynniejszego potrzebowali zastępcy przy rozroście waszych interesów.

Fiszer który wierzył w zdanie bankiera, spojrzał nań tylko.

— Sądzicie? ba! ale kto mi jego sumienność zastąpi, dyskrecyą, takt...

— A! dziwne bo przymioty odkryliście w tym biédaku... zawołał Wudtke... czy nie kochacie się czasem w jego córce?

— Ja! ale cóż znowu! dajcież mi pokój, bronił się Fiszer.

— Nie dziwiłbym się, rzekł bankier... panna co się zowie piękna, pełna talentów jak słyszę... słowem ma to być cóś idealnego... a wyście nawet może nie ciekawi byli ją poznać...

— Widywałem tylko zdaleka... odparł kupiec.

— O! zchodzisz widzę z pola! starzejesz... śmiejąc się zawołał Wudtke... to nie do wiary... Wszakci to ma być cóś zachwycającego. Jakub u was w domu pracuje, macie zręczność wszelką zbliżenia się do nich... i—nie korzystacie...

Fiszer obrócił to w żart; przestali mówić ale Wudtke doskonale wiedział, znając człowieka, że go to musi zaciekawić... i skłonić do jakiegoś kroku. W tém się nie omylił jak i w innych dalszych rachubach swoich.

Trzeciego dnia po téj rozmowie, w biurze swém Fiszer rozmawiając z Jakubem nader uprzejmie, objawił mu chęć obejrzenia owéj sławnéj sali weneckiéj i kamienicy tak pięknéj, o któréj tyle pra-

wiono dziwów, a której on prawie nie znał. Jakub ze zwykłą swą uprzejmością, zaprosił do siebie w niedzielę następną na poobiednią kawę. Byłoto wypadkiem, zważywszy że od lat wielu jak p. Jakub pracował w tym domu, Fiszer razu prawie u niego nie postał. Trafiało się że wywoływał go stojąc w bramie, ale do wnętrza nie zachodził. Zdziwiła ta grzeczność i ta ciekawość artystyczna nawet Klarę i Jakuba. Dziewczyna uśmiéchała się dziwnie znagle zrodzonego gustu w człowieku, który go nigdy nie miał. Pułkownik bystrzejszy od nich, chociaż nic się domyśléć nie umiał i nie mógł, przyjął to z jakąś obawą... i podejrzliwością.

Pana Teofila już znowu w Gdańsku nie było, ojciec pośpieszył go do Berlina wyprawić.

Nie miał wcale we zwyczaju dla nikogo występować pan Jakub; jeśli mu się rzadki gość trafiał, przyjmował go jak Bóg dał, tém co było w domu chlebem powszednim.

W obyczajach niemieckich i ludzi kraju naszego co je sobie przyswoili, starodawna gościnność owych wieków w których ona była niemal religijnym jakimś obowiązkiem i tradycyą... wcale nie istnieje. Życie domowe jest zamknięte... obcy rzadko i wyjątkowo przystęp do niego mają. Ludzie nauczyli się spotykać i obcować z sobą w tych

miejscach schadzki publicznych, ogródkach, kawiarniach, knajpach, restauracyach, które są neutralnym gruntem wygodnym do stosunków życzliwych ale w ogóle ostrożnych i chłodnych. Wybór miejsca może się zdawać rzeczą obojętną, ale nie jest nią wcale; inaczéj się mówi, obchodzi i spoufala z człowiekiem, z rodziną, będąc wystawionym na wzrok i postrzeżenie tłumu, inaczéj wśród cztérech ścian własnego domu. Stosunki więc przyjaźni, znajomości zawiązujące się i utrzymujące na tym neutralnym gruncie, są w ogóle chłodne, ostrożne i nie sięgające głębiéj w serce i życie.

Ludzie ci nie wyrzekając się społeczności, potrzebując towarzystwa, używają go skromnie—pospolicie zapraszają się na wspólną przechadzkę, podwieczorek lub tym podobnie, ale rachunek rozdziela się ze skrupulatną delikatnością na kontrybuentów i nikt za drugiego płacić ani go ugaszczać nie myśli. Przyjęcia po domach nie są bezprzykładne ale rzadkie i znamionują już zawsze ściślejsze stosunki osób, albo nadzieję ich zawarcia. Dom jest gniazdem rodziny, jéj przybytkiem, obcy mało ma do niego przystępu. Gdy obrachujemy jeszcze że przy pracy i w skutek nawyknień sama familia nawet w całości rzadko się w nim zbiéra, łatwo dostrzeżemy różnicę życia naszego i obyczaju od niemieckich. Tu może nigdy ludzie tak jakoś poufale, serdecznie, ściśle się nie zra-

stają jak u nas. Nawet najmocniejsze węzły, pozostawiają jakąś część człowieka za obrębem swoim. Mąż, jest głową domu, pracownikiem przedewszystkiém, znaczna część dnia upływa mu tam gdzie go zatrudnienia powołują, resztkę jakąś często poświęca swobodnemu zupełnie wytchnieniu w piwiarni, kawiarni, ogródku, do domu powraca późno, znużony. Dzieci ukochane, chowane troskliwie, są przecież w rękach nianiek i bon na przechadzce większą część godzin; matka sama przy kuchni, bieliźnie, fortepianie czasem lub z przyjaciółką w publicznym lokalu.

Może być bardzo, że to oszczędne zbliżanie się sprawia iż tak łatwo rozczarowują się ludzie, ale téż odosabniają, stygną. Serce powoli na téj suchéj paszy zamiéra.

Tych kilka słów da nam zrozumiéć ważność wypadku, za jaki uważać było można zaproszenie pana Fiszera na kawę do weneckiego domu... Klara nie wysilała się na przyjęcie, ale sam fakt ten był nadzwyczajnością.

Pułkownik dowiedziawszy się o tém wcześnie, przyrzekł sobie nie chybić i być przytomnym tym odwiédzinom, niezrozumiałym, a wedle niego cóś znaczącym.

Z południa Fiszer ubrany, uperfumowany, odmłodzony, nie bardzo życząc sobie aby go widziano, przekradł się niepostrzeżony prawie ku kamie-

nicy Paparonów... Nie pamiętał nawet czy kiedy był w niéj we środku... to pewna że głównych apartamentów piérwszego piętra nie widział.

Mówiliśmy już o ich losach. Z miłością sztuki i smakiem opłacone milionami, pokoje te i sale wykończone były przez p. Bartłomieja w początku drugiéj połowy XVIIIgo wieku prawie przed stu laty. Od tego czasu zamknięte i opuszczone przez skąpego Alberta, stały niemal nietykane, aż do lat piérwszych XIX.

Były one wedle dzisiejszego wyrażenia, wielce niepraktyczne; mieszkać w nich było prawie niepodobna: wysokie, źle ogrzane, niewygodne, płaciły zato wytwornością, bogactwem, mnóstwem ozdób i szczegółów ciekawych i pięknych. Teodor mimo ubóstwa, Jakub chociaż niezamożniejszy od niego nic tu nie tknęli, nic nie wyszczerbili. Kilka razy zwiedzający kamienicę cudzoziemcy, ofiarowali dość znaczne sumy za obrazy, chińskie ogromne naczynia, marmury i pyszne drewniane sprzęty... ale nie miano odwagi pozbywać się tych pamiątek.

Stworzona przez pana Bartłomieja z taką znajomością rzeczy i gustem całość, była prawdziwie pańską, można powiedzieć książęcą. Dziwny téż stanowiła kontrast z ubóstwem jéj właścicieli... Jakub nawykł to był uważać jakby rzecz nie swoję, któréj był tylko stróżem... Począwszy od wspaniałego przedpokoju, całego w drewnianych rzeźbio-

nych dębowych okładzinach, aż do cudnéj sali weneckiéj ze złoconym stropem... dom ten był istotnie artystyczną kreacyą w smaku XVIIIgo wieku, tak pięknie zachowaną, jak się już dziś rzadko widziéć zdarza. Nie było tu żadnych śmiésznych dodatków, nic coby surową, jednolitą całość psuło. Przepych rozciągał się do najdrobniejszych szczegółów, do posadzek, ozdób i zastawy sal i pokojów. Gdańscy artyści rzeźbiarze na drzewie, wysadzili się tu z nieporównaną umiejętnością uczynienia tego materyału miękkim, lekkim, wdzięcznym. Znać było że rysunki do tych arcydzieł wyszły z pod kierunku artystycznie wykształconego człowieka. Obrazów nie było wiele, ale wyborne... dostarczyli ich najlepsi miejscowi malarze, szkoły wenecka i holenderska...

Na wszystkiém tém z trudnością się mógł poznać taki człowiek jak p. Fiszer, który w świat sztuki okiem ani myślą nigdy nie sięgnął, ale wchodząc uczuł on wrażenie przepychu imponujące; zrozumiał iż to było pańskie, kosztowne, arystokratyczne, wielkie. W dziwny sposób jakoś od progu zmalał, jakby go zgniotły te stropy złociste... odpadła go ochota i odwaga... Pan Jakub jego komisant, człowiek którego utrzymywał i płacił, figura którą nawykł uważać za podrzędną-, wydał mu się tu w swém gnieździe poważnym, innym, strasznym człowiekiem... Gdy w dodatku wyszedł

pułkownik który wszystkie swe ordery ponapinał do surduta, umyślnie dla imponowania trochę pryncypałowi Jakuba i w całym blasku piękności i naturalnego wdzięku, jaśniejąca młodością panna Klara... Fiszerowi zabrakło głosu w ustach, zdało mu się że chodzić zapomniał, że go cóś spętało... zmieszał się zupełnie. Niewiedzieć dlaczego radby był znajdować się gdziekolwiek bądź, byle nie tu.

Postawa szanownego pryncypała nikogo silniéj uderzyć nie mogła nad pana Jakuba, który od lat wielu codziennie z nim obcując, nigdy go tak skłopotanym i w tak zmniejszonym formacie nie widział. Nie uszło to jego uwagi...

Pułkownik przypatrywał się milcząco.

Od progu Fiszer okazał zachwycenie swe wspaniałością, o któréj jak mówił, nie miał nawet wyobrażenia. Nieumiejąc inaczéj pochwalić, powstarzał nieustannie: — Co téżto kosztować musiało... Jakie to piéniądze w to włożono!

Ten charakterystyczny frazes byłby na usta Klary i stryjaszka uśmiéch wywołał, gdyby się, spojrzawszy na siebie, nie powstrzymali.

— Szanowny panie, odparł pułkownik na ten wykrzyknik powtarzający się kilkakrotnie, my na nieszczęście najlepiéj wiemy jakie w to piéniądze włożono, bo mamy w spadku rachunki po ś. p. pra-

dziaduniu Bartłomieju, i za tę jego fantazyą płacimy po dziś dzień naszém ubóstwem. To mnie jedno pociesza, dodał Wiktor, że drugi dziadunio Albert odrobił nam fortunę wielką, i schował ją tak ślicznie, że się nam lada dzień cała, nietknięta do rąk dostanie.

Fiszer spojrzał zdumiony.

— Jakto? rzekł, jeszcze marzycie o tym skarbie?

— Przynajmniéj ja—odpowiedział pułkownik; nie mam co robić, poświęciłem się więc poszukiwaniu.

Fiszer z lekka ruszył ramionami.—Słyszałem i ja o tém od dziecka, dodał, ale to fikcya jak się zdaje... skarb tak znaczny o jakim była mowa... nie takby łatwo mógł być ukryty, a podobno i poszukiwania czyniono.

— Wszystko to prawda, śmiejąc się, rzekł Hiszpan, ale ja go jednak znajdę, choćby nie było...

Po tym epizodzie zasiedli do kawy, którą z trochą próżności podano w salonie weneckim... Fiszer ze swego zdziwienia piérwszego wyszedł powoli, pochwycony drugiém niemniéj silném wrażeniem, pięknością i urokiem panny Klary. Byłto jeden z tych nies[illegible] kobiéciarzy, tak dobrze w naszym języku nazwanych, którzy nie kochali nigdy, ale mają ochotę całe [illegible] śmiertelnie się zakochać i marzą ciągle o miłości na widok pięknych twarzyczek. Widywał on zdaleka nieraz pannę Klarę, oce-

niał jéj piękność, nigdy mu się jednak tak zachwycającą jak dziś nie wydała. Nawykły do tych piękności pospolitych, których cały blask stanowi wegetacya bujna, świéżość i rozkwitnięcie cielesne, piérwszy raz widział niewiastę w całém znaczeniu tegó wyrazu, duszą i ciałem uroczą. Nie mógł się oprzéć nadzwyczajnemu wrażeniu jakie czyniła na nim.

Widać to było z zakłopotanéj a razem przymilonéj postawy, z zalotności jaką przybrał w mowie i ruchach która go czyniła dosyć śmiesznym, prawdę rzekłszy.

Nie powiemy że się zakochał od piérwszego wejrzenia—ale że oszalał to pewna; było to jakieś nieokreślone uczucie uwielbienia, namiętności, obałamucenia...

Klara była wesołą, swobodną i choć jéj wcale nie szło o podobanie się p. Fiszerowi, chciała go pozyskać dla ojca, którego byt w części znacznéj od tego nieszczęsnego chlebodawcy zależał. Wiktor jak zawsze rozweselał towarzystwo, Jakub tylko był zamyślony i milczący.

Trwały te odwiedziny dosyć długo, przeciągnęły się nad wszelką rachubę i wywołały osobliwszy objaw w Fiszerze—zaproszenie całéj rodziny na podwieczorek do jego domu. Po[illegible] wystąpić!!

Po wyjściu jego pułkownik chodził długo po sali, niezwyczajnie zamyślony. Dziś, rzekł do Kla

ry, przekonałem się dowodnie że nie jestem i nie będę nigdy Niemcem. Jestto naród wielkich przymiotów, wielkich zasług i wielką mający pewnie przyszłość przed sobą... bardzo mi żal że się do niego wcielić nie mogę, ale to inny gatunek ludzi. Czuję w sobie że należę do różnego plemienia.

— Tak jest w istocie, uśmiéchając się odpowiedziała Klara—ale ja nie pozwolę stryjowi nic mówić przeciwko nim... Matki nasze wszystkie od kilku pokoleń do tego należały narodu... nie sądzę by nam co z sobą wniosły złego...

— Uchowaj Boże, zawołał Paparona—miały ten wielki przymiot i cnotę, że nic z sobą nie wniosły prócz posagów. Patrzajże moja dobrodziéjko na Jakuba i na mnie, czy nie widać na nas od piérwszego wejrzenia, że nie należemy do plemienia Fiszerowego? Niechże ja—mnie wychowała Hiszpania i włóczęga, jestem po troszę obywatel świata ale Jakub co na swém śmiecisku życie spędził... mówcie co chcecie, nie wygląda mi na Niemca.

— A ja? spytała Klara—tylko szczérze.

— Ty... zawahał się pułkownik... skłamałbym serdecznie gdybyś mnie na wojskową szczérość nie wyzwała. Ty—ot nie wiem... jesteś jako ideał... wyżéj po nad te drobne różnice plemion i narodowości... Któżby śmiał powiedziéć że Wenus medycejska jest Greczynka lub Rzymianka?

— Stryjaszku, wykręcasz się, niechcąc powiedzieć prawdy! roześmiała się Klara.

— Klnę ci się żem ją powiedział całą...

Roześmiał się Wiktor i wyszedł.

Wudtke który miał Fiszera na oku i już o bytności jego u Paparonów wiedział, spotkał się z nim niby wypadkiem nazajutrz... Po swojemu znał on ludzi, i wiedział że dla wielu, to co my zowiemy podbijaniem bębenka... bywa wielkiego znaczenia.

— A cóż? kochany Fiszerze, spytał, byłeś słyszę w weneckim pałacu i oglądałeś oko w oko jasną twarz panny Klary? nie prawda że czarodziejka?

— Piękna jak... bóstwo! piękna jak... niéma na to wyrazu...

— Zakochałżeś się?

— Gdybym miał dziesięć lat mniéj i dziesięć razy mniéj rozumu, kto wié!

— Co bo mówisz, wcale starym nie jesteś, wyglądasz na podziw pięknie, ja się temu zawsze dziwuję, rzekł Wudtke poważnie—ożenić ci się kiedyś przecie potrzeba... a panna, dodał uśmiéchając się szydersko, oprócz posagu wdzięków, ma jeszcze w ekspektatywie... ów skarb.

Fiszer ruszył ramionami.

— Mniejsza o skarb... ale to osoba, osoba...

to kobiéta... to panna... jakiéj drugiéj u nas nie znaléść.

— Widzisz, odezwał się Wudtke... mówiłem ci to... i już widzę żeś zakochany, pod urokiem... Ale, poczciwy człecze... cóż łatwiejszego jak tobie się z nią ożenić? Jakub ci ją musi dać, bo chleba kawałka potrzebuje od ciebie.

Rzuciwszy tę myśl, odszedł bankier, pewien że utkwiła... jakoż poszedł z nią Fiszer i przyznać trzeba, że się już od niéj uwolnić nie mógł.

W parę dni potém przyszedł ów podwieczorek u niego, a p. Klara znalazła w progu zaraz witającego gospodarza z ogromnym bukietem... Był nadskakującym, zalotnym, a co więcéj znaczyło, rozrzutnym w przyjęciu, które w istocie było wspaniałe. Nawet dla starego pułkownika z dziwną uprzejmością postawiono butelkę wina hiszpańskiego. P. Jakub był pokorniejszy niż kiedy i skłopotany. On i pułkownik już przeczuwali co się święci... trapiło ich to. Klara nie zdawała się nawet przypuszczać nic podobnego.

— Stary, łysy kupczysko oszalał czy co! mówił w duchu Wiktor... jeżeli myśli o Klarze i wlezie nam w drogę... to mu resztę włosów z głowy wydrę. Także się wybrał w porę na konkury! A do kroć sto tysięcy... może rachuje na to że Jakub z niego żyje...

A! panie! gdybym ja ten skarb mógł znaléść! gdybym go mógł znaléść!...

Właśnie gdy się to działo, druga niespodzianka od przybycia pułkownika, spotkała p. Jakuba. Mówiliśmy w początku naszego opowiadania jak w piérwszych latach przeszłego wieku przybył do Gdańska protoplasta rodziny z księztwa Poznańskiego... zupełnie tu nieznany, z małém dzieckiem siérotką, jak się wżył w nowe dla siebie społeczeństwo i wcielił do niego. Wspomnieliśmy także iż po kilkakroć wyjeżdżał potém do księztwa, zkąd, jak mówiono, ściągał jeszcze kapitały... Już syn jego, ów artysta Bartłomiéj, którego on małém dzieckiem na ręku przywiózł do Gdańska, nie miał żadnych z pozostałą w Poznańskiem rodziną stosunków. Następcy stracili zupełnie z oczów i pochodzenie i familią... Wprawdzie po panu Janie jeszcze zostało kilka portretów, które on przywiózł był z sobą, wiązka zżółkłych papiérów i notat po polsku pisanych, ale do tych nie było komu zajrzéć. Nawet inkwizytor ów, co wszystko w domu przetrząsnął, pułkownik Wiktor, do szpargałów po Janie ani zajrzał, portrety w kącie jakoś wisiały zapomniane.

Jednego dnia jesieni, gdy pułkownik sam jeden był w domu, zadzwoniono do bramy... Rzadko się

to dosyć zdarzało; służąca przyszła oznajmić że jakiś podżyły jegomość pragnie się widzieć z którym z panów. Wiktor sądził że to sprawa obchodząca Jakuba, bo nie miał tu ani interesów, ani znajomości tak blizkich, ale sługa uparcie utrzymywała, że przybyły widzieć się chce z którymkolwiek z nich bez różnicy. Pułkownik więc kazał prosić bez ceremonii do siebie na górę, przykrywszy wprzódy papugę chustką, bo niemiłosiernie wrzeszczała swoim zwyczajem. Po chwili zjawił się w progu mężczyzna stary, z nogami obrzękłemi w szerokich butach, wąsach, ale tak dziwnie do Jakuba podobny, że Wiktor stanął osłupiały na widok jego.

Gość nie wyglądał na Gdańszczanina wcale, ubiór zdradzał wieśniaka i domatora... Nowe zdziwienie, gdy przybyły zaprezentował się jako Jan Albert Paparona... Wiedział bardzo dobrze Wiktor iż w prostéj linii po Janie żadnych krewnych nie mieli. Stary usiadł, wytchnął i odezwał się.

— Jestem Paparona i wasz krewny...

— Dalibóg! nie wiedziałem o tém że ich mamy.

— Jestto rzecz niezawodna, mówił przybyły, dobywając papierów... Jan Paparona mojego pradziada brat rodzony wywędrował, głupstwo zrobiwszy, z kraju...

— Głupstwo? podchwycił pułkownik... jako należący do familii mógłżebym wiedzieć jakie?

— Nie przerywajże mi, szanowny kuzynie, sapnął stary—bo się dowiész wszystkiego. Ten Jan, kat nadał—zakochał się w wojewodziance Opalińskiéj; choć dobry szlachcic, ale zawsze daleko mu było do wojewodzianki. Pałka szalona wykradł ją, kłopotu sobie nawarzył, zemsty, awantur, żona mu z desperacyi umarła, a on z księztwa uciekać musiał...

Tandem Opalińscy posagu po wykradzionéj nie zapłacili zrazu, potém ułożywszy się polubownie, cóś mu tam dali...

— Z tém pewnie tu handel począł, rzekł pułkownik.

— Z czém on począł i na czém skończył tego ja nie wiem, rzekł stary, ale to wiem, iż prowadzą proces o spadek po wygasłéj téj linii Opalińskich sukcesorowie jacyś i uczepili się do mnie... jako do Paparony. Ja... żadnéj do spadku pretensyi miéć nie mogę, ale wy...

— Co? spadek? zawołał porywając się z krzesła pułkownik...

— A no, cóś tam wam kapnie—rzekł szlachcic.—Będąc w Gdańsku pomyślałem sobie, co téż się tam z tymi Paparonami stało...

Podał rękę pułkownikowi...

— A maszże czas słuchać naszéj historyi? spytał pułkownik...

Szlachcic, spojrzał na zégarek...—Długa to historya?

— Długa...

— No, to ją odłożemy, bo muszę pójść tu do jednego Niemca za interesem... do...

— Do kogo? zapytał ciekawie Wiktor.

— Nazywa się Wódka, nic dziwnego w Gdańsku! uśmiéchnął się stary. Pułkownik aż wąsa zagryzł...

— Ale mój dobrodzieju—choć w krótkich słowach, ile was jest? jaka wasza dola? boć to swoja krew...

Wiktor w krótkich słowach po żołniérsku opowiedział mu o rodzinie, szczegóły odkładając na późniéj, a szlachcic wyścikawszy go serdecznie wyszedł za interesami...

Można sobie wyobrazić jakie na panu Jakubie przerażające wrażenie zrobiła wiadomość udzielona mu przez Wiktora o owym przybyłym dalekim krewnym, i o... spodziéwanym spadku! Pułkownik już na ten rachunek marzył, Jakub całéj siły rozumu użyć musiał aby się od tego powstrzymać, i nie puścić zbytnie wodzów wyobraźni i nadziei. Przypomniał on i bratu, że spadek będący pod procesem, jednę tylko najjaśniéj przedstawia ewentualność: kosztów, które za sobą pociągnąć może...

Oczekiwano wszakże z niecierpliwością zjawie-

nia się pana Jana Alberta, i postanowiono przyjąć go tym razem na piérwszém piętrze, aby mu pokazać że Paparonowie gdańscy, mieli przynajmniéj siedzibę godną ich staroszlachekiego imienia.

Niepokoiło to nieco obu braci, że Paparona ów miał się widzieć z panem Wudtke... który naturalnie nie mógł omieszkać złego wyobrażenia dać o rodzinie krewniakowi.

Nad wieczorem zjawił się wreszcie szlachcic, a pułkownik zobaczywszy go, zszedł aż na dół dla wprowadzenia... Jan Albert uderzył Klarę i samego nawet Jakuba niesłychaném podobieństwem twarzy do niego; byłoto może najlepsze świadectwo jednego pochodzenia.

— Mieszkacie państwo w pysznym pałacu, — ozwał się wchodząc szlachcic — czyjże to dom?

— Nasz, rzekł Wiktor, nasz, a chociażeśmy zubożeli, dla pamiątki pozbywać się go nie myślémy...

Na piérwszém piętrze szlachcic osłupiał, w sali weneckiéj nie znalazł wyrazów dla okazania podziwienia, a zobaczywszy Klarę, głęboko zamyślony, widocznie okazywał zmieszanie. Ubóstwo to w połączeniu z przepychem domu było dlań nie do pojęcia.

— Byłżeś szanowny kuzynie u Wudtkego? spytał Wiktor.

— Byłem, byłem i zrazu na moje nazwisko

swoje wielkie oczy otworzył... Mieliśmy interes zbożowy... Zagadywał mnie o familią, ale nie czuć w tém aby wam bardzo sprzyjał...

Wiktor się uśmiéchnął.—Cóż robić! rzekł obojętnie.

— Teraz słucham powieści o losach waszych — dodał przybyły, wszystko co widzę obudza we mnie ciekawość niezmierną...

Pułkownik podjął się historyi domu, którą znał szczegółowo, poświęciwszy jéj dość pracy od powrotu swojego do Gdańska, Jakub i Klara pomagali mu; przyszła z kolei historya skarbu, którą pułkownik z całą gorącością swych przekonań, długo i obszernie rozpowiedział. Szlachcic słuchał niedowierzająco, potém z zajęciem, naostatek widocznie zaciekawiony i ujęty... ale zdania swojego w tym przedmiocie nie objawił.

Z kolei Jakub począł go badać o tę jakąś sukcesyą po Opalińskich, o domniemaną wysokość sumy któraby na nich przypaść mogła, trudności odzyskania i t. p.

— Jadąc tu dla moich własnych interesów, odparł żywo—i spodziéwając się znaléść jakąś gałązkę rodu Paparonów... Zasięgnąłem wiadomości od prawników w tym przedmiocie...

Otóż sprawa jest na tym stopniu, że grosza nie wydając, samą poparłszy się genealogią waszą, możecie wziąć spadek. Familia bowiem broniąca

się od procesu, składa się niemożnością uregulowania pretensyj dlatego, że się wy nie stawiacie... rodziny mające prawo do spadku szukają was ażeby swój interes przyśpieszyć, one więc same zrobią wszystko, byle z waszą raz się to skończyło.— Co się tyczy sumy jaką otrzymać możecie, to wcale tak wielką nie jest, jakby się z rozgłosu imion i upłynionego czasu spodziewać można. Głów na które się w różnych częściach dzieli sukcesya jest kilkadziesiąt, na was więc dwóch... *vidiculus mus*, ale zawsze... z dziesięć tysięcy talarów...

— Rzecz jest zapewnie małą, odparł Jakub, ale gdyby bez kosztów wypaść nam mogła... nie byłaby wcale do odrzucenia. Odstąpilibyśmy—przynajmniéj ja—rzekł spoglądając na brata... komukolwiek sumy, gdyby ją chciał nabyć.

— I ja... dodał Wiktor...

— Może się nabywca znajdzie—rzekł szlachcic, ale w każdym razie nie ja... bom jak żyję nie nabywał procesu... i spokój cenię nad wszystko. Dzieci nie mam, żonaty już nie jestem, bo mnie odumarła moja poczciwa żona... zdrowia nie nadto, a pieniędzy nie pragnę tak bardzo—cobym z niemi robił?

Wypadek ten, wiadomość o sukcesyi zaraz nazajutrz rozeszły się po mieście, wiedział o wszyst-

kiém Wudtke, wiedział Fiszer i inni... naturalnie dużo rozprawiano, ale stary bankier śmiał się z tego jak ze skarbu, którego szukali Paparonowie.

— Są rodziny predestynowane od Boga, mówił szydersko, ażeby ich los bawił mydlanemi bańkami... Paparonom nie dosyć było zaklętego skarbu, zyskali jeszcze zaklętą sukcesyą... w którą rzeczywisty grosza ostatek pewnie wlepią?—W dodatku, szeptał ciszéj, sukcesya po jakiéjś rodzinie hrabiowskiéj, pańskiéj, doskonałą jest do zawrócenia głowy i obałamucenia próżnością...

Pomimo tych przedrwiwań, Wudtke nie bardzo był rad możliwemu poprawieniu losu Paparonów... utrudniało to jego plany. Niespuszczając wszakże oka z Fiszera, jemu udzielił wiadomości o tém, sądząc że tém go podbudzi do zbliżenia się ku pięknéj Klarze i starania o nią. Nadawał taki obrót rzeczy, aby z niepomyślnego nawet skorzystać wypadku.

— Wiész Fiszer, rzekł do niego wieczorem tego dnia, tobie się we wszystkiém w szczególny sposób szczęści. Ledwieś pomyślał o Klarze, bo żeś pomyślał tego mi się nie wypiéraj, jużcić na nią spada sukcesya i zjawia się szlachecka familia, bądź co bądź, to *von* przy nazwisku żony, jakkolwiek głupstwo... ale brzmi przyjemnie...—Spojrzał na Fiszera, który był zmieszany.

— Ja przecie ani myślę o pannie Klarze; na

co mi to wmawiasz, odparł Fiszer, nie przeczę iż cudownie piękna... nie wypiéram się że mi się podoba—ale żenić się! żenić się!

— Juściż nie spodziéwam się byś myślał, że Jakub będzie obojętném okiem patrzył na miłostki płoche i bez celu... To sobie, kochany Fiszer z góry powiedziéć musisz, że trzeba będzie skończyć u ołtarza.

— Ja się nie żenię i nie chcę żenić—odparł Fiszer skłopotany, na co mi to narzucanie...

— Bo cię znam! klepiąc go po ramieniu wedle obyczaju niemieckiego, rzekł Wudtke, który znał słabe strony człowieka i wiedział że mu wiele wmówić można. Lepiéj ci skończyć trudno jak takiém ożenieniem, najpiękniejsza panna w Gdańsku! w Prusach, familia z tém *von* które nie szkodzi... dalėj dom pyszny. Cóż chcesz więcéj...

Fiszer już zmilczał; ale obróciwszy to w żart, poszedł wszakże zamyślony i w duchu mocno projektem tym zajęty...

Nawykli do niepowodzenia Paparonowie prędko ochłonęli z marzeń o sukcesyi, daleko przyjemniejszém dla nich było, że znaleźli choć daleką rodzinę, która się do nich przyznawała. Ale pomiędzy przybyłym szlachcicem a nimi, choć od pierwszego dnia stosunek był serdeczny i życzliwy,—w dłuż-

szém obcowaniu objawiły się takie różnice pojęć, zdań, najprostszego nawet trybu życia, jak gdyby z dwóch przeciwnych świata krańców się zeszli. Szlachcic nie mógł się wydziwić im, ani jemu. Co słowo niemal spotykali się na nieprzejednanych sprzecznościach w sposobie widzenia... Trudno oznaczyć co ich tak bardzo rozróżniało, a jednak nie zgadzali się w niczém prawie. Paparona wiejski nie rozumiał życia w mieście i pracy ciężkiéj swojego krewniaka, który pomimo to ogromną miał w domu i willi wartość, które zdaniem wieśniaka zrealizowane, dozwalałyby spokojnie żyć nie pracując... Dla Jakuba trud i zajęcie były żywota warunkiem, potrzebą, dla tamtego ciężarem, karą, od któréj co najrychléj powinni się byli uwolnić.

— Chodzić codzień do biura! siedziéć po kilkanaście godzin, słuchać jakiegoś trutnia pryncypała... a to jabym wolał w małéj chatce o razowym chlebie siedziéć... a być *sobie panem...*

— Jać przecie wolny téż jestem, mówił Jakub, a te godziny pracy stały mi się już nałogiem i potrzebą.

— Wszelako to nie do zniesienia... żeby mi dawali miliony, nie sprzedałbym się na taką niewolę.

Pułkownik po troszę się godził czasem ze szlachcicem, Jakub łagodnie się uśmiéchając, ruszał ramionami.

Uderzało to w przekonaniach obu ludzi, przed-

stawiających sobą istotnie dwa różne światy, że Paparona wieśniak wedle starych pojęć swych nierozumiał pracy w życiu i dorabianiu się gdy pewien kres osiągnięty został. Jakub po niemiecku widział w milionach nawet tylko drogę do nabycia nowych i narzędzie do łatwiejszego pochodu, daléj a daléj...

Wieśniak marzył o używaniu, mieszczanin o zdobywaniu.

Ktokolwiek głębiéj zastanowił się nad obyczajami naszemi, ten przyzna iż pojęcie takie życzeń wpłynęło u nas poważnie na wyrobienie się społeczeństwa o jego losy.

Wszystkie rodziny które pracę zrozumiały jako obowiązek wiekuisty, nieustający, *sine qua non* swojego istnienia, przetrwały najgorsze losy i utrzymać się potrafiły,—ogół który odrzucał pracę natychmiast gdy koniecznością chleba powszedniego nie była, musiał powoli sam się strawić i pożréć. W historyi rodzin i całéj może jednéj klasy społeczności naszéj, jest to bijąco widoczném. Do fałszywych a zgubnych pojęć należało i to jeszcze, że ze wzrostem jakimkolwiek majętności, podwyższano natychmiast życia skalę i użycia, jakby im co najpilniéj było zdobyte skonsumować... Często bardzo (najczęściéj nawet) ten rozrost pragnień żywszy był niż wzrost fortun, tak że w danym czasie musiały one upadać lub chylić się do upadku.

Przykład szlachty wpłynął nawet zgubnie na inne, średnie warstwy które téż w dorobku będąc, albo dosiągnąwszy piérwszych szczebli już całkiem wyrzekały się pracy, lub natychmiast obracały ją na zewnętrzne okazy i popisy. Rzadko kilka pokoleń wytrwało w jednym zawodzie. Kto zrobił trochę grosza na mydle, już się kupić wioskę kusił i mydła wstydził, a w drugiém pokoleniu dzieci wychowane do próżnowania, nawet mydła robić nie potrafiły. Tak było niemal wszędzie. Wyobrażenie z gruntu fałszywe że jedna jakaś praca, naprzykład gospodarstwo rolne, jest szlachetniejszą nad drugie, także się przyczyniało do złego.

Szlachcic Paparona należał duszą i ciałem do starego autoramentu... Krewniaki zamieszkałe w mieście wydały mu się dziwnie mieszczańsko i prozaicznie. Z innéj strony i Jakub i Klara podziwiali obojętność i nieświadomość kuzynka w rzeczach ukształcenia ogólnego... poczciwiec nie miał wyobrażenia o literaturze, o sztuce, lub miał tak dziwne i powierzchowne... Klara chciała go zająć muzyką, postrzegła że w muzyce taniec tylko był mu zrozumiały... zaczepiła o malarstwo... szlachcic jako żyw nie wiedział że istnieją na świecie Schnorry, Corneliusy i Schadowy i t. p. Z literatury ledwie kilka imion miały dlań znaczenie... wątpliwe i nie jasne...

Zdawałoby się, że człowiek co nie miał nic do

czynienia dla zapracowywania na chléb powszedni, powinien był zwróćić się cały do umysłowych zatrudnień... niestety... poczciwy Jan Albert lubił tylko... komin, gawędę przy nim czczą, dobry stół i dobrych przyjaciół... którzyby go nie nudzili poważniejszemi przedmiotami i wymysłami nowemi.

Nowych czasów, ludzi i rzeczy nie był zwolennikiem.

Wszystkie wady i przymioty szlachcica zbliżały go raczéj do Wiktora niż do Jakuba... Wiktor także był próżniak i żołniérskie jego wyobrażenia godziły się lepiéj z wiejskiemi niż z mieszczańskiemi... Przez parę dni pobytu w Gdańsku przybyłego, przesiedzeli oni razem w winiarni większą część czasu... Wiktor opowiadał anegdotki hiszpańskie, szlachcic się śmiał i ściskał. Wieczorem wychodzili w dobrym humorze, nie mogąc się dosyć nacałować. Na tychto poufałych gawędkach, poprzyjaźnieni z sobą dwaj godni siebie poczciwcy, uradzili Jakuba wyciągnąć z poddaństwa Fiszerowego, a nimby się skarb odkrył co (wedle pułkownika) lada dzień nastąpić miało, szlachcic oprócz sukcesyi na któréj odebranie dano mu pełnomocnictwo, ofiarował pożyczyć, hypotekę opiérając na nieruchomościach, jakie pięćdziesiąt tysięcy talarów... Wiktor nazwał go zbawcą, uklęknął przed nim i

obaj uradziwszy zachować tajemnicę, rozeszli się — szczęśliwi.

Przyszłość więc Paparonów, w chwili gdy się jéj zdały zagrażać największe niebezpieczeństwa, szczęśliwym składem okoliczności obiecywała się wyjaśnić — pułkownik nie posiadał się z radości... Pożegnano szlachcica, odprowadzając go uroczyście, a tymczasem wróciło wszystko w dawne karby.

Fiszer zaś rozgorączkowany, namówiony przez Wudtkiego, rozmiłowany okrutnie, począł na seryo nudzić sobą pannę Klarę. Już w parę tygodni staranie jego o rękę nieulegało wątpliwości, przybrało takie cechy, stało się tak jawném, że się złudzić nie było podobna. Pan Jakub posmutniał, Klara była zniecierpliwiona, Wiktor się oburzał. Ale co było począć? Fiszer nie oświadczał się wyraźnie, niewypadało dawać mu od kosza nim rękę poń wyciągnie.

Nareszcie jednego dnia utrapiony łysy konkurent przyszedł po południu, wyrachowawszy iż Jakub był w jego biurze, a Wiktor w kręglarni, zastał pannę Klarę samą, i po krótkim wstępie wybuchnął:

— Pani, rzekł — nie sądzę byś się na moich uczuciach dla ich domu omylić mogła i nie domyślać ich. Od piérwszego zbliżenia się do niéj, gwałtowne uczucie opanowało mnie... nie mogę go dłu-

żéj w piersi utrzymać... bądź co bądź... pozwól mi je wynurzyć sobie i—poprosić o rękę twoję.

Panna Klara którą to wystąpienie nie zdziwiło bynajmniéj, przyjęła je spokojnie.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczną za jego... przyjaźń i ofiarę, chciéj wierzyć że gdybym sumiennie mogła mu oddać tę rękę któréj życzysz, nie wahałabym się to uczynić... Zostaw mi pan swój szacunek, ale nie wymagaj odemnie tłumaczenia dlaczego... życzeniom jego w żaden sposób zadosyć się stać nie może.

— Jakto? pani mi odbiérasz wszelką nadzieję? zawołał Fiszer.

— Powinnam to uczynić, odpowiedziała Klara—jestto obowiązkiem sumienia, proszę nie badaj mnie pan więcéj...

— Jestli to tylko wstręt do mnie, który przełamaćby się dał może, lub... czego się obawiam — inne przywiązanie?...

Klara się zarumieniła.

— Nie mogę panu więcéj nic powiedziéć nad to, że gdyby w jego miejscu ktokolwiek stanął inny, równiebym ofiarę odrzucić była zmuszoną...

Fiszer spochmurniał.

— Jakkolwiek to jest dekret stanowczy, odezwał się, ja nie mogę wyrzec się nadziei... i apeluję... zostając na stanowisku...

— Wzbronić tego nie mam prawa, ale prze-

strzedz powinnam pana... zmienić postanowienia nie mogę.

Stary konkurent przebąknął słów kilka i widocznie dotknięty do żywego, poleciał do Wudtkiego.

— Otóżto w co mnie wpędziłeś, zawołał wbiegając—posłuchałem cię, oświadczyłem się pannie i ze wstydem wyszedłem...

— Co? co? co? oświadczyłeś się? krzyknął doradzca.

— A cóżem miał zrobić?

— Oświadczyłeś się pannie?

— Tak jest.

— I w tém omyłka, w tém błąd nieodpuszczony—przerwał Wudtke.

— Jakto?—cóżem miał zrobić?

— Powinieneś był oświadczyć się ojcu, to leżało jak na dłoni... Ojciec od ciebie zależny! byłby miał czas wpłynąć na nią i przygotować ją.

Fiszer zamyślił się.

— To do poprawienia, rzekł.

— Może, rzekł Wudtke... ale wyznajże, kto mając twierdzę atakować daje jéj znać przez trębacza iż przypuści szturm, nie bardzo sobie postępuje zręcznie.

— Głowę straciłem, rzekł Fiszer—to prawda.

— Nie zwlekajże z Jakubem, dodał Wudtke,

a jeśli dojdzie do ostateczności, wymów mu miejsce natychmiast...

Z tém wyszedł konkurent.

Klara natychmiast po powrocie ojca z biura, w przytomności pułkownika opowiedziała smutny wypadek ranny. Jakub się już go spodziéwał; on jeden całą osnutą intrygę mimowolnie póchwycił, domyślił się jéj... Codzień poufalsze narady i stosunki dwóch tych panów biły w oczy; przewidywał nawet i to następstwo że mu zagraża utrata miejsca. Ani chciał ani potrzebował się taić z tém co dlań było jasne.

— Spodziéwałem się tego, rzekł, w całéj robocie ręka starego Wudtkego jest mi widoczną; lęka się on o syna i radby zapobiedz dalszym jego znami stosunkom... Ztąd zachęta dana Fiszerowi, rady, a w końcu pewnie dla mnie groźba utraty mojego miejsca i sama utrata.

—Mój ojcze! zawołała Klara, składając ręce.

— Dziecko, nie lękaj się, znasz mnie, rzekł p. Jakub—mogę stracić miejsce, ale serca twojego nie stracę...

— A ja wam powiem teraz, wybuchnął pułkownik nagle, że się tego nie obawiam. Dobrze! Jakub odejdzie od Fiszera, ja dla niego mam do

60,000 talarów kapitału i dom zakładowy na swoję rękę...

— A! czy znowu skarb? spytał Jakub.

— Nie—jeszcze nie, ale tymczasem daje mi krewniak Paparona, umówiłem się z nim o to... nie wspominałem wprzódy, bo mi się cóś opóźnia z listami, ale jestem go pewny.

— Kochany pułkowniku, odpowiedział Jakub, w interesach piéniężnych nie można być pewnym, tylko tego co się ma w ręku.

— To uczciwy człowiek.

— Nie przeczę—ale znamy naszych wieśniaków; w interesach są biédni i niewprawni i nie dosyć rozmyślni, co sprawia że w chwili stanowczéj najczęściéj są téż nieregularni.

Wiktor głową potrząsł; narada skończyła się ubolewaniem, gdyż nie postanowiono nic na przyszłość. P. Jakub musiał czekać rozmówienia się z Fiszerem, nie wyzywając go.

Pułkownik który teraz dopiéro dostrzegł w tém jaśniéj intrygi Wudtkego, był w rozpaczy że nic przeciw niéj poradzić nie mógł. Należał on do tych ludzi którzy ukochanym swoim tak gorąco służyć pragną, iż spokoju nie mają, dopóki nie dowiodą swojego przywiązania i poczciwego serca... Napróżno jednak łamał głowę jakby tego człowieka upokorzyć, przymęczyć, zaniepokoić. Chodził, trapił się, szukał—nadaremnie. Wudtke i w opi-

nii i w interesach stał mocno; z przeszłości jego nic się dobyć nie dawało coby mu można było wyrzucić naoczy... był tak ostrożnym jeśli nie tak uczciwym, że choć go nie lubiono, nikt nie mógł napaść nań zbrojny... Właśnie broni którąby sam dał na siebie, brakło.

Wiktor patrząc na Klarę i trochę zapłakane jéj oczy przy uśmiéchniętéj twarzy, był w rozpaczy, że dla tego swojego anioła przynieść nie mógł pociechy i ratunku.

Klara od wyznania i oświadczenia Fiszera chodziła zamyślona, bolało ją to mocno że ojciec dla niéj cierpiał, walczyła z sobą i z przywiązaniem do Teofila... Od dwóch tygodni wstrzymywała się z listem do niego, choć on niespokojny coraz żywiéj błagał ją o wiadomość, grożąc że mimo zakazu ojcowskiego przyjedzie. Nareszcie po namysłach, zdawało jéj się iż jasno widziała drogę którą pójść była powinna. Należało skłonić Teofila aby się przed ojcem ukorzył i wyrzekł jéj... pozornie przynajmniéj. Wszak to nie przeszkadzało im obojgu wierzyć w siebie... żyć sobą i lepszych oczekiwać czasów.

List Klary, która dla spokoju ojca czuła się do tego zmuszoną, był pisany łzami, ale obok nich cała energia jéj serca występowała... Teofil czytając go mógł być przekonanym, iż mu pozostanie

wierną. Nie wspominając nic o tém ojcu, Klara wypłakawszy się, wysłała go na pocztę.

Pułkownik nie wiedział o nim także, ale go niemal sercem przeczuwał.

Do przyjaciół prawdziwych domu należał stary Radgosz... W swoim rodzaju, w kole ludzi do których się on liczył, byłato postać niezwyczajna, bo człowiek jakby z innego zabłąkany świata... obojętny na piéniądze, ubogi, uczciwy i niezapobiegliwy. Robienie piéniędzy tak dalece jest tu uważaném za cel życia i najświętszy obowiązek, iż człowiek co go nie spełnia, wydaje się otaczającym jakby na umyśle chorym lub upośledzonym.

Radgosz téż choć powszechnie dosyć szanowany, choć mu nic zarzucić nikt nie umiał, uchodził niemal za niedołęgę... Małego majątku, bezdzietny, owdowiały wcześnie po żonie którą kochał, zniechęcony do czynnego życia, gdy nie miał już dla kogo pracować, Radgosz od dawna stał się obojętnym na wszystko... Żył czytaniem, rozmową, rezygnacyą chłodną, bez smaku i upodobania w niczém. Poczciwiec sercem czasem się rozgrzał gdy mógł być komu użytecznym, resztę życia pędził z musu tylko, aby do końca. Nie mając zatrudnień żadnych, błądząc tak bez celu, słuchając dobrodusznie co mu kto mówił, rzadko nawet okazując że

to na nim czyniło jakie wrażenie, Radgosz lepiéj może znał miasto i ludzi od wielu a wielu innych jego mieszkańców. Niegdyś przyjaciel Teodora, ojca Jakuba i Wiktora, był najlepszym, wiernym téż rodziny druhem. Dla niego téż dom ten nie miał tajemnic.

Pułkownik utrapiony położeniem Klary i Jakuba, nie mając do nikogo się udać, pobiegł do niego.

Zastał go jak zwyczajnie, w okienku małego jego domku ocienioném dzikiém winem i bluszczami, z książką w ręku. Radgosz był Swedenborgistą... bawił się illuminizmem, magnetyzmem, spirytyzmem, z nudnego świata pragnąc jakąś drogą dostać się do sfer jaśniejszych; pułkownika przyjście oderwało go od książki którą czytał dla zabicia czasu tylko. Przysunął mu krzesło...

— Kochany, poczciwy stary przyjacielu, zawołał gorąco kąpany Hiszpan, ratuj... z tym łajdakiem Wudtke nie możemy sobie dać rady. Nie przekonawszy syna aby dobrowolnie wyrzekł się Klary, stary intrygant nabechtał Fiszera, namówił by się o nią starał... Fiszer się oświadczył i Klara mu dała odmówną odpowiedź... tylko co nie widać jak pomęczywszy Jakuba... da mu odprawę... Jakub ubogi... Mam wprawdzie obietnice owego krewnego, któregoście u nas widzieli, że nam pożyczy piéniądze na założenie własnego domu... ale nim co będzie, Jakub się gryzie, Klara płacze, ja

darmo ręce łamię... Gdybym się na tym człowieku choć mógł pomścić!

— Pułkowniku, odparł chłodno Radgosz, to po wojskowemu ale nie po chrześciańsku. Pomścić się? a co ci to pomoże? doda zgryzoty duszy. Gdybyś chciał się bronić—zrozumiałbym lepiéj.

— Nazwij to jak zechcesz... rzekł Wiktor... idzie mi abym się na cóś przydał. Gdyby chciał wyjść na pojedynek...

— Wudtke? na pojedynek? I Radgosz się rozśmiał.

— Żwalczyć go własną jego bronią, intrygą... ale zkąd ją wziąć i jak osnuć? Ten człowiek jest nietykalny, z żadnéj strony go pochwycić...

— Gdybyś tę stronę znalazł nawet, kochany pułkowniku, odparł Radgosz, zważ czy to się zda na co... Wudtke nie da się wziąć bez walki. To sobie z góry powiedziéć musisz. Rozdraźnisz go, na nic się to nie zda...

— Ale żeby téż w przeszłości... w stosunkach nic odgrzebać nie można czémby w oczy rzucić... powstrzymać... nastraszyć... wołał pułkownik, żeby mu choć dobrego wypłatać figla.

— Figla? spytał Radgosz... zamyślony.

— Już choćby figla... wołał Wiktor... Klara płacze! a dla łez jéj gotówbym zamordować tego łotra...

— Łotr on jest, to prawda... odpowiedział Radgosz... ale ostrożny...

— I wy mi nic nie poradzicie? zapytał Wiktor.

— Gdybym nawet mógł, nie chciałbym... jątrzyć mocniejszego nieprzyjaciela... na co ci się to zdało?

Pułkownik aż klął po hiszpańsku, Radgosz patrzył na niego jakby z politowaniem.

— Widzę, rzekł, że się was nie pozbędę, nie dawszy go wam na pastwę... no... jeśli chcesz, to się sobie pobaw.

Pułkownik przyskoczył go całować... Radgosz smutnie potrząsł głową.

— Boję się, rzekł, że się to na nic nie zda.

— Ale mów... potém osądzimy...

— Znasz waćpan choć zdala Wudtkego? mierzy on na wielkiego człowieka i wielce dba o przyzwoitość... o powagę swoję... Ale to nie zawsze tak bywało... Za młodu się szalało nieco... Powiem ci że za Bramą Zieloną, w lewo od mostu, jest kamienica mała, uboga, kędy p. Wudtke bywał bardzo często wieczorami... Mieszkała tam wdowa Hals z córką Lotchen...

Pułkownik aż kraśniał słuchając...

— Wdowa dziś już nie żyje... Wudtke miał niezawodnie obowiązek i powinien ożenić się z jéj córką, która dotąd za mąż nie poszła. Zgubił tę poczciwą Lotchen... żyje ona z pracy rąk, ma mały magazynik bielizny, w którym pracowicie i skromnie zawsze nad igłą schylona utrzymuje się.

Wudtke chciał przeszłość nagrodzić pieniędzmi... ale ich nie przyjęto. Ma ona listy i dowody, że bankier obiecywał się z nią żenić... ale nie miała czém popiérać najlepszéj sprawy... Otóż potrzeba byś wiedział pułkowniku, że bankier nadzwyczaj jest drażliwy na wspomnienie téj przeszłości. Czynił co tylko mógł aby ją zatrzéć, Lotchen ztąd wyprawić... Biédna kobiéta oparła się, przywiązana do miejsca... a Wudtke nigdy tamtędy nie chodzi, aby jéj wejrzenia nie spotkać...

— Otóż masz, dodał, skandaliczną historyą z któréj wątpię ażebyś jaką wyciągnął korzyść.

— Ja? zawołał ściskając go pułkownik—ja? dziś jeszcze lecę kupić koszulę u Lotchen, poznaję się, wciskam... zaprzyjaźniam, ofiaruję jéj pomoc moję, podejmuję się procesu, płacę koszta jego... i narobię wrzawy takiéj...

— Że Wudtke się do Berlina z domem przeniesie, przerwał Radgosz... a czy ci to się na co przyda?

— No—jakoś to będzie... zobaczymy... zawołał Wiktor... bądźcie pewni że wam nigdy uczynionéj przysługi nie zapomnę... Bóg ci zapłać. I ścisnąwszy go, wybiegł pułkownik wprost po koszulę których nie potrzebował, Radgosz wrócił do swojego Swidenborgu.

Pułkownik tak potrzebował się krzątać i cóś koniecznie zrobić w téj sprawie dla uspokojenia swojego sumienia, iż ledwie wybiegł od Radgosza, nie zwlekając chwili, udał się za Zieloną Bramę do wskazanego domu. Łatwo go znalazł zobaczywszy przy małém piérwszém piąterku zawieszoną tablicę z nazwiskiem *Carolina Hals*. Na nieszczęście na szyldzie jakoś nie było śladu i mowy o męzkiéj bieliźnie... same kobiéce kołnierzyki, mankietki, szemizetki za wystawą... Trochę tém zmieszany, pułkownik postanowił wejść choćby miał co niepotrzebnego kupić dla Klary... Ciemne dosyć wschodki prowadziły na górę... ale mieszkanie całe z wzorową było utrzymane czystością... Otworzywszy drzwi, pułkownik znalazł się w bardzo wesołym i jasnym pokoiku otoczonym szafami za szkłem, pełnemi rozmaitych wyrobów... Był ocalony, zdala już dostrzegł przody koszul męzkich. Z drugiego pokoju z robotą w ręku wyszła naprzeciw niego skromnie ubrana kobiéta średniego wieku, jeszcze bardzo piękna, ale widocznie chcąca o tém zapomnieć, z twarzą smutną i ujmującą. Pułkownik objął jednem wejrzeniem cichy ten kątek. Sympatyczne rysy saméj gospodyni wielce mu się podobały... Był w kłopocie z niemieckim językiem, ale się okazało że p. Carolina Hals mówiła wybornie po francuzku...

Zamówił się o koszule, wybrał ich trzy, pa-

piał bez potrzeby z pół godziny, widocznie znudził panię, choć jéj nie zniecierpliwił, był naprzemian słodki, dowcipny... a w ogóle tak jakoś natrętny, iż w końcu podejrzenie obudził w gospodyni, która go się widocznie pozbyć chciała... Z powodu adresu dla odesłania koszul kupionych (które wszakże miał jeszcze przymierzyć wprzódy) Wiktor zaprezentował się, powiedział kto był, zkąd przybywał i t. p., co panię wcale nie zdawało się obchodzić. Chciał od razu jakimkolwiek sposobem wystrzelić nazwiskiem Wudtke... ale się powstydził i wstrzymał.

Wszystkoto razem trwało jakie pół godziny... ale jak zawsze na świecie—chłop strzela, pan Bóg nosi kule—nieszczęśliwy pułkownik mimo najszczérszéj chęci zaszkodzenia i utrapienia Wudtkego, sam wpadł w łapkę niepostrzeżenie.

P. Carolina Hals która mu przypomniała jakąś młodzieńczą miłostkę jeszcze z nad Renu, z tych czasów szczęśliwych uniwersyteckich, które się nigdy niezapominają—ujęła go za serce, podobała mu się... zrobiła na nim wrażenie, do którego sam przed sobą się wstydził przyznać. Wyszedłszy za Zieloną Bramę, wstyd mu było uczucia którego doznał i celu—którego nie dopiął wcale.

Owa niegdyś tak wdzięczna i urocza Lotchen, jak wiele kobiét których życie na spokojnéj pracy upływa... zachowała jeszcze wdzięk właściwy blon-

dynkom, które nie starzeją. Oczy, rumieniec, usta, promieniały jakąś młodością niedokończonego życia.

— Nie dziwuję się temu łajdakowi Wudtke że dla niéj szalał, ale nienawidzę bestyi że ją mógł porzucić... i przysięgam mu zemstę dozgonną...

Ani przed Jakubem, ani przed Klarą, nie przyznał się wszakże pułkownik do téj swojéj wycieczki.

Tymczasem list Klary, z którego ciężką boleść wyczytał Teofil, zmusił go przybyć do Gdańska natychmiast... po raz to piérwszy jechał bez pozwolenia ojca i wahając się nawet czy się z nim widzieć będzie. Przykro mu było ukrywać ją przed nim, walczył z sobą jak postąpić, i stanąwszy wieczorem, nie pewien jeszcze co pocznie, unikając pytań i tłumaczeń, zaszedł do gospody, rzucił tam torbę a sam pobiegł do weneckiego domu. Klara spodziéwała się tego dnia listu, nieodebrawszy go przeczuwała iż sam przyjedzie... niespokojna chodziła do okien... gdy nagle pokazał się w progu pokoju w którym ona i Wiktor milcząco siedzieli u wieczorowego stolika. Jakuba interes jakiś wstrzymywał w mieście. Po przywitaniu milczącém domyślił się pułkownik że będzie tu zbytecznym; nie odchodząc całkiem, usunął się do drugiéj sali pod pozorem cygara. Teofil mimo wszelkiéj siły jaką miał nad sobą i większéj jeszcze wiary w serce

własne, w przywiązanie Klary, był zmieszany i strapiony, ciężyło mu to że i Klara i rodzina jéj dla niego, z jego przyczyny cierpieli.

— Klaro, zawołał gdy się zostali sami—przybyłem aby ci dowieść jak mnie boli postępowanie ojca, i to co znosicie... radźmy, będę posłusznym... co chcesz żebym uczynił?

— Powiédz ty, panie Teofilu—co my, co ja mam czynić, aby ojcu niepokoju oszczędzić?

— Chcesz żebym skłamał przed moim ojcem iż się ciebie wyrzekam?—Klaro... myśl ta mnie całą trapiła drogę... Byłbyto może jedyny środek oszczędzenia wam przykrości, ale powiedz mi, jestże to godném nas obojga? nie byłożby to spodleniem i oszukaństwem? Wielu może na miejscu mojém uczyniłoby to—ja... nawet dla ciebie, dla was nie potrafię. Czuję że mimowolnie w twoichbym oczach utracił, byłabyś mi chwilę wdzięczną, ale musiałabyś mną pogardzać.

— Tak, odparła Klara—anibym mogła wymagać téj ofiary—myśl jéj trzeba usunąć nawet.

— Drugim środkiem, według mnie jedynym szlachetnym i uczciwym jest, bym otwarcie ojcu wyznał, że się żenię... jestem pełnoletnim, zabronić mi tego nie może, nie zechce... wyrzeknę się spadku domu który przechodzi na Berensów... zostaniemy ubodzy i będziemy pracowali.

— A jeśli się ojciec sprzeciwi?

— Będziemy czekać — lecz wypowiedziawszy mu......

— Czekać — przerwała Klara, w tém właśnie trudność, że my tu pozostać musiémy, otoczeni naturalnie zasadzkami wszelkiego rodzaju, które na mnie skierowane będą, na ojca. Lada chwila ten nieszczęsny Fiszer wypowié ojcu miejsce... a...

Na te słowa wyrzeczone żywo wpadł Jakub... słyszał je na progu... zbliżył się do Klary i Teofila spokojnie i rzekł:

— Tego się nie ma co obawiać... rzecz się stała!

— Kiedy?

— Dziś, ale z tą różnicą, że nie Fiszer mnie miejsce wypowiedział, ja je porzuciłem.

— Z jakiego powodu? spytała Klara żywo.

— Potrzeba było się go pozbyć, rzekł Jakub, rozmówiłem się z nim otwarcie iż staranie jego o rękę twoję jest próżne... Od słowa do słowa, zaszliśmy aż do przykrych wymówek, ja do cierpkiéj prawdy. Nie pozostało więc nic nad wzajemne pożegnanie.

Pułkownik który domyślił się więcéj niż dosłyszał rozmowy, wbiegł na nią z drugiego pokoju.

— Święcie, dobrze! doskonale zrobiłeś kochany bracie... jesteśmy wolni i niezależni, jutro piszę do Jana Alberta o piéniądze i poczniemy nowe gospodarstwo...

Jakub się gorzko uśmiéchnął list z kieszeni podając bratu.

— Co to jest? od kogo? zapytał Wiktor.

— Od Jana Alberta...

— Oznajmuje piéniądze?

— Zobacz... oznajmuje że do lat dwóch, żadnym kapitałem rozporządzać nie może... że się omylił w rachubie, że—

— A niechże go pioruny... krzyknął Wiktor— ależ mi uroczyście przyrzekł.

— Ci ludzie, rzekł spokojnie Jakub, wyobrażenia o interesach nie mają, obiecują lekko i zawodzą co chwila... Prawdę rzekłszy, wcale na to nie rachowałem.

— A sukcesya? donosi co o sukcesyi? spytał Wiktor, zawsze i to jakie dziesięć tysięcy talarów uczynić mogło.

— O sukcesyą prowadzi się proces który jakie lat dziesięć potrwać może i wymaga nakładów, rzekł Jakub.

Wiktor zamilkł.

— Ponieważ razem siedziémy, odezwał się po chwili gospodarz, nie zwlekając radźmy. Nie będę przed wami ukrywał iż jesteśmy w położeniu krytyczném; wyczekiwać niepewnych wypadków niepodobna, trzeba cóś przedsięwziąć stanowczego.

— Całą siłą się wziąć do wyszukania skarbu! zawołał Wiktor...

Jakub a nawet Teofil i Klara mimo smutku położenia uśmiéchnęli się. Pułkownik chodził gwałtownie dym puszczając...

— No—odparł prawie obrażony, śmiéjcie się, to jest moja rzecz, ja się tego podejmuję... wy radźcie lepiéj, słucham...

— Mojém zdaniem, zawołał Jakub... jest naprzód sprzedać willę... zupełnie nam nieużyteczną.

— Na to nie pozwolę... krzyknął Wiktor—a nuż tam właśnie stary dziadek skarb zakopał?

— Jużbym wolał o tém nawet nie wspominać—odezwał się Jakub—ale dla uspokojenia twojego nadmienię, iż wiemy to z niezmiennéj tradycyi, że nigdy tam nie bywał... że przez długie lata dając się jéj ruinować, ani zajrzał do niéj.

— Właśnie może dlatego by odwrócić uwagę... przerwał pułkownik.

— No—to sprzedajmy dom!

— Dom! dom! zabijcie mnie, nie pozwolę... skarb jest tu! ja go czuję, ja na to przysięgnę—gwałtownie dodał Wiktor.

— Mamy do wyboru jedno lub drugie. Dom przyniósłby znacznie więcéj, postawiłby nas w możności rozpoczęcia handlu na własną rękę, dałby nam spokojność.

— A! stryjaszku—dorzuciła Klara, skarb nasz to spokój! zrzeczemy się tego którego Opatrzność nam odmówiła a zyskamy jedyne szczęście możli-

we, trochę niezależności. Prawda, ty, ojciec, ja, gdy się nam przyjdzie rozstać z tym domem, który się związał z życiem naszém, pełném wspomnienia, marzeń i tylu pięknych rzeczy... zapłaczemy może po sobie... ale

— Na miłość Bożą, przerwał Teofil—ja który mam na sumieniu położenie wasze, zaklinam, nie rzucajcie się w te ostateczności, wszystko się jeszcze zmienić może... a miałbym sobie ciężko do wyrzucenia, gdybyście z mojéj przyczyny pozbywali się tego co nietylko miłém wam jest, ale może jak powietrze do życia potrzebném.

— Dlatego ja proponuję willę—powtórzył Jakub. Za willę te dawano nam niegdyś około pięćdziesięciu tysięcy talarów z gruntami które do niéj należą. Ale naówczas wspaniałe budowy były jeszcze w lepszym stanie, dziś to prawie ruina; gdybyśmy za nią dwadzieścia kilka do trzydziestu mogli dostać, byłoby szczęśliwie.

— Jesteścież pewni że dziadek w willi nie bywał? że tam złota swojego nie ukrył? spytał Wiktor.

— Tak od początku utrzymywano... rzekł Jakub.

— Trzeba popytać Radgosza, który dużo o tém słyszał i pamięta, odezwał się pułkownik—a w ostatku... zgodzę się już na willę...

— Ja proszę o parę dni namysłu... przerwał Teofil—dziś się zobaczę z ojcem.

To mówiąc żegnał ich, Klara go odprowadzała do progu.

— Teofilu, rzekła—zachowajmy dla siebie uczucia... reszta jest przemijającém, dodatkowém... ofiary te są nieliczne...

— Możeszże na chwilę wątpić o mnie?

— Gdybym powątpiewała... czyżbym kochała? odparła z prostotą. Ty chcesz iść do ojca... ja ci powiem wstrzymaj się, namyśl się, może z tego wyniknąć scena przykra, któréj następstwa zawsze na mnie nieszczęśliwą zrzucone będą. Powiedzą że ja cię skłoniłam, żem wymagała może. Ojciec jest ojcem. Chce twojego dobra, choć je po swojemu pojmuje, ścierp i poszanuj. Wierz mi, ja dotrwam ci zawsze, stałą i wierną... Bóg dokona reszty... To co najgorszego dla nas stać się mogło... już się wykonało... Bądź spokojny...

— Będę spokojny, będę uległy... ale z ojcem się rozmówić muszę, rzekł Teofil—choćby dla tego ażeby mnie o pokątne roboty nie posądził.

Ścisnął jéj rękę, rozstali się.

P. Wudtke powrócił był z biura i odpoczywał w swoim pokoju, gdy syn wszedł do niego blady i zmieszany. Bankier który miał policyą dobrą, już od godziny wiedział o jego przybyciu, ale że nie zaszedł do domu, ciekawym był czy się z przy-

jazdem taić będzie czy nie. Ukazanie się jego oznajmiło mu zaraz stanowczą rozmowę, spodziéwał się twardéj przeprawy... i gotował do niéj.

Po przywitaniu zimném, rzekł: —Cóż cię tu tak niespodzianie sprowadza? Zdaje mi się żem ci to kilkakrotnie powtarzał, iż te nieustanne przejażdżki wcale mi są nie do smaku... Nie rozumiem powodu, a raczéj wiedząc o nim, coraz bardziéj się na tę niedarowaną słabość oburzam.

— Na ten raz—odpowiedział Teofil—przybycie moje było niezbędném dla mojego sumienia.

— Czy już sumienie jest w grze? spytał szydersko ojciec.

Syn wstrząsnął się i oburzył.

— Mój ojcze, odparł—musiémy się rozmówić stanowczo...

— Zdaje mi się, że co do mnie, ja bardzo stanowczo oświadczyłem się z tém co myślę.

— Ja, niemniéj—rzekł Teofil—ale zaszły nowe okoliczności. Paparonowie cierpią z mojéj przyczyny... Staranie Kiszera o rękę panny Klary uczyniło ich położenie nieznośném, a w téj chwili niebezpieczném nawet, gdyż pan Jakub stracił swe miejsce...

— Fiszer mu je odebrał! zawołał Wudtke, roztropnie zrobił to stary niedołęga.

— Nie Fiszer jemu, ale on Fiszerowi podziękował.

— Zawsze duma staro-szlachecka przy szlacheckiéj goliźnie, uśmiéchnął się bankier...

— Mam powody sądzić że ojciec przyczyniłeś się.

— Wymówki? podchwycił gwałtownie Wudtke—ty? mnie! No—tak, przyczyniłem się, tak... namówiłem Fiszera żeby się starał, doradziłem mu, tak... Cóż daléj?

— Chciałem tylko oświadczyć że to mnie nie złamie, nie zachwieje, a stawi w téj przykréj ostateczności, że dla zapobieżenia dalszemu tych ludzi prześladowaniu, stanowczo wyrzekam się na Berenzów domu, spadku i postanowiłem sam myśléć o sobie. Przychodzę więc tylko ojca pożegnać i oświadczyć iż natychmiast... jak skoro będzie możliwém, postanowiłem się ożenić...

Wudtke porwał się z fotelu...

— Sądzisz więc, że władza rodzicielska nic nie znaczy? że ja temu nie zapobiegnę? że ja będę patrzył na to i dozwolę...

— Kochany ojcze, odezwał się Teofil z krwią zimną, która mu wyższość dawała nad bankierem — nie spodziewam się byś chciał daremne ściągać na nas skandale. W przeszłéj naszéj rozmowie ukazałeś mi jako karę wydziedziczenie a przelanie spadku na Berenzów... ponieważ pobudką tego postanowienia jest los domu twojego, zdaje mi się że to na ukaranie moje starczy...

Ale Wudtke rozprawiać i argumentować w téj

chwili nie mógł, był wzburzony, gniéwny, nie posiadał się wcale, mierzył pokój ogromnemi krokami.

— Dosyć tego, zawołał—nie mam potrzeby i obowiązku się tłumaczyć co zrobię... to zapowiadam że będę ciebie, ją, ich nękał, prześladował, mścił się i nie daruję lekceważenia mojéj woli. Zobaczémy co jest silniejszém, czy wasze głupie przywiązanie do téj dziewczyny, czy środki które je do opamiętania oszalałego młokosa obiorą...

— Jestto wypowiodzenie wojny, odezwał się Teofil smutnie—mnie nic nie pozostaje jak poddać się temu co nas czeka i znosić cierpliwie.

Ukłonił się ode drzwi i chciał odejść.

Ta zimna krew Teofila i energia z którą stawał przeciwko niemu, do reszty zburzyła bankiera.

— Słuchaj, zawołał—jak waryata każę cię wsadzić do domu obłąkanych...

— Na to już odpowiadać nie mogę—szepnął Teofil i wyszedł.

Wudtke zadzwonił natychmiast, posłał po Fiszera... sam nie wiedział co robił, w głowie mu się przewracało.

Służący, który widząc pana gniewnym pobiegł po niego, schwycił go w ulicy, a nim bankier ochłonął wszedł Fiszer, który też był niespokojny i pragnął się z nim widzieć.

Spojrzeli na siebie od progu. Fiszer głowę darł gniéwny.

— A! ta przeklęta rodzina! te przybysze! krzyknął Wudtke.

— Ślicznieś mi doradził... dodał Fiszer, rzucając się w krzesło, kompromitacya, skandal... Jakub mi wypowiedział służbę... Jutro całe miasto o tém gadać będzie.

— Jakub! Jakub! wołał Wudtke... a mnie przed chwilą syn wypowiedział posłuszeństwo...

— Przyznać trzeba że ładnie stoimy z przyczyny téj panny i jéj oczek! rzekł Fiszer... Potrzebnie się ja w to mieszałem, jak gdyby na świecie ładnych dziéwcząt zabrakło! ale to ty... ty... winieneś wszystkiemu.

— Tak! zgrabnieś się wziął ze swoją gorączką! potrzeba ci się było śpieszyć, rwać... przerwał bankier, żadnego taktu, zastanowienia... jak ostatni smarkacz...

Fiszer zniósł tę przyjacielską obelgę.

— No i co teraz począć?

— Co? tobie! tobie nic! Na miejsce Jakuba znajdziesz dziesięciu młodszych i zdatniejszych...

— Którym klucza od kasy powierzyć nie będę mógł.

— Przepraszam... ale ja... w wojnie z synem. Teofila znam, nie przełamę go... siebie także, nie ulegnę... Śliczny rezultat... Ten chłopiec miał głowę do poprowadzenia interesów, Berens zdatny ale tchórz, drobnostkowy i bez ambicyi; gdyby miał

miliony, będzie z niemi stał w przedpokoju i będą go brać za lokaja...

Oba zamyśleni, zniecierpliwieni, rzucając pół słowami, nie wiedząc co począć... siedzieli długo a rozstali się wzajemnie ku sobie zniechęceni.. Narada do żadnego nie doprowadziła rezultatu.

Nazajutrz sprzedanie willi zostało już postanowione, pułkownik tylko chciał jeszcze raz sam przekonać się naocznie iż skarb o którym marzył zawsze, nie mógł być tam ukryty. Wziął z sobą Radgosza... pojechali... przez całą lipową aleję wiodącą ku Oliwie milczeli zamyśleni. Nareszcie ukazały się w lewo owe ruiny ogrodu, i wspaniałych niegdyś gmachów... Widok był prawdziwie zasmucający; tak to wszystko stało opuszczone, zarosłe, dzikie i puste... Sama willa trzymała się wprawdzie, ale w czasie zajęcia Gdańska przez Francuzów, umieszczono w niéj lazaret, powybijano okna, poodrywano potém posadzki, pokaleczono niemiłosiernie to cacko. Fontann, galeryj, posągów leżały tylko pokruszone szczątki. Oba z Radgoszem przebiegli wszystkie zakątki i przekonali się łatwo, że gdyby tu był skarb, jużby się przed łupieztwem nie mógł ostać... Na nieszczęście zruinowanie zniżało o wiele cenę, chociaż z pozostałości wiele było można skorzystać...

Rozmawiając tak, obchodzili z uczuciem smutku pokoje i sale, na których ścianach przeforsztowania lazaretowe zostawiły ślady obrzydliwe, gdy Wiktor spostrzegłszy z sieni wschodki w dół, zażądał znijść do suterenów... Stróż który pilnował niby pustki, poszedł po klucze... pod całą budową bardzo starannie sklepioną rozciągały się lochy w części jasne i mieszkalne od frontu, częścią ciemne i na składy przeznaczone... Nic w nich nie było prócz śmiecia...

Ale Wiktor opanowany zawsze manią szukania Albertowego skarbu grzebiąc się w jedném miejscu za kupą gruzu pod sklepienie aż nagromadzonego... dostrzegł niewidzialne, ukryte drzwi które zdawały się wieść daléj—do umyślnie zasypanéj kryjówki.—odkrycie to na chwilę i jego i Radgosza poruszyło, posłano natychmiast po ludzi, po rydle, zaczęto gruzy któremi drzwi były zasłonięte, na stronę odrzucać. Trwało to do późnego bardzo wieczora... potém przy świetle w nocy; z naturalnym niepokojem i rozbudzoną do żywego ciekawością, stary Radgosz jakkolwiek obojętny na wszystko w świecie, nie chciał do Jakuba i Klary odjechać, posłano więc karteczkę. Pułkownik chodził paląc cygaro i podśpiéwywał tryumfujący... Drzwi które się powoli odsłaniały były mocne, dębowe, kute i zamknięte na zamek ogromny. Z rachuby na planie domu zrobionéj, wypadało że nie mogły pro-

wadzić zewnątrz, ale do zapowiadanego lochu. Na wiadomość o wypadku Jakub i Klara, choć pora była późna, przybyli. Willa przedstawiała widok wcale niezwyczajny z temi światłami w nocy, robotnikami i zgromadzoną rodziną. Mimo zachęceń pułkownika i żwawéj pracy najętych ludzi, szło to jakoś powoli... patrzano na drzwi... Wiktor pokręcał wąsa... serce mu biło...

— Do kata! to będzie dopiéro jutro w Gdańsku plotek, jeżeli skarb się odkryje! mówił chodząc uśmiéchnięty.

— Ale co będzie szyderstwa i żartów z nas, dodał Jakub, jeżeli nic się nie znajdzie.

— Nic! nie może być, wołał Wiktor po cóż zamek? na co drzwi zasypano gruzem, i to jeszcze tak zręcznie, że gdyby mnie było cóś nie tknęło odgrzebać go nieco, niepodobna się było domyśléć nawet téj kryjówki.

— Przyznaję się, dodał Radgosz—iż mimo pozorów wszystkich, wątpię żebyśmy tu ów skarb znaléźć mogli. Życie dziadunia Alberta jest znane, mało tu kiedy bywał, a raczéj nigdy, jakimby sposobem potrafił sumy tak ogromne w złocie przewieść niepostrzeżony? A gdyby użył do tego pomocy ludzi, cóśby się wydało.

Klara patrzyła na te przygotowania smutna i znużona. Jakub z obojętnością przynajmniéj pozorną—pułkownik świstał, śpiéwał, sam odgrzeby-

wał i—po długich a długich usiłowaniach, drzwi do dołu oczyszczono, ponieważ odmykały się na zewnątrz, trzeba było jeszcze dobrze ziemi nadebrać, aby je uwolnić zupełnie. Niecierpliwość dochodziła do najwyższego stopnia... Już wszystko było do otwarcia gotowe ale pozostał zamek, zamek straszliwy, olbrzymi i zardzewiały.

— Rąbać drzwi! zawołał Wiktor... niéma tu ceremonij.

Drzwi znowu okazały się tak okute sztabami żelaznemi zewsząd, że topory podołać im nie mogły... posłano oklep do Oliwy po ślusarza, który nie prędko z całym pękiem kluczów nadjechał. Cały ten zachód nazajutrz oczéwiście miał miasto i okolice napełnić najzłośliwszemi plotkami. Radgosz przewidując to i zarazem niepomyślny koniec, głównie się zagryzał rozgłosem wypadku i szyderstwem, jakie musiał obudzić.

Po wielu próbach, szczęśliwy jakiś wytrych uchwycił zardzewiałe sprężyny i z łoskotem zamek puścił... ludzie pchnęli drzwi... Wszyscy stali w nich ciekawi, zatrzymując dech, śląc wejrzenie w głąb ciemną... Pułkownik pochwycił światło i mężnie przestąpił próg...

— Skrzynia! zawołał! skrzynia...

— Tak, dodał idący za nim Radgosz... skrzynia—ale pusta...

Jakub, Klara i wszyscy, kto mógł, wcisnęli się

teraz do loszku... Był mocno zasklepiony, mały, ciasny. W jednym jego kącie stała dębowa, staroświecka okuta skrzynia, bez zamku z wiekiem odrzuconém, pyłu pełna...

— Okradziono nas! tu był nieochybnie skarb! wołał pułkownik... ale kiedy... za czasów zajęcia przez Francuzów... czy...

Opatrzono wszystkie kąty, oprócz téj skrzyni nic się nie znalazło... Wyciągnięto ją do piérwszéj izby, a pułkownik milczący począł się wglądać w głębi... Znalazł w niéj drobne szczątki pożółkłych papiérów, które na jakiś ślad naprowadzić mogły... Na jednym zrzynku zdało mu się widziéć rachunek ręką dobrze znaną dziada Alberta pisany. Niektóre jego cyfry nawet zgadzały się z notatką przed śmiercią skréśloną o sumach które posiadał... Ale papiérek inny widocznie z czasu świéższego po francuzku, był regestrem prowiantów, dostarczonych z okolicy dla wojska.

Z tego wnioskować było można dosyć prawdopodobnie iż skarb ukryty w tym lochu, zdobyty został i uniesiony w czasie plondrowania Francuzów po okolicy.

Z posmutniałemi twarzami, Wiktor, Jakub, Radgosz stali nad tą dębową trumną swoich nadziei, pułkownik ponury, zniecierpliwiony, kazał przecież skrzynię zabrać do miasta. Naostatku gdy już odjeżdżać, mieli wszedł sam jeszcze ze światłem do

loszku, pogrzebał rydlem po kątach, postukał w głuche ściany, pochodził... Miał tę pociechę że znalazł w pyle jednę sztukę złota, wypadłą widać w czasie rabunku skarbu... Obudziła ona ciekawość... ale nie mówiła nic, był to niezbyt stary dukat holenderski... schowano go na pamiątkę... Poszukiwania kosztowały kilka czerwonych złotych.

Tak się tedy skończyła wyprawa do willi... próżną nadzieją, wielkim hałasem i zawodem...

Pułkownik śmiał się gorżko sam z siebie, ale zarazem tłumaczył: — czy kto z was na mojém miejscu byłby zostawił drzwi tajemnicze nie tykając, nie starając się dowiedziéć co się za niemi dzieje? Pewno nie... Zresztą, dowiodę wam, dodawał, że to co się stało, przynosi nam korzyść istotną, rozbija złudzenie i marzenia próżne... Wiemy teraz że skarb tu a nie gdzieindziéj musiał być złożony i że go sobie Francuzi zabrali. Niéma więc zdaje mi się powodu teraz zachowywania dla pamiątki przy naszych interesach, ani willi ani domu, potrzeba wszystko sprzedać i rozpocząć nowe życie.

To co mówił Wiktor, było wistocie bardzo rozsądném... Radgosz poklasnął, Jakub zgodził się milczący.

— Zaczniemy od willi — dodał, ogłaszam jutro sprzedaż... Zobaczymy.

Późno w noc znużeni powrócili wszyscy do domu.

O zwykłéj jednak godzinie wszyscy byli na nogach. Jakubowi dziwnie zawadzało, że tego dnia nie miał zwykłego zajęcia i nie szedł już do biura. Tak był długiemi latami nawykły do pracy iż się machinalnie zbiérał kilka razy do wyjścia i dopiéro przypomniawszy iż niéma po co śpieszyć, od drzwi powracał.

Pułkownik medytował w swoim pokoju nad skrzynką i dwoma kawałkami papiéru, a papuga go łajała.

Ostre wyrazy którémi go strofowała staruszka, przyjmował tego dnia z pokorą.

— Łajałaś, masz słuszność, stary jestem a głupi, głupi i nigdy rozumu miéć nie będę... Obrachowawszy się ściśle, od czasu przybycia mojego porządnych kilka ustrzeliłem bąków. Nie siedziéćby mi tu spokojnie! We wszystko się plątam, gorączkuję i gdzie stąpię, po mojemu dostanę nosa. Dziś w mieście się ani pokazywać, będą gałgany kpili ze skarbu... Wudtke nie Wudtke, kto żywy! Hałasu się narobiło do zbytku!

Papuga łajała, krzyczała, skakała, pułkownik przyjmował to w pokorze...

Jakub tymczasem potrzebując zajęcia, przygotowywał inwentarz do sprzedaży.

Klara siedziała smutna... Spodziéwała się Teofila, jakoż nadszedł wkrótce z twarzą jak zwykle spokojną, z wyrazem energii, w ubiorze podróżnym.

Nieśmiała go spytać o nic... opowiedziała mu tylko w krótkich słowach wczorajszą wyprawę.

— Droga panno Klaro—rzekł Teofil,—nic mnie wasz skarb, ani ojca mojego skarby nie obchodzą, człowiek powinien na siebie tylko i pracę swoję rachować. Rozmówiliśmy się ostatecznie z ojcem, wié on dziś że moje postanowienie jest niezłomne. Jadę do Berlina... zrzekłem się bodaj spadku całego, ale pewien jestem iż na nas dwoje i na przyszłość naszę o własnych siłach... zapracuję. Patrz z takim spokojem pogodnym duszy na to jak ja. Mnie nic zadziwiać i zmienić nie może, a oboje byliśmy przygotowani czekać...

— Na Boga! jeżeli zerwałeś tak z ojcem...

— Ja! nie—on zerwał zemną, rzekł Teofil... braknie mi pół roku jeszcze pracy do doktoryzacyi i otrzymania posady rządowéj w sądownictwie, któréj się spodziéwać mogę. Osiągnąwszy ten piérwszy szczebel, pójdę daléj. Mam już przygotowane dzieło o historyi prawa karnego, ktorém spodziéwam się zwrócić na siebie uwagę... Może sobie nadto pochlebiam, ale mam niezłomną ufność iż się dobiję o siłach własnych niezależnego bytu...

Klara podała mu rękę...

— O mój Boże, zawołała, tyle ofiar dla mnie! Teofilu! zważ, rozmyśl się—jeśli nie jestem ci potrzebną do szczęścia, jeśli zbyt wielki ciężar bierzesz na ramiona,—porzuć... Mnie te wszystkie

przeciwności co nas otaczają, odebrały nadzieję, nauczyłam się patrzéć na samotną przyszłość bez rozpaczy, z rezygnacyą. Chciałabym tylko widzićć ciebie szczęśliwym. Są rodziny całe fatalnością jakąś przeznaczone, by nietylko same cierpiały, ale przynosiły z sobą cierpienie. Myśl ta mnie trapi.

— Pozwól Klaro, że z tymi których się kocha nawet cierpienie dzielić jest miłą... a ja w fatalności nieprzełamane, niezwyciężone nie wierzę. Wola w człowieku jest wszystkiém, ja mam ją i zachowam...

— Piszże, pisz! jeśli jechać musisz... zawołała Klara.

— Jechać i śpieszyć muszę dla tego samego, że lękam się aby ojciec mój w gniewie nie dopuścił się jakiego kroku, któregoby sam mógł żałować.

— Mój drogi Teofilu... nie draźnij go!

— Klaro, bądź spokojna jak ja... Jadę do Berlina... pisać będę ciągle i nie przyjadę tu aż ze stopniem doktora i biretem, który złożę u nóg twoich.

Uśmiéchnęli się sobie, Klarze łzy zakręciły się w oczach.

— Zachowaj mi to uczucie, szepnęła—tylko uczucie... ja nie pragnę nic więcéj... serca tylko twojego. Czy los da się nam połączyć... czy nie... bądź mi wiernym duchem... a będę szczęśliwą...

Żegnali się gdy pułkownik nadszedł, trzymając w ręku dwa papiéry.

— Ale ba, rzekł żywo—wczoraj po nocy... zdawało się mnie i nam wszystkim, że to pisanie starego, że te sumy te same, patrzcież—tak nie jest... ręka inna.

Teofil się uśmiéchnął.

— Kochany pułkowniku, to nie zmienia niczego... skrzynka była pusta...

— Jak wymiótł... Francuzi! Nigdy nie lubiłem Francuzów! A cóż ty—jedziesz? spytał.

— Jadę... muszę, odparł Teofil...

— Każże w dziennikach umieścić o sprzedaży willi, może się tam jaki Berlińczyk zgłosi... niech ją sobie kupują... nic nas do niéj nie wiąże.

Wypadek ten, jakkolwiek nieprzyjemny na pozór, miał jednak swe dobre skutki, zmuszał niejako Paparonów do surowszego rachowania się z rzeczywistością, rozwiewał próżne marzenia. Odprawa dana Jakubowi przyczyniła się także do tego. Zmuszała ona do stanowczych kroków.

Wiktor nic nie mówiąc nikomu, napisał do krewnego w Poznańskie, zaklinając go na wszystko, ażeby ów spadek mógł komu ryczałtowo odstąpić, choćby ze stratą. Oba z Jakubem byli na to zdecydowani, nie chcąc nań kosztów ponosić.

Ogłoszono sprzedaż willi i powierzono ten interes zręcznemu pośrednikowi, bo się bez niego obejść nię było można.

Jakub i Klara przywołani do zajęcia się przyszłością swoją, pomimo żalu jakiego doznawali na samę myśl pozbycia się domu, postanowili wspólnie z Wiktorem sprzedać późniéj i kamienicę samę.

W mieście które nadto zajęte codziennym życia trudem, mniéj to wszystko zrobiło wrażenia, niż się spodziéwać było można; pośmiano się nieco po cichu, poszeptano trochę i zapomniano w prędce. Więcéj daleko mówiono o Fiszerze, o Klarze i Wudtkem.

W ogólności opinia powszechna nie bez pewnéj słuszności brała stronę bankiera, który skarżył się na zastawione sidła, na intrygę Paparonów, na utrzymywanie syna jego w nieposłuszeństwie. Fiszer także obmawiał Klarę dowodząc najfałszywiéj iż jest zalotnicą, że i jemu dawała nadzieje, ale zapewniwszy się o Teofila... odepchnęła go potém. Cała ta siéć zarzutów przeciwko Paparonom i Klarze, szczególniéj w płci pięknéj obudzała ku nim niechęci — drażniła...

Postrzegli wprędce, że nawet te domy z któremi oddawna byli w dobrych stosunkach, powoli od nich stronić i usuwać się zaczynały. Jakub miał z razu nadzieję, że straciwszy posadę u Fiszera, zyska łatwo inną. Miał za sobą doświadczenie, uczciwość nieposzlakowaną, pracowitość nadzwyczajną. Pomimo to zawiódł się, gdyż ofiarując nawet

swe usługi... wszędzie grzecznie się widział odprawionym z niczém.

Wiktor znosił to wszystko po żołniérsku, klął razem z papugą Wudtkego i nauczył ją jakiegoś wyrazistego połajania, z którego się śmiał po całych rankach... Nie zapomniał téż o koszulach, o Karolinie Hals i o planach zemsty, o których roił.

Nadchodziła właśnie pora spróbowania koszul zamówionych. Pułkownik odświéżywszy się, gdyż piękna Lotchen głębokie na nim czyniła wrażenie, poszedł za Zieloną Bramę. Zastał ją jak piérwszym razem przy robocie, a nikogo więcéj z nią nie było. Postanowił z tego korzystać i... spróbować czy się nie uda bliżéj i poufaléj zapoznać a zaczepić w rozmowie o bankiera. Poważna jednak, smutna twarz Karoliny, jéj małomówność jakoś go onieśmielały, ale Hiszpan był uparty.

Zaczął od narzekań na kłopoty domowe, niepytany wyspowiadał się z poszukiwań na willi, z zawodów doznanych i niby nieumyślnie wymówił z przekleństwem imię Wudtkego, jako sprawcy domowych trosk...

Imię to sprowadziło rumieniec nagły na twarz Karoliny... Pułkownik szpiegował wrażenia... Przekonywał się ztąd, że to co mówiono było prawdą.

Raz wszedłszy na tę drogę, śmiało ruszył da-

léj, począł mówić o Wudtkem, o jego synu... o tém i owém... niby się wygadując. Kobiéta słuchała, milczała, rumieniła się... Pułkownik nie ustawał w paplaninie.

— Panie pułkowniku—przerwała mu po chwili Karolina—domyślam się że nie bez powodu z takim naciskiem rzucasz to imię przedemną? Czy miałbyś myśl jaką?... Zapewne wiész że pan Wudtke starał się kiedyś o mnie za życia méj matki... i—zarumieniła się, ale wprędce nabierając odwagi, dodała:

— To co się stało, mniéj mnie krzywdzi niż jego.

— Ale dlaczegóżbyś pani dziś... nie miała go zmusić...

— Zmusić! przerwała Karolina... Zmusić! Do czegóż to prowadzi? nie mam dlań teraz ani przywiązania, ani szacunku... Gdybym nawet obawą rozgłosu i skandalu przynagliła go do ożenienia—czyżbym szczęśliwą była z tego? Widzisz sam że mówię otwarcie... Wstydzić się nie mam czego. Jestem nieszczęśliwą, nie byłam występną... Ale Bogu polecając wymiar sprawiedliwości, dziś—jestem spokojną... chłodną... obojętną dla tego człowieka.

Pułkownik zaledwie uszom swym wierzył i oświadczenie to otwarte, chłodne, szlachetne było w obyczajach niemieckich, ale dla krajów innych

mieszkańca... wydać się musiało nadzwyczaj śmiałém, zuchwałém, dziwném. Kobiéta mówiła o nieszczęśliwéj przeszłości swéj z poczuciem niewinności, z zimnym sądem i bezstronnością jakby o kimś obcym. Wiktor patrzył na nią, oprócz lekkiego rumieńca nie okazała pomieszania—wstydu... czuła się widocznie niewinną i godziło się domyślać w tém istotnie ze strony Wudtkego zdrady niegodnéj... Widocznie ona sobie nic do wyrzucenia nie miała.

— Przyznam się pani, rzekł po chwili, przychodząc do siebie z początkowego zdumienia pułkownik—iż znalazłem się tu nie bez myśli i nie bez projektu... Pozwolisz mi z sobą mowić otwarcie.

— Bardzo proszę—siadaj pan, mów, odezwała się Karolina, jestem już stara i z zimną krwią o przeszłości mówić mogę.

— Pani! stara! a! pani jesteś młoda i zachwycająca! przerwał Wiktor wywołując tém smutny uśmiéch na usta... Otóż... będę otwartym, obudzasz pani we mnie zaufanie nadzwyczajne... dodam współczucie niezmierne... pani jesteś czarującą...

— Ale wróćmy do rzeczy, przerwała trochę niecierpliwie piękna Karolina.

— Wudtke nam dojadł na wszelaki sposób, odezwał się pułkownik, dojadł śmiertelnie. Synowi broni się żenić z moją synowicą, która jest aniołem.

Karolina uśmiéchnęła się z gorącego uczucia pułkownika.

— Wpłynął na p. Fiszera u którego brat mój miał oddawna posadę, iż zmuszonym był ją porzucić... nęka nas, dokucza... zjada... Cóż dziwnego, że posłyszawszy o smutnéj przygodzie pani, myślałem iż z niéj na niego broń ukuję i razem wam czyniąc przysługę, sobie zrobię tę satysfakcyą, iż się na niegodziwym pomszczę...

Karolina spojrzała na niego.

— Także to wielka jest w zemście przyjemność? zapytała.

— O! nie, poprawił się Wiktor, alem chciał być narzędziem sprawiedliwości Bożéj...

— Czyż Bóg sobie go nie znajdzie gdy zechce?

— Wszystko to prawda, ale nie rozumiem dla czegobyś pani upomniéć się nie miała...,

— Mówiémy otwarcie, kończmyż już z całą otwartością, odparła Karolina... mam moję dumę, nie chcę nic być winną człowiekowi którym gardzę... Ożenienie podniosłoby mnie może w oczach płochych ludzi, nie we własnych, a żyćbym z nim nie mogła. Z pracy mojéj, będę miéć zawsze byt zapewniony, i nie przyjęłabym nic... od niego... Przyjemności zaś dokuczenia i nastraszenia nie rozumiem... Ten człowiek dla mnie nie istnieje... wzgardą go zabiłam...

Pułkownik który w prostéj szwaczce spodziéwał się znaléźć pospolitą kobiétę, coby się rada była pochwycić lada środka polepszenia bytu i t. p.—

tak był zdumiony mową jéj i uczuciami, jak gdy piérwszy raz odkrył niespodzianie drzwi owego lochu. Kobiéta wydała mu się niepospolitém zjawiskiem, przed którém musiał uchylić głowę. Z taką godnością i spokojem pojmowała życie... chłodny jéj rozsądek przestraszał go, a jednak z tych zagasłych od dawnych łez oczów niebieskich, z tych ust rumianych uśmiéchnionych smutnie... tyle się zdawało płynąć uczucia, ile z wyrazów rozsądku.

— Przebaczże mi moja pani droga, przerwał nagle, bo ja przy tobie wydaję się bardzo pospolitym człowiekiem z mojemi pojęciami, planami głupiemi i całą tą niezdarną robotą... Daruj mi... ale mógłżem się spodziéwać...

— Pojmuję, odezwała się Karolina, mógłżeś się spodziéwać w prostéj ubogiéj szwaczce, żyjącéj z pracy rąk... nieco wykształcenia, serca i dumy? Możeś pan mniéj winien niż ci się zdaje. Ale pamiętaj, że ja przez matkę troskliwą wychowaną byłam do innego może losu, że w progu życia upadłszy, musiałam się podźwignąć o swéj sile... pracą, i dowieść iż nie byłam godną losu który mnie spotkał.

— Niechże już ja otwartością grzeszę do ostatka — zawołał Wiktor... powiedz mi pani jak się to stało że... z temi przymiotami, wdziękiem, wychowaniem i zaletami, które w pani podziwiam, nie znalazłaś... nikogo.

Karolina rozśmiała się.

— O! bez pochlebstwa...

— To nie pochlebstwo... to zdumienie człowieka...

— Daj mi pan pokój i sprobuj swoich koszul jeśli ci są jeszcze potrzebne, śmiejąc się, smutnie dodała Karolina.

Pułkownik nietylko przody do koszul... ale byłby cały zabrał magazyn razem z gospodynią, tak dla niéj uwielbieniem był przejęty.

— Hiszpanka, rzekł w duchu, byłaby go zasztyletowała, zajadła, struła, lub puściła się potém na niewiedziéć jakie awantury... ta!! a niechże ich djabli wezmą tych Niemców... jak umieją siebie samych trzymać na postronku...

Z temi naiwnemi uwagami zadumany, pożegnawszy Karolinę, pułkownik powrócił do domu.

— Miałem wiele przygód w życiu, dumał chodząc jeszcze po swéj izdebce, napatrzyłem się i naociérałem o ludzi—zdawało mi się że mnie już na spokojném domowém śmiecisku nic nadzwyczajnego nie spotka—a tymczasem... ja tu dopiéro głupieję! Takich ludzi, kobiét... anim się domyślał... I złe i dobre inaczéj mi wygląda jak na tamtym świecie w którym praktykowałem... Nic nie rozumiem... trzeba się uczyć abecadła.

Papuga która widziała go chodzącym ponuro, przerwała po hiszpańsku:

— Głupi—głupi! głupi!

— Masz zupełną słuszność! dodał Wiktor—ty jesteś rozumniejsza daleko odemnie.

Fiszer który padł ofiarą przerafinowanych planów p. Wudtke, gniéwał się na niego i na siebie że posłuchał, dodatkowo na pannę Klarę że go nie chciała, na Jakuba że go porzucił—gniéwał się na cały świat... Obu im nie powiodło się wcale, miłość własna była obrażona.

Pomiędzy ludźmi grosza i dorobku,—upaść w walce z silniejszym to jest zamożniejszym, być pobitym gdy przeciwnik potężny—rzeczą wydaje się naturalną,—ale zostać zwyciężonym przez ubogiego—oburza i niecierpliwi—Jakub był tylko płatnym pomocnikiem w biurze, figurą podrzędną... Fiszer czuł się do żywego obrażonym.

W Wudtkem nadwerężona powaga ojcowska bolała także; człowiek gwałtowny czuł mocno że syna przekonać i pokonać nie mógł,—gniéwał się na niego, ale stokroć więcéj na całą rodzinę Paparonów.

Zeszli się z Fiszerem na giełdzie, obydwa w złych bardzo humorach, a odbywszy prędko interesa, dali sobie znak i wyszli na Długi Rynek.

— Jużciż tak te rzeczy zostać nie mogą, rzekł Wudtke... trzeba cóś obmyśléć— będziemy pośmiewiskiem ludzi.

— Ja? spytał Fiszer—ja?

— Pozwól że cała historya śmieszna...

— Smutna... Dałem się poprowadzić...

— Mnie... Co pleciesz... zrobiłeś cóś chciał.

— Bądź co bądź, rzekł Fiszer, ratować się trzeba.

— Z Paparonami raz skończyć...

— No—jak! jak! skończyć! zapewne! dajże środek...

— Ogłosili willę na sprzedaż? pilnować się aby poszła jak najniższą ceną... Mam wiadomość że i dom sprzedawać będą, dopilnujemy się. Nikt go kupić nie może tylko miejscowy, mamy wpływy, użyć ich należy... Następnie życie im uczynić tak nieznośném, aby się ztąd wynieśli...

Fiszer ramionami ruszył.—Frazesy! projekta, ale wykonania środków nie widzę.

— Będziemy ich szukali—rzekł Wudtke i znajdziemy. To pewna że ja się pomszczę... i swego nie daruję...

Słuchał tego kupiec, ale ramionami ruszył tylko i splunął; Wudtke stracił wiele w jego opinii. Rozeszli się niezadowoleni z siebie. Dodać należy iż Jakuba w biurze nie łatwo było zastąpić, a Fiszer go żałował, ale powrócić doń, prosić go, miłość własna nie dozwalała.

Z wielką niecierpliwością oczekiwał pułkownik odpowiedzi na list swój do Jana Alberta Paparony. Był wszakże wyrozumialszym od Jakuba na opóźnienie się jéj, bo sam należał do tych ludzi, którzy pisać nie lubią, a odpisywać na listy nie cierpią. Jan Albert prawowierny szlachcic, nienawidził także papiéru i kałamarza. Atrament zwykle wysychał mu, a papiéru ostatecznie pożyczano z folwarku... I ten więc list gdy nadszedł, położył go na stoliku mówiąc:—Zobaczymy! będzie na to czas... a że się musiał rozwiedziéć się o spadek, namyśléć i doczekać chwili usposobienia do pisania tego nieszczęsnego listu, upłynął więc miesiąc bez odpowiedzi, a pułkownik pchnął drugi list na pocztę. Jan Albert odebrawszy go aż splunął.—A to gorączka kuzynek, kąpany w ukropie... Ale znowu list położył... i nie rychło się zebrał na odpowiedź. Była ona wcale niezadowalająca; w sprawie spadku po Opalińskich zaszły zmiany, scheda Paparony stawała się wątpliwą... trzeba było czekać szczęśliwszych okoliczności i rozwinięcia się pomyślniejszego procesu, który już trwał lat dwadzieścia a obiecywał potrwać drugie tyle. Nikt téż pretensyi wątpliwéj jeszcze nabywać nie chciał.

Pułkownik ostatecznie pogniéwał się, list zmiął i rzucił na klatkę z papugą, ta zaczęła wrzeszczéć.

— Nie mieliśmy téj sukcesyi, obchodziliśmy się bez niéj, no to ją liczemy za straconą i kwita.

Poszedł zaraz do Jakuba i oznajmił mu bez ogródki, że równie na obietnice Jana Alberta, jak na spadek rachować wcale nie należy. Jakub z góry to przewidział i przyjął obojętnie.

W sprawie sprzedaży willi szło opornie. Zgłaszali się kontrahenci, ale każdy nowy nabywca coraz mniéj ofiarował. Byłyto *spottpreise*, jak mówił plenipotent, niepodobna już oddać własności. Willa w istocie okazywała się nader trudną do sprzedania. Kapitał w nią włożony rentować nie mógł, jak się wyrażali kupcy, nabywcą byłby chyba któś dla fantazyi—dla przebycia kilku miesięcy w lecie, a że budowy choć kosztowne i ogromne były zruinowane, wymagały więc jeszcze znacznego nakładu.

Koniec końcem... położenie Paparonów z dniem każdym stawało się cięższém, pensya pułkownika na utrzymanie domu wystarczyć w żaden sposób nie mogła, dochodów nie mieli żadnych, willi sprzedać nie było można... groził prawie niedostatek, zapasów żadnych nie mieli...

Pocichu Wiktor radził z Jakubem, bo nie chcieli aby o tém Klara wiedziała, nie domyślając się wcale, iż ona także, ich oszczędzając troski, pracowała nad wynalezieniem środków do życia.

Z energią charakterowi swojemu właściwą, Klara w sobie ich szukała. Wychowanie jéj staranne, muzykalne ukształcenie wysokie, umiejętność ję-

zyków, znajomość sztuki w ogóle były materyałem na którym cóś zbudować myślała.

Zrazu chciała pojechać do Berlina, Hamburga, Drezna i dać kilka koncertów, ale zastanowiwszy się nad trudnościami, nad współzawodnictwem, niepowodzeniem wielu artystów—cofnęła się... Dawanie lekcyj było możliwém bardzo, ani się go wstydzić mogła... ale w Niemczech znakomitości nawet biorą po talarze za godzinę, a początkujący często połową i jedną trzecią się zadowalają.

Gdyby więc nawet lekcye znaléźć się mogły obfite (o co znowu przy stosunkach teraźniejszych łatwo nie było) cały dzień pracy ledwieby dał całodzienne utrzymanie ubogie.

Nie bez zajęcia dla czytelników naszych być może, kilka słów o sztuce i żywocie artystycznym w Niemczech.

Sztuka ze wszystkiemi swemi gałęziami, gra bezsprzecznie rolę niepoślednią w życiu naszych sąsiadów; Niemcy są muzykalni, lubią malarstwo i czytanie. Ale zaspokojenie tych potrzeb ducha obyczajem narodowym obrachowane jest na taką skalę, aby dla wszystkich niemal było przystępném. Piękne obrazy widzi się, ocenia, lubuje niemi po galeryach publicznych, najcelniejsze dzieła Haydn'a, Mozart'a, Mendelsohna, Schumanna, Schubert'a wykonywają się na publicznych koncertach do których wstęp kosztuje czasem półtrzecia grosza, naosta-

tek najnowsze utwory Freytag'a, Auerbach'a, Halm'a, Mosen'a, Heysego i t. p. pożycza się w czytelni i zapoznaje z niemi bez kosztu. Książek prawie nie kupują prywatni. Wychowaniu starczą szkoły, tanie kursa publiczne, akademie... Z wyjątkiem bardzo niewielu rodzin bogatych, arystokratycznych, lub do najwyższéj finansowéj arystokracyi należących, wszyscy się kształcą i używają owoców sztuki u tych źródeł popularnych... a tanich... Piękna Klara mogła się po głębszym rozmyśle przekonać, jak jéj będzie trudno pracą do któréj się czuła usposobioną wyrobić życie niezależne. Ale zarazem miała tak nieprzełamaną wolą dokonania tego, iż ją trudności piérwsze odstręczyć nie mogły.

Jedna z jéj dawnych nauczycielek utrzymywała teraz pensyą. Były z sobą w przyjaźni od dawna, a pani Lamm okazywała jéj zawsze najgorętsze współczucie; oprócz tego znała ona lepiéj niż ktokolwiekbądź talenta Klary, jéj rozwinięcie i charakter... Na nią, jak się zdawało mogła z pewnością rachować że jéj w pomoc przyjdzie.

Wybrawszy poobiednią godzinę, Klara ukradkiem prawie się wymknęła do dawnéj przyjaciółki.

Adelina Lamm była osobą dobrą, światłą, miłą, łagodną—ale miała czworo dzieci, była matką, a troska o rodzinę czyniła ją bojaźliwą o chléb powszedni. Mąż jéj, nieznana wcale figura, posłuszny kobiécie któréj wielką wyższość uznawał, nie

mieszał się do niczego. Służył on w magistracie, miał maleńką pensyjkę, utrzymywał się z niéj a w domu dostawał mieszkanie i stół, dając godziny kaligrafii i arytmetyki... Pensya pani Lamm szła wcale nie źle, eksternów było dosyć... kilka panienek na stole... Ale rok każdy nową trwogą napawał nieszczęśliwą Adelinę... czy będą uczennice? ile? a jeśli ich zabraknie, z czego się utrzymać? i t. p.

Po piérwszém serdeczném przywitaniu, po pytaniach o zdrowie i rodzinę, biédna Klara musiała mimo wstrętu... przystąpić do interesu który ją sprowadzał.

— Moja droga Adelino—rzekła biorąc jéj rękę, przychodzę do ciebie w imię dawnéj naszéj przyjaźni z prośbą...

Pani Lamm z ciekawością się do niéj przybliżyła, z dobrze rokującém zajęciem.—Mów, moja droga, jeśli ci czém służyć mogę.

— Możesz, byleś chciała zrobić mi największą w świecie przysługę, odpowiedziała Klara. Nic przed tobą taić nie chcę, jesteśmy chwilowo w położeniu najprzykrzejszém... ojciec mój uznał stosownem porzucić posadę jaką miał u Fiszera, nie łatwo o inną. Miarkować możesz iż chciałabym moją pracą być mu użyteczną... Wiész co umiem i czy umiem co takiego, coby ci się przydać mogło? Możesz mi, krótko mówiąc—dać u siebie zatrudnienie, lekcye i zarobek?

Pani Lamm ze współczuciem pochyliła się ku niéj.

— Biédne dziecko! zawołała, ty! dawać lekcye! mój Boże...

— Bądź pewna, że potrafię, że będę pracować...

— O! nie wątpię—ale ile cię to kosztować będzie!

— O! nic a nic—dopełnię świętego obowiązku...

— Dobrze więc, posłuchaj mnie teraz i wierz iż to co ci powiem, będzie szczérą, poczciwą prawdą. Od lat kilku mam nauczycielki i nauczycieli... bez powodu rozstać się z nimi niepodobna. Zważ i to że dla ciebie może chwilowo tylko, i spodziéwam się na niedługo potrzeba tych lekcyj. Jeśli przyjmę twoję ofiarę, usunę kogoś innego, obrażę, jakże do niego potém powrócę?

— To prawda, odpowiedziała Klara, ale przecież jakoś w życiu pracę się poczyna, radź mi!

— Wiész jak się poczyna, westchnęła pani Lamm—oto wchodzi się na maleńką jakąś posadę, i powoli dobija lepszego położenia, gdy śmierć, słabość, wypadek miejsce opróżnią. Musiałabyś więc poczynać od tak mało przynoszącéj pracy...

— Ale zacznę od najmniejszéj... byle mi przyniosła nadzieję... odpowiedziała Klara.

— Nie zapomniałaś muzyki? spytała przyjaciołka.

— O! nie, uczę się, pracuję, zawołała wstając z krzesła przybyła, chcesz bym ci zagrała co?

— Nie! nie, przecież egzaminu słuchać cię nie będę, śmiejąc się odparła przyjaciołka... Ale początki! gammy, egzercyzye! Zniesieszże ty to, ty co jesteś w duszy artystką?

— Zniosę... nawet a, b, c, początkujących... westchnęła Klara... ale weź mnie, weź proszę.

— A wiészże co my po pensyach płacimy za taką godzinę?

— Nie mam wyobrażenia.

— Dziesięć groszy...

— Dziesięć groszy! powtórzyła smutnie Klara... a starsze uczennice?

— Do starszych uczennic gdybym nie wzięła pana Caroli, który tu używa reputacyi piérwszego wirtuoza, rodziceby mi córki poodbiérali. Każda z nich musi się pochwalić że brała lekcye u pana Caroli.

Klara westchnęła.

— Caroli gra tak... tak niesumiennie!

— Dodaj tak bezecnie, cicho szepnęła Lamm, i tak mnie zdziéra! ale Caroli grą nieznawców zachwyca, bo ich bałamuci, ma wielbicieli, stosunki, klikę, partyą, protektorów... Spisek na mnie zrobiwszy, pensyąby zdyskredytował. Muszę go strzedz jak oberwanego palca... chuchać, pieścić, szanować, uśmiéchać mu się... inaczéj...

Klara westchnęła powtórnie.

— O moja droga, rzekła—tyle mówiemy, piszemy, tak kochamy wszyscy sztukę, a jak ona w ogóle źle pojęta i nizko stoi... jak w tym świecie sztuki, któryby powinien być czysty i święty, brudno i smutno, gdy się zajrzy do głębi...

Po tym wykrzykniku mimowolnym prawie, Klara podniosła głowę z weselszym wyrazem, który sobie nadać usiłowała.

— A więc, rzekła—lekcye po groszy dziesięć i gammy? Kiedyż mam przychodzić? i ile tych godzin dasz mi moja najdroższa?

Na tę rezygnacyą spokojną pani Lamm rzuciła się jéj na szyję.

— Czekaj, rzekła—moja Francuzica stara, na kilka miesięcy podobno skazana do łóżka, ja ją zastępuję sama, ale mi czasu brak... Odstępuję ci lekcyj języka francuzkiego w dwóch wyższych klasach. Chcesz?

— Droga moja! Jam przyszła po jałmużnę pracy—wezmę co mi dasz i uwielbiam cię za to.

Pozostawało tylko umówić się już o godziny, co nastąpiło łatwo. Klara wyszła uradowana, szczęśliwa spełnieniem obowiązku, z pewną dumą iż cóś przysporzyć może o swych siłach dla ojca i domu. Pragnęła tylko żeby ojciec i stryj nie rychło się o tém dowiedzieli a w początkach nie stanęli jéj na przeszkodzie. Postanowiła więc wymy-

kać się pod różnemi pozorami i zataić swoję z panią Lamm umowę.

Gdy tak z jednéj strony Jakub, Wiktor i Klara łamią się z biédą i losem, stary Wudtke nie zasnął także. Znał on zbyt dobrze świat i ludzi, a jak większa część chłodnych i przebiegłych spekulantów, rachować nawykł raczéj na złe strony, na wady i namiętności, niż na cnoty bliźnich. Tego prawidła trzymał się niestety we wszystkiém, nawet w postępowaniu z synem. Po długich rozmysłach co począć, napisał list krótki do Berensa, zięcia swego i kazał mu natychmiast przybyć do Gdańska. Nazajutrz posłuszny Berlińczyk stawił się na zawołanie. Byłto człowiek ni zły ni dobry, bez smaku, bez wybitnego charakteru, oswojony i ostrzelany z życia stołecznego praktyką, żyjący w świecie literackim, artystycznym, zakulisowym równie jak giełdowym... i nie sięgający myślą wyżéj nad literaturę i filozofią Kladderadatsch'a. Wudtke go znał, wiedział że córki do zbytku nie uszczęśliwi, ale téż ani porzuci, ani opuści, ani *skandalu* nie zrobi, wiedział że w piéniężnych interesach był uczciwym, w wydatkach nawet fantazyjnych ostrożnym, wybaczał mu więc małe wybryki o których doskonale wiedział, ale na nie był wyrozumiałym, jako na *malum necessarium.*

— Sprowadziłem cię, mój kochany Berensie, rzekł—dla mojego osobistego interesu... Spodziéwam się że mnie zrozumiész, że postąpisz sobie zręcznie, i będziesz dyskretnym. Wiész lub nie wiész co mi ten nieszczęsny Teofil narobił? Wszak prawie zerwał zemną? głupi... i to dla téj niby ładnéj twarzyczki jakiéjś panny Paparonównéj... Młokos! Ale mimo wiedzy i woli jego przecież go ratować potrzeba gdy się topi.

— Co mi ojciec rozkażesz, to spełnię święcie, rzekł Berens...

— Słuchajże... oto masz dla żony na szpilki... pięć tysięcy talarów.

Berens w ramię tatka pocałował z uniesieniem, bo jakkolwiek był majętny, dar ten chwytał go za serce.

— Ale do czegóż to... na co? spytał.

— No—dla żony... a zresztą... możesz mieć wydatki z powodu interesu który ci powierzę... Szafuj z tych piéniędzy, resztę jeśli zostanie oddasz żonie. Będzie potrzeba więcéj, napisz, zaasygnuję do Magnusa...

— Niech ojciec będzie pewnym... ale o cóż idzie?

— Zrozumiéj mnie dobrze... mówił Wudtke zniżając głos—ten głupiec... ten waryat Teofil kocha się w pannie któréj ojciec zruinowany jest, żenić mu się z nią nie pozwolę... to familia która z so-

bą nieszczęście prowadzi, gdzie tylko się wciśnie... Teofila ujęła może nietyle twarz, wdzięk, młodość, co artystyczne wykształcenie i umysł panny... Na to jest jeden sposób... wprowadzić go w towarzystwo artystek, aktorek, kobiét młodych, pięknych, dowcipnych a należących do tego świata w którym się jednak ludzie jak Teofil nie żenią...

— Kochany ojcze, pozwól sobie powiedziéć, odparł przestraszony Berens, że to może być bardzo fałszywą rachubą... Wy tego świata nie znacie tak dobrze jak ja... Od czasów hr. Rossi i tam mają wyrachowania matrymonialne; potém to może być niebezpieczne dla twéj kieszeni ojcze.

Stary Wudtke się uśmiéchnął.

— Jeżeli mi Teofila zbałamuci która, dam chętnie kilka, kilkanaście tysięcy talarów...

— Teofil zbyt te rzeczy bierze sercowo i po młodemu, zawołał Berens, nuż się zakocha i zapragnie żenić tam, gdzie jak ojciec powiadasz, nie żenią się... a gdzie niestety... dziś trafiają się nawet książęce... maryaże.

— Smiesznym jesteś Berens, odparł bankier... to zapoznaj go... gdzieś... gdzieby już był mąż... tam nie będzie niebezpieczeństwa. A pamiętaj o jednėm, znam Teofila, nie ujmie go twarz, wdzięk, młodość... tylko wykształcenie, dowcip, umysł... No—śmiéj się, taki on jest... dziwak... kocha się

w głowie... bądź pewien, nie w twarzy... w słowach a nie w ustach co je głoszą.

Berens doskonale ojca rozumiał—ale znał nadto dobrze Berlin, by go ciężkie zadanie to nie przestraszało.

— Czy niéma innego sposobu na Teofila? spytał.

— Niéma, zawołał ojciec... jaka tam Bettina Arnin, Fanny Lewald... co chcesz, ale jakaś niebieska pończocha... wielki talent, cóś gwiaździsto jaśniejącego, coby porównanie z tą nieszczęsną Klarą wytrzymać mogło—*Similia similibus curantur*, dodał z uśmiéchem homeopatycznym.

Berens stał zamyślony...

— A—sprobuję, rzekł, sprobuję z całą możliwą ostrożnością, troskliwością... obrachowaniem następstw, wszakże jeśli z tego się co wywiąże. . niespodziéwanego... kochany ojcze...

— Zawsze mi to łatwiéj przezwyciężyć przyjjdzie niż tę nieszczęsną miłość zawiązaną od kolebki a groźną... groźną i niezncśną...

Opatrzony bardzo szczegółowemi instrukcyami Berens odjechał do Berlina nieco zafrasowany. Wistocie polecona mu rola nie była ani godną, przyjemną, ani łatwą, a ta kuracya derywacyjna, skuteczna czy nie, wydawała mu się okrutnie ryzykowną. Ale tatko kazał...

Od opisanych wypadków prawie bez żadnych zmian spłynęło długich kilka miesięcy. Teofil pisywał regularnie do Klary... ale listy jego były jakoś i krótsze coraz i mniéj może szczére a serdeczne jak dawniéj. Uczuła to ona chociaż do formy, do treści ich nawet nie można było się przywiązać i oprzéć na nich zarzutu. Ale z dwóch najczulszych listów z których jeden pisało serce, drugi ręka i nawyknienie, serce kochające mimowolnie odróżni ten z którego woń prawdy się rozlewa. Jest cóś w uczuciu niewynaśladowanego i jak eteryczne owe ekstrakty fruktowe pachnąc doskonale ananasem i cytryną... czuć razem apteką, tak udanie czuć fałszem, choćby było najwytworniejsze.

Klara broniła się wrażeniu którego doznawała—ale mu się oprzéć nie mogła... nadto znów była dumną żeby miała czynić wymówki, listy jéj stały się poważne, smętne... Czasem Teofil wybuchał z dawną gorącością uczucia... to ostygał znowu... Bliższych szczegółów o życiu jego w Berlinie nie miano. Klara chodziła na pensyą, ukradkiem zarabiając i ukradkiem ten grosz rzucając do skarbony domowéj... Mały to był przybytek... ale cóś znaczył przecie, a tak uspakajał jéj sumienie!!

Pułkownik w razach pilnéj potrzeby przez ręce Klary, a bez wiadomości Jakuba... z pensyjki swéj cóś dorzucił także. Jednemu tylko ojcu nieszczęściło się... on jeden żadnego, nawet najlichszego

zajęcia znaléźć nie mógł, skutkiem bowiem zabiegów Wudtkego i Fiszera unikano go. Wudtke ostrożnie, bardzo ostrożnie, półgębkiem... ale dawał do zrozumienia, że do odprawienia Jakuba... musiały być ważne powody...

Te słowa ogólne, niejasne, rzucały cień na niego, a dosyć jest często cienia, aby człowiek wydawał się czarno. Sprzedaż willi codzień się zdawała niemożliwsza... na najgwałtowniejsze potrzeby, zdecydowano się budowle sprzedać tylko jako materyał i gruz... ale to nie wiele przyniosło, a resztę wartości odjęło kawałkowi ziemi.

Szło tak wszystko źle a coraz gorzéj i gorzéj, gdy Jakub raz Wiktora wyciągnął z domu... chcąc z nim pomówić. Już to samo że tak skrycie potrzebował poufnie mu cóś zwierzać, przestraszyło pułkownika.

Jakubowi szło o to żeby Klara nie posłyszała nowiny fatalnéj.

— Wiész pułkowniku kochany, co nam nowego grozi, zawołał Jakub... a! wołałbym wszystko nad to! bo Klara... Klarę to zabić może...

— Ale cóż, co? mów? niecierpliwie zawołał Wiktor...

— Teofil... Teofila zbałamuciła ta sławna Rosa artystka berlińska, któréj talent jest tak głośny... Mówią że głowę stracił dla niéj, że szaleństwa do-

kazuje, że się ruinuje... że... słowem... zapomniał Klary...

— A któż ci to mówił? spytał pułkownik chłodno.

— Znajomy mi przybyły z Berlina.

Wiktor się zamyślił.

— Nie jestli to umyślnie puszczony bąk? rozważ? Teofil pisuje do Klary, to wiem, powtóre, to z czego tyle czynią hałasu... może być... chwilowém roztrzepaniem lub... jakąś artystyczną fantazyą... Talent, talent... no, to może mu talent nie ona zawraca głowę...

— Zawsze to źle — odparł Jakub... gdy się ściany zrysują... dom grozi ruiną...

Pułkownik potrząsnął głową.

— Młodość! wybryk! a miłość dlatego trwać może... cicho, i nie gadajmy o tém nawet...

Już od miesięcy kilku Klara chodziła na pensyą do pani Lamm, która nadzwyczaj i codzień bardziéj była z niéj zadowoloną, gdy jednego razu zastała ją smutną, skłopotaną jakąś, milczącą, po lekcyi prosiła Klary do gabinetu, okryła ją pocałunkami, uściskała, rozpłakała się i poczęła od tego, że Francuzka wyzdrowiała, że z przykrością i żalem musi ją pożegnać...

Na Klarę spadło to jak piorun, nie spodziéwała się tego... zadrżała, i jéj łzy się w oczach za-

kręciły. Lekcye były dla niéj tak wielką pomocą!! Ale przemógłszy piérwsze wrażenie... ochłonąwszy, wstała już by odejść.

— Moja droga, nie chcę ci być ciężarem, szepnęła — i to wielkiém jest cóś zrobiła dla mnie, dziękuję ci... Nie zapominaj o mnie tylko, jeśli się najmniejsze trafi miejsce, zajęcie... proszę cię...

Pani Lamm zaczęła ją ściskać, widocznie z sobą walczyła... słowa się jéj wyrywały z ust niedokończone, niezrozumiałe... chciała cóś mówić i nie śmiała... Klara to postrzegła, ale badać nie wypadało... Już była w progu, kiedy poczciwa Lamm wciągnęła ją nazad, zamknęła gabinet i rzuciła się jéj na szyję...

— Moja droga, moja biédna przyjaciołko, powiédz mi, powiédz szczérze, co ty i twoja rodzina zrobiliście by sobie tylu tu zyskać nieprzyjaciół?

Na to pytanie niespodziéwanę Klara nie umiała odpowiedzieć.

— My? nieprzyjaciół? zkądże ty wiész o tém?

— A! droga moja! wiem... bo z ich to łaski, i ja się z tobą rozstać muszą... Caroli i inni metrowie, rodzice panienek ciągle mnie straszą tém, że jeśli ty tu pozostaniesz... pensya moja upadnie. Nie mogę ci nic zarzucić, a przecież... Oparłabym się jednemu, dwom, ale całemu miastu!

Klarze łzy się zakręciły w oczach, ale uczucie

jakiéjś dumy i godności a niewinności własnéj, osuszyło je wprędce.

— Moja droga, rzekła, mogę ci przysiądz żem niewinną, że nie winien nikt z nas. Nieszczęsne przywiązanie do mnie Teofila syna Wudtkego sprowadziło na nas to prześladowanie, przyczynił się do niego Fiszer, który mi się był oświadczył. Zniesiemy to wszakże, bądź pewna, jak nam przystało. Pojmuję twe położenie, rozumiem że uledz musisz, nie chciałabym ci przyczynić troski... Będziemy cierpieć sami.

Spuściła oczy w których kręciły się łzy, podała rękę przyjaciołce, która byłaby ją rada powstrzymać jeszcze i wyszła prędko... W domu nie powiedziała nic nikomu.

Szło tak źle iż się zdawało że gorzéj już być nie może, nawet Wiktor zupełnie wesołość swą stracił... Pisał on list po liście do krewnego w Poznańskie, ale szlachcic im bardziéj nacierany o pomoc, mocniéj się bronił temu najazdowi, wyrzucając sobie iż tych Paparonów Gdańskich przez ciekawość i dobroduszność zaczepił. Listów pisać nie lubiąc, zesłał się na prawnika którego nastręczył do procesu, a prawnik na wstępie zażądał oprócz dokumentów tego co je najdzielniéj popiera—pieniędzy! Zkądże mu je było wziąć! kie-

dy w domu musiano się obchodzić z najściślejszą oszczędnością... Wiktor swoję pensyą, ledwie sobie na na najtańszy tytuń cóś zostawując, oddawał Klarze.

Całą jego pociechą—smutno wyznać jak człowiek nawet na starość jest słaby—całą pociechą było pójść czasem na gawędkę do Karoliny Hals, która go dosyć mile przyjmowała, przed nią mógł się przynajmniéj otwarcie użalić, wygadać i nałajać Wudtkego, Fiszera i ich zauszników. A że zbyt znowu często nie mógł się jéj naprzykrzać, chodził także do Radgosza, który go słuchał chętnie...

Od Karoliny Hals dowiedział się w tajemnicy największéj pułkownik o tém co spotkało Klarę u pani Lamm, pułkownik oburzył się, rozpłakał, i znowu poprzysiągł zemstę... ale do téj zemsty brakło mu wszelkich środków, a po wojskowemu napaść wprost na którego z tych panów i zrobić burdę, byłoby jemu i bratu zaszkodziło. Łamał więc sobie nadaremnie głowę i gdyby nie Karolina Hals, któréj wejrzenie łagodne i słówka go nieco pocieszało... stary byłby zupełnie opadł na humorze i na duchu.

Jestto znaną prawdą starą, którą i francuzkie i polskie i hiszpańskie potwierdzają przysłowia, jako wspólne całego rodzaju ludzkiego doświadczenie, że—jedna biéda nie dokuczy, wloką się one ćmą i tłumem... Tak było z Paparonami... codzień

prawie nowe jakieś przychodziło ukąszenie losu uczyć cierpliwości, podejrzewano w wielu robotach udział nieprzyjaciół i zdaje się że nie bez przyczyny. Jeszcze przed stukilkudziesięciu laty gdy prapradziadek Jan nabywał owę kamienicę, był na niéj odwieczny proces z miastem o prawo do gruntu na którym stała. Miasto prowadziło go opieszale, dopilnowując się tylko przedawnienia, z obu stron bowiem dokumentów brakło i trudno było rozstrzygnąć, kto miał słuszność.

Sprawa ta tak dalece za małoważną i czysto tylko formalną powszechnie była osądzoną, iż nie przeszkodziła do nabycia kamienicy i późniéj téż nikomu nie zakłóciła spokoju. Trwało to lat niewiedzieć wiele: przeznaczoném było pozostać w zawieszeniu na zawsze. Tymczasem Wudtke wszedł do rady miejskiéj i pilno mu było sprawę tę odkopać, a odkopawszy ją wprowadzić na drogę procesu który mógł się stać groźnym. Czynsze same z gruntu nieopłacane przez lat tyle, przy umiejętnym obrachunku przenosiły wartość owego pałacu. Na radzie Wudtke umiał tak dotkliwie dać uczuć swym towarzyszom opieszałość ich w sprawie funduszów miejskich, iż wszystkich poruszył i zastarzały proces odnowił w sposób niezmiernie groźny.

Jakub któremu o tém znać dano, zniósł nowy cios spokojnie, uprosił obrońcę, zebrał papiéry... ale jakby dobity nim, zasłabł... Wiktor i Radgosz,

Klara we łzach siedzieli przy jego łóżku... po kilku dniach przecie udało się im go podźwignąć, ale na ciele zdrowszy, umysłem nie wrócił do piérwszego stanu, opanowała go obojętność jakaś, zapomnienie się, lenistwo... tak że całemi dniami siedział w krześle milczący z okiem wlepioném nieruchomie w jedno miejsce i rzadko nawet na pytania odpowiadał.

Pułkownik wychodził do drugiego pokoju łzy ociérać. Klarze ich brakło... Dobiły ją widocznie coraz rzadsze listy Teofila, na którego serce poczynała mniéj rachować, zwątpiła o niém. Wieści o jego berlińskich trzpiotostwach jeszcze do niéj nie doszły, ale się ich już domyślała.

Niéma straszniejszego ciosu nad zwątpienie o człowieku w którym się złożyło nietylko nadzieje, ale ideał ludzkości... Strata jednego serca to nieszczęście—ale zawód doznany od istoty która dla nas zamykała w sobie świat, to rozpacz. Nie traci się szczęścia swojego tylko... ale samę wiarę w możliwość jakiegokolwiek bądź szczęścia na ziemi. Takiém uczuciem Klara przybita... czuła że życie będzie już gorzkiém na zawsze... mogłaż uwierzyć w kogokolwiek bądź, gdy Teofil... Teofil... zawiódł! Teofil się jéj przeniewierzył! Piérwszy raz pojęła teraz te niezrozumiałe dla siebie wprzódy wyrazy tylekroć spotykane o słabości ludzkiéj, o nietrwałości uczuć, o walce żywota i cierpienia. Ale bié-

dne dziéwczę w miarę zwiększającéj się boleści wewnętrznéj, rosło w siłę do jéj pokonania. Płakała sam na sam, uśmiéchała się mężnie przy obcych... czasem tak zręcznie umiała udać poczciwą wesołość dla ojca i stryja, że ich obu zwiodła. Jakub głowę podnosił i oko jego zgasłe... błyskało życia iskierką.

Wiktor nadto był żołnierzem, zbyt szczérym żeby potrafił pokryć co się z nim działo, humor jego, o którym niegdyś mawiał że był—*a l'epreuve de la bombe*, zmienił się w usposobienie zgryźliwe, kwaśne... nieznośne. Niecierpliwiło go że tu jak niegdyś w szeregach nie mógł pójść przebojem, tłuc, siec i rąbać na kapustę Wudtkich i Fiszerów.

Gdy się z którym z nich spotkał tylko, brał czapkę na bakier i świstał...

Jednego wieczora gdy Radgosza nie znalazł w domu, a Karoliny odwiédzić nie mógł, zaszedł starym zwyczajem do ogródka. Trochę się potrzebował rozerwać. Na samym wstępie nastręczyła mu się figura zupełnie nieznana, widocznie obca i przybyła z daleka. W dodatku, co dobrze uprzedzało Wiktora, nie wyglądał ten jegomość na Niemca, Niemców bowiem teraz nienawidził. Z kroju sukni, zakroju mowy, domyślał się w nim Belga lub Francuza.

Do téj potrzeby rozrywki jaką czuł teraz w utrapieniu, chętnie robił znajomości nowe; cudzoziemiec zaś zdawał się także jéj łaknąć i wyzywać, uśmiéchał się uprzejmie, kłaniał, patrzył, rzucał pół słówka.

Wyglądał on bardzo przyzwoicie, strój skromny, wiek średni, twarz blada i umyślnie jakby wyuczona być grzeczną—a nic nie mówić. Jedno tylko trochę go podejrzanym czyniło, to że się tak narzucał, ale obcy... było mu to darowaném.

— Muszę téż go wymacać—rzekł w duchu pułkownik i odezwał się uprzejmie: Pan tu jesteś obcym, jak mi się zdaje?

— Tak jest, podróżny i dosyć zdaleka.

— Wolno mi spytać jakiéj narodowości?

— Mam szczęście być Francuzem... rzekł obcy.

Wiktor nie bardzo kochał Francuzów z powodu téj skrzynki na willi, ale w niedostatku innéj zwierzyny i tę musiał przyjąć. Skłonił się grzecznie.

— Naród, który jako wojskowy sam, nauczyłem się szanować...

— Służyłeś pan wojskowo?

— Tak, w Hiszpanii—rzekł Wiktor.

— W Hiszpanii, a teraz tu...

— Teraz przeniosłem się na stare gniazdo, bom się tu urodził.

— A! a! odparł Francuz, wpatrując się w niego.

— A pan, podróżuje w interesach? czy dla przyjemności?

— Ja? głównie przez ciekawość... jestem dyletant, artysta, trochę malarz... nieco archeolog...

Pułkownik spadł nieco z wysokiego wyobrażenia jakie o nim był powziął—artysta, archeolog, są to ludzie smutni i goli, a te dwie wady nigdy nie podnoszą człowieka.

— Jakże się panu nasz Gdańsk pod względem malowniczym podoba? dorzucił Wiktor poufaléj.

— Bardzo rzekł Francuz—bardzo—ale skarby sztuki które się tu pewnie znajdować muszą, sądząc z powierzchowności miasta—są dla obcego niedostępne, a publiczne zbiory... nie starczą aby dać o nich wyobrażenie.

— Nie mylisz się pan, odparł Wiktor, w domach prywatnych są rzeczywiście skarby, ale my spokojni mieszkańcy nie zadajemy sobie kłopotu popisywania się z niemi.

— Gdzieindziéj jest lepiéj, odezwał się Francuz... W Wenecyi naprzykład domy stoją otworem dla ciekawych podróżnych...

— U nas niéma tego zwyczaju.

— To szkoda... Są miasta stare które zabytkami sztuki nie mały handel prowadzą... i Gdańsk by mógł także.

— A no—my téż sprzedajemy szafy nasze i skrzynie do ostatnich, aż je z Żuław już sprowa-

dzają od gburów... niedawno téż i wschody i stropy całe zaczęto u nas kupować... Ale żal się pozbywać tych pamiątek...

— No—wszakże czasem są okoliczności że się ich pozbyć potrzeba, jeśli się ich nie lubi a grosza brak...

— Zapewne! dodał wzdychając Wiktor, przyszło mu bowiem na myśl ich położenie.

Chwilkę trwało milczenie, ale cudzoziemiec przysiadł się bliżéj jeszcze, podając wyborne cygaro hawańskie pułkownikowi.

— Jako miejscowy, rzekł, mógłbyś mi pan istotnie wielką wyrządzić łaskę.

— Jaką? z chęcią... jeśli mogę.

— Wskaż mi pan, czy niéma tu jakiego domu, zbioru... gdziebym mógł cóś widziéć z zabytków sztuki, a choćby i nabyć. Mam wielu możnych przyjaciół w Anglii. Lorda Burney, księcia de Luynes, proszony jestem gdyby się jaka zręczność zdarzyła, o wskazówki.

Pułkownik aż drgnął na siedzeniu.—O mój Boże, rzekł w duchu—gdyby sobie u nas pokupowali te rupiecie... Ale udał dyplomatycznie obojętność.

— Wiész pan co, odezwał się, że los szczególnie nas tu z sobą zbliżył... możnaby sądzić iż się to stało umyślnie. Ja właśnie sam jestem współwłaścicielem domu, który w mieście równego nie ma pod wszelkiemi względy... Jestto prawdziwe

muzeum... Mieliśmy pradziada który w to włożył miliony i nas z łaski swéj zruinował...

— Nie jestto ta kamienica w Długim Rynku, o któréj mi mówiono? spytał Francuz wskazując ręką kierunek.

— Tak... właśnie, dom Paparonów, a ja jestem pułkownik Wiktor Paparona... Widziałeś pan to cacko zewnątrz, miło mi będzie jutro o jedenastéj wprowadzić pana dla obejrzenia wnętrza jego — chętnie mu służę.

Cudzoziemiec uściskał podaną dłoń, kazał podać wina i czoło mu się rozchmurzyło, Wiktor także odzyskał nieco dawnego humoru. Zaczęli gawędzić o Francyi, o kobiétach, o Hiszpanii i kobiétach, o Niemczech i kobiétach jeszcze. Oba wymyślali na nie rzeczy niestworzone... ale oba, widać to było — wielką do nich słabość mieli.

Rozstali się najlepszymi przyjaciołmi pod wieczór, cudzoziemiec stał w Angielskim Dworcu, Wiktor pobiegł do domu i zapowiedział jutrzejsze odwiedziny. Polecił służącéj aby pyły pościerała, pootwierała okiennice i apartamenta przygotowała w całym blasku. Stara Małchen, która wiedziała z doświadczenia iż w podobnych wypadkach, zawsze się jéj cóś od podróżnych dostawało — podjęła się tego z wielką ochotą.

Ani Jakub który ze swego pokoiku prawie nie wychodził, ani Klara nie mająca ochoty się pokazywać, przytomnemi nie byli odwiédzinom cudzoziemca. Wierny on był naznaczonéj godzinie, a nawet ją cokolwiek wyprzedził... ale Wiktor już nań oczekiwał u wschodów piérwszego piętra.

Wschody te musiały same zwrócić uwagę amatora; wedle obyczaju tutejszego były kręcone, jak w ratuszu, ale nie mniéj od ratuszowych ozdobne. Drewniane przepysznéj roboty posągi rycerzy z tarczami i chorągwiami herbownemi Paparonów, stały, jakby na straży u dołu i w górze... galerya cała była obwieszona rzeźbionemi przedziwnie kwiatami. Cudzoziemiec zwrócił na to uwagę zdumiony, zajęty, nie mogąc ukryć admiracyi. Gdy się potém znaleźli w dębem wykładanéj przedsieni, a z niéj Wiktor i Malchen wprowadzili go do sali weneckiéj, podróżny w progu stanął jak osłupiały, załamując ręce.

— Cóżto za skarby! zawołał, co to zą skarby!

Pułkownik się uśmiéchnął aż, ale smutnie.

— Prawda, rzekł, skarby, dziaduś się na tém znał... ale my za jego amatorstwo pokutujemy, bo je ogromnie przepłacił!

Obrazy, rzeźby, posągi, naczynia, bronzy, szkatuły, po kolei zwracały uwagę podróżnego, który je najtroskliwiéj oglądał i niepospolitą tych rzeczy okazywał znajomność. Odwiédziny trwały tak dłu-

go, że już się Malchen niemi znudziła i pułkownik zmęczył, obeszli pokoje... Francuz dziękował serdecznie, wcisnął staréj słudze całego talara a pułkownika uprzejmie poprosił na obiad z sobą do angielskiéj gospody.

Wyszli więc zaraz razem—Francuz zamyślony bardzo, zdający się liczyć, zapamiętywać, notować, ciągle rzucał pytania, Wiktor był tryumfujący.

— Widzisz pan, rzekł, żem go nie zawiódł mówiąc o naszym domu.

— Przeszedł wszelkie oczekiwania! przerwał gość.

Dano do stołu, przy butelce wszczęła się gawędka o losach Paparonów, pochodzeniu, rodzinie, bycie dawniejszym i okolicznościach dzisiejszych, Wiktor jak nigdy bardzo języka utrzymać nie umiał, tak i teraz się rozgadał, może do zbytku z żołniérską otwartością.

— Wiész waćpan co—odezwał się pod koniec przybyły wybadawszy Wiktora... bardzo mnie dziwi że ze zmianą położenia, będąc w nieco trudniejszych dziś interesach, nie korzystacie ze skarbów nagromadzonych w domu. Są to rzeczy dosyć wysokiéj wartości, kupowane w czasach gdy téj ceny nie miały... moglibyście pozbywając się ich znaczny zrealizować kapitał... a tenby was wyprowadził z kłopotu.

— Dawno ja o tém myślałem, odparł Wiktor

i zrobiłbym to bez namysłu, ale nie wiem co brat postanowi, a za nicbym mu przykrości wyrządzić nie chciał, choćby... dla uratowania sobie życia... Jest cóś bardzo upokarzającego i przykrego w takiém fantowaniu się, które w oczach ludzi jest zeznaniem upadku i nędzy... Zresztą jak tu w Gdańsku pozbyć się tego? Komu? Wozić się z tém po targach i nie miło i ryzykowną jest rzeczą.

— Słuchaj pan—odezwał się żywo podróżny... mów z bratem, decydujcie się... jeżeli hurtem zechcecie pozbyć wszystko aż do dębowych rzeźb, okładzin, wschodów, sufitu... ja nastręczę kupców, a raczéj staję sam jako nabywca. Skończymy prędko i w dwóch słowach.

— Pan? pan? spytał pułkownik zdziwiony.

— Ja! nie mówiłżem panu że mam przyjaciół w Anglii, Francyi i Belgii, którzy wierzą w moję znajomość rzeczy... Nabędę dla nich... oszczędzicie sobie kłopotu... Napiszę do moich klientów... przyślą pieniądze, rzecz może być skończona bez zwłoki.

Pułkownik już był wstał jakby chciał wyjść natychmiast, ale się zawahał i usiadł.

— Pozwól mi pan dodać dwa słowa i nie bierz ich za złe. Oto mnie z wielu powodów rodzina uważa za marzyciela, za rodzaj niepraktycznego człowieka łatwowiernego który, lada co pochwyciw-

szy, ją łudzi... Boję się żeby znowu ich... mimowolnie nie zawieść—dajesz mi pan uroczyste słowo?

Artysta podróżny popatrzył nań.

— Daję panu nietylko uroczyste słowo, ale większą nad tę rękojmię że nabyć pragnę i mogę...

Dobył pugilaresu i dostał z niego paczkę banknotów...

— Oto tysiąc talarów jako zakład lub zadatek na przyszłe kupno, jeśli się zgodzimy.

— Mogę je wziąć tylko by bratu pokazać? spytał Wiktor.

— Proszę bardzo.

— Czy mam dać tymczasowy rewers?

— Żadnego, żadnego—odezwał się Francuz... Idź pan, mów stanowczo i ufaj mi że interes zrobi się uczciwie, prędko i krągło...

Wiktor nie kryjąc swojéj radości schował do kieszeni paczkę i wybiegł.

Gorącéj będąc natury musiał się po drodze sam zimną wodą oblewać, aby przyzwoicie z tą ważną wiadomością wystąpić przed bratem i synowicą, ale serce mu biło okrutnie, a nogi same się śpieszyły, tak że ich utrzymać nie mógł.

Jakub siedział jak zwykle w krześle podparty na ręku, zadumany, Klara mu czytała... ledwie dziesiąty wiersz dochodził do jego ucha... ledwie

setny do głowy i myśli... W pokoiku było smutno i jakby grobem trąciło... piękna blada twarz Klary prawie spokojna, prawie jasna na ciemném tle izdebki rysowała się marmurową białością swoją. Wiktor wszedł na palcach i zrazu nie chciał przeszkadzać czytaniu, ale że sobie miejsce wybrał naprzeciw Klary, a ona znała go dobrze, postrzegła po grze mimowolnéj fizyognomii jego, że przychodził z czémś nowém, co go ożywiło. Przestała czytać.

— Przysięgłabym że stryj masz nam cóś do powiedzenia? rzekła, uśmiéchając się.

— Osobliwsza rzecz! zkądże się tego domyśliłaś! doprawdy z tą moją twarzą nigdy sobie rady nie dam... zdrajca z niéj, ale bo i wy kochana Klaro niepospolity macie dar... czytania, nietylko w książkach?

— A prawda żem zgadła?

— Przyznaję, ale ponieważ tak dobrze zagadki rozwiązujesz, dodał pułkownik, mów czy dobre czy złe przynoszę?...

— Dobre jest tak rzadkie, że go się trudno spodziéwać, a jednak... prawiebym na ten raz powiedziała, że stryjaszek w dobrém swém sercu wykołysałeś cóś nie... złego.

— Ja? w sercu? ale to nie ja—przerwał pułkownik, Opatrzność nam zsyła pomyślną okoliczność... Bracie Jakubie... bracie Jakubie...

Jakub zamyślony zdawał się nic nie słyszéć z rozmowy, dopiéro powołany spojrzał na Wiktora.

— Co chcesz? spytał.

— Chcę abyś dobrze uważał co powiem—rzekł pułkownik, rzecz jest niezmiernéj wagi. Mamy kupca który ofiaruje się nabyć cały sprzęt wewnętrzny i zbiory domu naszego, aż do sufitów, drzwi, rzeźb wschodowych i t. p. Oto na dowód iż rzecz na seryo się traktuje, tysiąc talarów danych mi w zakład...

Jakub i Klara spojrzeli na siebie i na Wiktora.

— Mnie się zdaje, odezwał się Wiktor, że w takim składzie okoliczności jak nasze, ani chwili się zastawiać nie można... trzeba sprzedać.

— Trzeba sprzedać! westchnął Jakub i ręce mimowoli załamał.

W oczach Klary łza błysnęła, spuściła głowę i cicho szepnęła:

— Tak... sprzedać—wszystko sprzedać!

— Sprzedać! jeszcze raz machinalnie ustami powtórzył Jakub...

Ale ten wyraz z długiéj zdawał się go wyprowadzać apatyi, usta mu się otworzyły.

— Jak ty to zimno, heroicznie powiedziałeś— szepnął z cicha z razu—sprzedać—jak wtém znać człowieka który życie spędził za domem, bez domu, codzień gdzieindziéj obozując... *Sunt lacrymae rerum*, dodał... dla ciebie to jest sprzętem, łomem,

dla nas historyą, kolébką... pamiątką... z temi drzewy i kamieniami zżyliśmy się jak ze staremi przyjaciołmi... Trzeba z niémi sprzedać myśli dziada... jego dzieło... trzeba się pozbyć tego co swoją fizyognomią samą mówi nam o przeszłości... Ale trzeba, masz słuszność, rozum nam każe—to nam da niezależność, spokój...

Klara dodała:

— Odwagi ojcze! jeśli sprzedaż konieczna... dopełnim ją, i mój fortepian Erarda niech idzie, i ulubiony obraz Guida i wszystko...

— Wszystko... aż do wschodów, drzwi, sufitów... mówił Jakub... wystawcie sobie szkielet tego domu, gdy go odrę z tych jego szat złocistych...

Wiktor z paczką talarów, z głową spuszczoną milczał jak winowajca, wyrzucał już sobie, że im nowe przyniósł strapienie pod pozorem lekarstwa... Żem zgrabny—to zgrabny!! mówił sobie w duchu.

— Wiécie co, rzekł nareszcie głośno, znacie jaka to głowa do pozłoty... zemnie, nigdy się nie zastanowię nad tém co robię... zdawało mi się że przynoszę zbawienie, a przyniosłem strapienie. Niech go tam z temi talarami, odniosę do kata i kwita.

— Nie, zawołał Jakub ożywiając się—nie bracie, nie czas lamentować i z sentymentami występować, przedstawia się nam środek do ratowania, ciężki, prawda, przykry ale jedyny... nie można go rzucać. Jutro potrzeba się zająć inwentarzem, ma-

my regestra dziada Bartłomieja które dadzą cen wskazówkę... Kamienicę wypuścim dzierżawą na lat kilka lub kilkanaście z warunkiem wyrestaurowania po téj ruinie... a my sobie skromny domek postawim na willi i tam... tam... będziemy na ustroniu siedzieli w ciszy...

Widząc że milczący Jakub tak ożył, mówił i aż plany na przyszłość osnuwał, Wiktor się cieszył, spojrzał na Klarę... na jéj twarzy nie było już ani łzy, ani śladów wzruszenia.

— Co ty mówisz Klaro? spytał.

— Że człowiek zbytnio na tym świecie do niczego się przywiązywać nie powinien...

Na tém się rozmowa skończyła... ale w sercach...

W biédnych sercach ludzkich to co się ma stracić—najdroższe zawsze; więźniowie czasem wychodząc całują mury więzienia... dlaczego w tém życiu podlegającém z natury praw ogólnych nieustannym zmianom, człowiek się tak przywiązuje do stanu w którym przetrwał część jego choć małą? może iż ma w sobie iskrę nieśmiertelną, która jest w wiecznéj walce ze znikomém i przemijającém...

Francuz nazajutrz został zaprezentowany rodzinie, Jakubowi i pannie Klarze. Chociaż przy piérwszém poznaniu przedstawił się jako artysta, dyletant, z każdą chwilą jaśniéj się okazywało że w isto-

cie z pewnemi wiadomościami artystycznemi łączył on powołanie... kupca; handlował przedmiotami starożytności i znaczny ich skład miał w Paryżu przy ulicy S. Honoryusza. Był on, jak powiadał, zrazu malarzem, ale mu się nie wiodło, obrazów jego kilka jury wystawy odrzucili, rozbił więc paletę a odziedziczywszy kapitalik po stryju, oddał się starożytniczym poszukiwaniom, na których — zdaje się, że się już był dorobił pewnego majątku, bo miał dom swój własny i magazyny dwa podobno.

René Desforges był w istocie temperamentu artystycznego, ale to był ów francuzki ideał artysty długowłosego, nienawidzącego *le bourgeois*, jak niemiecki akademik *filistrów* — tylko już nieco wiekiem i doświadczeniem uspokojony. Artysta niemiecki jest zawsze prawie estetyk, teoretyk, myśliciel, dużo czytał, uczył się, myślał. Francuz zdobywa czego mu brak na drodze innéj — przez życie, rozmowę, wpatrywanie się, krytykę, — przez wprawę instynktu... René téż mało znał teoryi estetycznych, uczonym był ze źródeł bardzo przystępnych i pospolitych, ale sąd miał trafny i zdrowy. Piérwszy to raz antykwarską podróż odbywał po Niemczech, zwiédzał muzea, zbiory, galerye. Kupował po sklepikach małych, poznawał ludzi i wyznał przed Klarą która z nim wdała się w dłuższą rozmowę, że wcale sobie Niemiec tak nie wystawiał jak one były w istocie, że zdumiony jest ich nauką, pracowitością.

Wziąwszy to za kompliment, Klara mu odpowiedziała z uśmiéchem:

— Ale my panie nie jesteśmy Niemcami.

René wszystkim się im podobał, a jemu—bodaj czy nie najbardziéj panna Klara, bo siadłszy do rozmowy z nią, zapomniał się i trzy godziny przebałamucił.

Byłto człowiek sympatyczny i trzeba mu przyznać, że jeśli artyście niemieckiemu w pojęciu wielkich zadań artystycznych nie sprostał, to znowu niemiecki kupiec pod wielu względami stał niżéj od niego.

Przedłużoną do zbytku rozmowę potrzeba było nareszcie przerwać i wziąć się do roboty. Pan Jakub który był zrezygnowany zupełnie a nawet weselszy i bardziéj niż kiedy ożywiony, przyniósł stare inwentarze; po jednemu przypatrywano się osobliwościom nagromadzonym w sali weneckiéj. Szczególniéj zastanowiła p. René mała czarna hebanowa szafeczka, stojąca na biurze, pieścidełko w swoim rodzaju. Téj formy bardzo misternie wyrabianych sprzęcików używano dawniéj do chowania klejnotów, drobnych fraszek, papiérów. Szafeczka Paparonów widocznie pochodziła z XVII wieku, a była arcydziełem téj stolarszczyzny a raczéj markieteryi wytwornéj, która się teraz dopiéro odradzać zaczyna. Szafeczka ta z hebanu, cała wysadzana perłową macicą, bursztynem, kością słoniową, aga-

tami, bronzem, pomimo rozmaitości materyału składała śliczną całość. Pełno w niéj było szufladek, kryjówek, schowanek, a każda z nich wyrobiona była tak troskliwie, że mimo lat najmniejszego nie poniosła uszczerbku.

Szafeczka od niepamiętnych czasów stała nieruszana, dopiéro teraz dla pokazania jéj p. René przeniesiono pod okno i Jakub począł po jednéj wyjmować szufladki... Na samém wiérzchu była siedząca figurynka z kości słoniowéj. Wpatrując się w nią z góry, postrzegł Wiktor że miała na głowie mało widoczny guzik bronzowy...

— Co to jest? rzekł wyciągając rękę i naciskając...

W téj chwili gdy dotkął guzika, z szerokiego gzémsu szafeczki wyskoczyła skryta szufladeczka, któréj się nikt nie domyślał.

— A to zabawne! zawołał Wiktor, patrzno, patrz Jakubie... jakiś papiér... koperta czy cóś... od niepamiętnych czasów zachowana, aż zżółkła.

— Zobacz co to jest? rzekł Jakub.

Wiktor sięgnął ręką po papiér, dobył go, spojrzał i krzyknął...

— Jezus! Marya!

— Co ci jest!

— Testament! testament dziada Alberta...

Na te słowa wszystkie twarze pobladły. René

który o niczém nie wiedział, spoglądał po nich ciekawie...

Wiktorowi ręce drżały, nie śmiał rozpieczętować, plik był gruby niezmiernie.

Jakub drżał, Klara powoli zsunęła się na krzesło, Francuz czując instynktowo że cóś się stało ważnego i że może im być na zawadzie, chwycił za kapelusz, szepnął na ucho Wiktorowi że powróci późniéj i... wysunął się niepostrzeżony...

Pułkownik trzymał ciągle w ręku plik, ale mu się tak ręce trzęsły, jak nigdy w obec dział nieprzyjacielskich na placu...

— Klaro moja droga... weź, rozłam, czytaj... zobacz... ja... nie potrafię... I Wiktor padł w krzesło blady.

Klara wzięła kopertę, ale i jéj brakło odwagi.

— Mój ojcze drogi... gdybyś ty...

Spojrzała nań, Jakub stał blady, ale daleko spokojniejszy od nich.

— Ja co się najmniéj łudzę i spodziéwam, rzekł, podejmę się rozczarowania i was...

Wyciągnął rękę, siadł, rozłamał pieczęć, rzucił okiem w papiéry... z oczyma wlepionemi w niego Wiktor, Klara usiłowali odgadnąć wrażenie... Jakub zbladł strasznie... papiéry mu z rąk wypadły, mówić nie mógł...

Milczenie długie panowało w sali.

— No, niéma nic, to niéma nic, zawołał pułkownik, mniejsza o to, a raz wiédzmy...

— Owszem, odezwał się Jakub... cała suma... cała suma złożona w banku londyńskim... skarb się znalazł!!

— Skarb się znalazł... a ja do odkrycia go przyłożyłem rękę! zawołał Wiktor... Czytaj testament Klaro...

Testament sporządzony był w r. 1810, a opatrzony kilką kodycyllami w latach 1812—1815 i początku 1816... odnosiły się one do nowych sum w banku złożonych, na wszystkie te sumy w kopercie znajdowały się kwity i bilety banku... Ogół z procentami wynosił jak się zdawało do dwóch milionów talarów.

Testament skąpca brzmiał jak następuje, ominąwszy formy wstępne:

...... „Pracowałem całe życie, odmawiając sobie wszystkiego... jak ojciec Bartłomiéj trwonił, stwarzając wedle swéj imaginacyi pałac książęcy, którego używać nie miał, tak ja tworzyłem fortunę przywiązując się do niéj miłością serdeczną... chociaż z niéj korzystać nie będę. Majątek jest siłą i potęgą, i jak na bystréj rzece może obracać się młyn, papiernia, lub szkodę robić woda... tak i on wielkich dzieł myśli lub nikczemnéj rozpusty może być narzędziem. Zebrałem go jako siłę... ale nie

chcę by był marnie roztrwonionym. Prawem natury idą po skąpcach rozrzutnicy, po utracyuszach chciwcy... mój syn zmarnowałby go pewnie, kryję go więc... zostawując losowi chwilę w któréj rodzina go odzyszcze... Oprócz sum na banku angielskim, których procenta do kapitału przyliczane być mają aż do chwili odbioru, pomiędzy dwoma trumnami cynowemi jest szuflada na klucz pod numerem X. zamknięta, w któréj resztę gotówki złożyłem.

— Klucz jest u mnie—rzekł Jakub...

Zamilkli, łzy im płynęły z oczów, ale to nagłe odkrycie nie uszczęśliwiło ich tak bardzo... uderzyło tylko... rozbiło myśli, zrobiło wrażenie osłupiające...

Pułkownik piérwszy odetchnął całą piersią...

— Dali nam się ludzie we znaki... rzekł... miejmyż my rozum teraz i Panu Bogu podziękowawszy za niezależność... postąpmy sobie trafnie. Jakubie, dodał, jeśli mnie kochasz... proszę, błagam, zaklinam... modlę się, o wypadku dzisiejszym, o odkryciu, o milionach ani słowa nikomu... zachowajmy tajemnicę... będziemy mieli zręczność przypatrzéć się komedyi złota...

Zatarł ręce.

— Mój drogi bracie, odezwał się Jakub—jak-

że się może tajemnica uchować?... potrzeba przecie naprzód to złoto dobyć z trumny nieboszczyka. Przy największych ostrożnościach nie da się to zrobić tajemnie, potrzeba wezwać świadków sądowych, dozór kościoła i grobów.

— Przepraszam cię, zawołał Wiktor, od familijnego grobu mamy sami klucze... pójdziemy tam robić porządek, przywieziemy z sobą skrzynię... i w nią zabierzemy piéniądze. Wolno nam było tam schować co się podoba i co się podoba wyjąć.

— Wątpię żeby się to dało zrobić, nie zwracając uwagi...

— To moja rzecz, odparł Wiktor...

— Dlaczego ci się chce tajemnicy?

— O! o! Jakubie dla wypróbowania tych nikczemnych ludzi... dla... dla małéj pomsty nad grzesznemi. Z wyjątkiem Radgosza... byłaż jedna dusza przyjazna nam? nie prześladowanoż nas nikczemnie z powodu ubóstwa??

— Ale nie rozumiem zemsty przy tajemnicy, spytał Jakub...

— Posłuchajże, tajemnica będzie pozorną... damy się im domyślić że cóś jest, udając że nic niéma... Zobaczysz jak powoli magnes złoty pociągać ich będzie, jak otoczą nas wąchając... jak staną się grzeczni i serdeczni... jakie ja z niemi komedye odgrywać będę!!

— No? ale z panem René? co zrobiémy z nim?

— To sęk... zawołał Wiktor... jeśli z nim zerwiemy...

— Ale po cóż mamy teraz sprzedawać?

— A i ja to mówię! dodała Klara...

— Nie sprzedamy... nie... ale... ale zobaczymy, dodał Wiktor, rozmyślimy się... i grzecznie go pozbędziemy.

Nazajutrz z narady familijnéj wypadło ażeby René daléj jeszcze dzień lub dwa, zajmował się inwentarzem ruchomości, Klara i Jakub mieli mu towarzyszyć, Wiktor wziął na siebie wycieczkę do trumny dziadka Alberta.

Opatrzywszy się w duży wóz, kilka postawów sukna, różnych podkładek pod trumny i t. p., a oprócz tego w zamczystą skrzynię okutą, pułkownik we wszystkich krzyżach na piersi, poszedł do kustosza grobów, oznajmując mu iż przybył z kluczami dla uczynienia porządku w familijnym lochu... Dodał że miał tu papiéry zachowane w czasie wojny do zabrania i inne kosztowności. Rzecz była naturalna, prawo niezaprzeczone... Kustosz doprowadził do drzwi okutych, zapalił świéce, dał pewne przestrogi tyczące się przewietrzenia lochu od dawna zamkniętego przed wnijściem do niego i wpuścił Wiktora ze starą Malchen do podziemia.

Zardzewiałe drzwi które od śmierci Teodora, to jest od r. 1830 nie otwiérały się, z trudnością przyszło odemknąć... Dano wyjść wyziewom, a gdy

światło wniesione nie gasło, wszedł Wiktor do lochu. Ogromną owę wspaniałą trumnę dziadka Alberta łatwo było poznać... bo gdy inne, nawet świéższe ale drewniane już się w kawałki popadały, a kości z nich leżały na ziemi, cynowy sarkofag staruszka stał w doskonałym stanie zachowania, przyciemniał tylko na nim kruszec... Oglądając w koło ten pomnik, Wiktor znalazł ukryty w gzémsie otwór do klucza, klucz przypadł doskonale i z pomocą staréj sługi która drżała jak liść ze strachu... wysunął się rodzaj szuflady blachą wybitéj, w któréj bardzo porządnie rulonami były poukładane piéniądze...

Staruszek, przewidując długie ich leżenie, wszystkie starannie pozawijał w skórę i popieczętował... Nie było tu jednak więcéj nad piętnaście tysięcy czerwonych złotych...

Pułkownik z łatwością je do skrzyni z sobą przyniesionéj przeniósł a szufladę napowrót zasunął. Malchen była przekonaną że w rulonach znajdowały się papiéry i różne familijne dokumenta... Tak jéj objaśnił to pułkownik... Dopełniwszy tego spadkobierczego rabunku z pod nieboszczyka... pułkownik zaciekawił się zajrzéć do wnętrza jego trumny... Miał i od téj klucz, wieko się otwiérało łatwo...

Za piérwszém podniesieniem jego, Wiktor aż krzyknął i cofnął się, ciało leżało nienadwerężo-

ne... jakby żywe... ale zaledwie powietrze je doszło... w mgnieniu oka rozsypało się w popiół...

— Mój Boże, odezwała się stara Malchen... co to za cud! Stary póty póki było co strzedz w trumnie... leżał całuteńki... a teraz jak już niepotrzebny... znikł...

Fenomen ten (zresztą dosyć zwyczajny) na pułkowniku nie zrobił wielkiego wrażenia, na wieki tylko została mu w pamięci smętna, blada, wychudła twarz starca... za którego się pomodlił...

Z pomocą stróża miejscowego, którego dopiéro teraz przywołał pułkownik, pozbiérano zmarłych szczątki i złożono je porządnie i z osobna, ponakrywano całunami trumny i kości... naostatku wzięto się do kufra, który włożywszy na taczki, wywieziono z kościoła do oczekiwanego wozu... Skrzynia była wprawdzie dosyć ciężka... ale że w niéj nic nie brzękało, zbytniéj nie zwróciła uwagi, pułkownik uprzedził wszakże iż mieli tam w czasie wojny złożone kosztowności.

Kustosz naglądał tylko zdaleka...

— Wiész jegomość, rzekł mu stróż powróciwszy z taczką próżną, cóś okrutnie ciężkiego wywieźli w téj skrzyni..

— Ciężkiego? brzęczało panie Frytz, czy nie brzęczało?

— Wprawdzie nie brzęczało... odparł Frytz... ale jabym przysiągł że oni tu mieli pieniądze.

Kustosz ruszył ramionami.

— Paparonowie, piéniądze! toby je byli dawno dobyli, bo już w swoim pałacu prawie z głodu zdychali...

— Czy pan nie słyszał że oni zawsze jakiegoś skarbu szukali, co to o nim dawniéj całe miasto gadało?

Kustosz został uderzony tém.

— Ha! masz racyą! jakimś trafem na ślad jego trafić musieli... Ale gdzie... i w grobie?

— Ja panu powiem gdzie, odezwał się po cichu stróż do kustosza... bom pod edrzwiami czatował i przez szparę patrzył gdy weszli do lochu...

— E! doprawdy? spytał kustosz...

— Istotnie... Tam w kącie stoi ogromna trumna cynowa... Ten wąsaty zbliżył się do niéj, macał cóś od spodu, założył klucz... trzask... wysunął jakąś szufladę... Baba mu przysunęła skrzynkę i jak zaczął wyjmować z trumny a kłaść do skrzyni... to kładł, kładł aż stękał...

Kustosz oczy wielkie otworzył.

— I tyś to widział? spytał.

Frytz się pięścią w piersi uderzył.

— Na uczciwość, własnemi oczyma widziałem...

Gdzie dwóch ludzi wié o tak ciekawym wypadku jak wynalezienie skarbu, a jeden z nich na własne oczy widział gdy go dobywano, trudno przypuścić ażeby się długo utrzymała tajemnica.

Wprawdzie poważny kustosz dał Frycowi admonicyą ażeby o tém nie rozplatał, zwracając jego uwagę na mogące ztąd wyniknąć niepotrzebne plotki, które od sług kościoła wychodzićby nie powinny — ale Fryc dostał talara, lubił przy smutnych obowiązkach stróża grobu, rozweselić się czasem sznapsem i piwem... a gdy był w lepszym humorze, stawał się gadatliwym...

Jeszcze więc tego wieczora gruchnęła po mieście wieść dziwna, że Paparonowie z grobu przodka swojego Alberta, dobyli skarb który tam leżał ukryty od r. 1816...

Plotka ta wyszedłszy ze sfery nader nizkiéj, potoczyła się naprzód między ludem po ulicach... Kustosz znowu miał sobie za obowiązek udzielić wiadomości księdzu oberkonsystoryalratowi... Oberkonsystoryalrat, jakkolwiek osoba duchowna, doktór teologii i znakomity komentator Listów śgo Pawła, nie był wolnym od czysto-ludzkiéj ciekawości. Przywołał więc do siebie Fryca i chociaż protestanta, wyspowiadał. Fryc był po piwie, powtórzył więc opowiadanie *sub fide et consuintia*, ale mimowolnie pod wpływem wyobraźni rozkołysanéj chmielem, ubrał nieco powieść swoję...

Nazajutrz wiadomość o odkrytym skarbie trzema już drogami wkroczyła do miasta. Fryc udzielił jéj w piwiarni dobrym przyjaciołom i tym kanałem poszła w rynki i ulice... Kustosz przy kawie

opowiedział żonie i dwom bardzo godnym przyjaciołom, jednemu profesorowi greczyzny, drugiemu koncepiście w magistracie. Przez tych weszła wiadomość do klas średnich. Naostatek doktór teologii, oberkonsystoryalrat ksiądz Deodat Hiller von Hillercheim, mający znakomite stosunki w mieście z osobami najwyżéj położonemi, udzielił wierzytelnéj relacyi sferom towarzystwa urzędowego i arystokratycznego.

Tym sposobem we dwadzieścia cztery godzin, przekupki mówiły o tém na rynku, służące z wojskowemi w sieniach, mieszczanie po piwiarniach, kupcy po sklepach, a w salonach z uśmiéchem niedowierzania podawano sobie tę wiadomość, popiérając ją świadectwem oberkonsystoryalrata Hillera von Hillercheim...

Wieczorem mówiono o tém w Maryenburgu, nazajutrz w Toruniu i Elblągu, a ràno potém w Berlinie.

Skrzynia z rulonami przybyła do domu w długim Rynku po południu, złożono ją w pokoju Jakuba... Wiktor ani nikt o tém słowa nie pisnął.

René miał jeszcze nazajutrz przybyć dla dalszego rozpatrywania się w ruchomościach, było bowiem około nich wiele roboty.

Jakub zajęty był rachunkami i przygotowaniem

do podróży, których interes z bankiem londyńskim wymagał...

Wszyscy mieli czas ochłonąć z piérwszych wrażeń, oprzytomniéć i na twarzach ludzi znękanych, gdy się wieczorem zebrali, wcale nie widać było że nadeszła chwila wyzwolenia. Jakub i Wiktor naradzali się z cicha, gdy oczekiwana Klara weszła blada jak marmur, z widoczną na twarzy boleścią, z papiérem w ręku, z twarzą obłąkaną...

Zaledwie postąpiwszy kilka kroków, upadła na fotel...

Wiktor postrzegł że mdleje... rzucono się do wody... ale w téj chwili porwała się konwulsyjnie, potarła ręką po czole, rzuciła list na stół i z energią rozpaczliwą zawołała głosem nienaturalnym.

— Nic mi nie jest! nic mi nie będzie!...

— Co to za list? spytał ojciec.

— Możesz go przeczytać, odparła Klara sucho... jestto zresztą... wiadomość któréj się spodziéwałam oddawna...

Wiktor i Jakub rzucili się z ciekawością do listu, poznali rękę Teofila.

Nadzwyczaj starannie wystylizowany ten utwór literacki, bo go inaczéj nazwać nie było podobna, zawiérał w sobie rozprawę o miłości, komentarz nad prawem sercowém, elegią nad utraconém szczęściem, dyalog o niestałości człowieka... i postscriptum uwalniające Klarę od zobowiązań względem

jéj wiecznego wielbiciela... ale już usuwającego się od pretensyj do jéj ręki... Teofila Wudtke...

— W samę porę! zawołał Wiktor z gniewem.

— Tak jest stryju — odpowiedziała Klara, Opatrzność chciała mnie ocalić... Jutro mogłoby się zmienić wszystko... a ja byłabym nieszczęśliwą całe życie. Wolę nie być szczęśliwą a zostać swobodną... Wydrę z serca uczucie, wyleczę się ze słabości... i... dożyję do końca...

Zapłakała...

— Sztuka! sztuka zgoi rany serca... praca da zapomnienie...

Działo się to w gabinecie bankiera Wudtke... na kanapie siedział przybyły z Berlina świéżo Berens, i paląc cygaro, śmiejąc się, opowiadał ojcu, jak mu się doskonale z Teofilem udało.

— Że ci się udało — zawołał bankier... nie przeczę, ale kto ten śmiały plan nakréślił? kto przewidział? kto znając naturę ludzką i serce wcześnie tory któremi pójść muszą oznaczył? Nie chwaląc się o mój drogi, byłem tu jak Liverrier z tą planetą.

— Tak, kochany ojcze... tak... ja sobie nic nie przyznaję tylko posłuszne wykonanie jego instrukcyi.

— No — a teraz mój Berens... do rachunku, ile téż ta sztuka ogółem kosztowała? Dałem ci naprzód pięć tysięcy talarów...

— Ale wydałem dziesięć, mam rachunki, i jeśli się nie mylę, Teofil grubo, grubo w długi zabrnął.

— Jak naprzykład? spytał Wudtke.

Trudno obrachować, ale bodaj czy nie będzie ich... do dwudziestu tysięcy.

Bankier poskrobał się po łysinie.

— *Donnerwetter!* wyjąknął przez zęby... Czy lichwiarskie?

— Są różne.

— No—ale bądź co bądź, postawiłem na swojém. Mówisz że wczoraj list do Klary wyprawił z pożegnaniem...

— Widziałem go... pisał na stoliku u Rosy... a przyznam się żem się śmiał, tak pracował i stylizował.

— Ale ba! wiedział do kogo pisze.

Wudtke ręce zatarł...

— To mi się udało... Pięć, dziesięć, pięćdziesiąt tysięcy talarów są niczém obok odzyskania syna.

— To pewna, rzekł Berens... ale tu się kończy posłannictwo moje, winienem więc sumiennie ojca ostrzedz, że Rosa goni na ożenienie... Stała się słodką, skromną, a ma urok szatański, a zręczna jak Machiavel... a udaje jak komedyantka... a Teofil zakochany jak młodzieniec, który winien uroczéj kobiécie piérwsze w życiu szczęście.

— Tak, to wszystko dobrze, ale tu się o oże-

nienie nie boję... z nią walka dla mnie łatwiejsza... Teraz tylko przedstawisz Rosie jakiego szlachcica, barona i po wszystkiém.

Berens głową potrząsł.

— O! nie pójdzie to łatwo, kobiéta praktyczna, zna doskonale stan waszéj fortuny... a baronostwo sobie kupi gdy zażąda... przestrzegam o niebezpieczeństwie.

— Ja się z niego śmieję! zawołał Wudtke...

Domawiał tych wyrazów, gdy do gabinetu przebojem, z hałasem, blady wpadł jak bomba, Fiszer.

Wudtke odwrócił się z kwaśną miną, miał już bowiem ten zwyczaj zaprowadzony, że nikt do niego bez zameldowania wchodzić nie miał prawa.

— Co tam u licha?

— Co? u licha? Cóżto? ministra grasz rolę... wejść nie wolno... ofuknął Fiszer...

— Co ci jest? dumnie spytał Wudtke...

— Co mi jest... Jestem wściekły! powiem ci w dwóch słowach... Wczoraj Paparonowie trafili na ślad skarbu w grobach familijnych i o białym dniu pięć skrzyń pełnych złota wywieźli z nich.

Wudtke się rozśmiał.

— Śmiéj się, rzekł Fiszer, śmiéj się. Oberkonsystoryalrat człowiek przecież poważny, wié o tém... Generał Pardubitz mi o tém mówił.

— Nie może być!

— Może być i jest! mówię ci jest! Siostra ich

starėj sługi Malchen służy u mnie. Malchen opowiada jak do tego przyszli. Przyjechał do Gdańska kupiec antykwaryusz, chcieli mu sprzedawać wszystkie swoje antyki, zabrali się do inwentarza, poczęli opatrywać sprzęty... W biurze czy w szafie trafili na kryjówkę, w kryjówce był testament... Oprócz złota z grobów... wiem że Jakub gotuje się w drogę do Londynu... i tam cóś mają na banku.

— Ale bajki! powtórzył Wudtke pobladłszy nieco—ale bajki, głupstwa, plotki przekupek! Nie może być.

— Przekonasz się...

Tylko co się rozmowa ta skończyła, nadszedł sędzia trybunału handlowego, (Ministerialrath oprócz tego) p. Piper von Pfepfersdorf. Byłto człek poważny, krochmalny, urzędowy, stateczny.

Rozmowa padła na nowinę a ministerialrat pomalutku wypowiedział że widział się z D. Hiller von Hillercheim i z jego ust na własne uszy usłyszał całą tę historyą, która nie podpadała wątpliwości.

Wudtke nie pokazał po sobie wcale, żeby go to bardzo obeszło, ale w istocie jakiś zafrasowany chodził...

— Ja się domyślam co to jest... rzekł po długich milczących przechadzkach po pokoju, gdy się pozbył ministerialrata... to sztuka Hiszpana, grają komedyą z nami... umyślnie skrzynie wywozili... Zresztą jeśli to prawda, wyda się pewnie.

— Totéż się wydało—odparł Fiszer—a ja nie mogę sobie darować żem idąc za radą waszą zrobił sobie nieprzyjaciela z człowieka, który może się stać finansową potęgą!

Wyraz ten obraził p. Wudtke—który sam jeden chciał miéć prawo nazywać się i być potęgą finansową... skrzywił się, splunął i zawołał, ruszając ramionami.

— Słuchaj Fiszer, desperuję o tobie żebyś kiedykolwiek miał wyjść na słusznego człowieka—wiészże ty co stanowi potęgę finansową?... Nie to (uderzył się po kieszeni) ale ot co (ręką wskazał na czoło.) Jakub żeby miał nawet miliony, zużytkować ich nie potrafi... W rasie i krwi tych ludzi (Wudtke o własném pochodzeniu umyślnie zapomniał) jest cóś co im nie dopuszcza dobić się istotnego, trwałego znaczenia... plemię Paparonów daje nam tego dowody, znajdziecie w nich największą rozrzutność, najstraszliwsze skąpstwo, najśmiészniejsze dziwactwo, nigdy porządku, taktu i wytrwałéj pracy rozsądkiem kierowanéj... wiecznie serce i uczucie, przebiérające się najrozmaiciéj, gra tu rolę przeważną, a rozsądek służy mu za lokaja.

Zdanie to nie było bez pewnéj trafności, przyznać to potrzeba; ale wszyscy tak się zajmowali w téj chwili historyą skarbu, że nie ocenili charakterystyki bankiera.

Radgosz, jakkolwiek przyjaciel domu serdeczny, nie został wyjętym z ogólnego prawidła... Wiktor postanowił i przed nim zachować tajemnicę, przynajmniéj dopókiby nie był spytanym i zagadniętym. Gdy wieść po mieście gruchnęła o skarbie, naturalnie powiedziano o tém Radgoszowi, dostał wiadomość ze trzech stron różnych, ale się uśmiéchnąwszy, ręką kiwnął tylko i wziął to rzeczywiście za głupi wymysł lub figiel mściwy Wiktora. Tyle się tego skarbu naszukano, iż znalezienie tak późne nie zdawało mu się wcale prawdopodobném. Jednakże gdy ze wszystkich źródeł powtarzać się to zaczęło uparcie, Radgosz porzucił Swedenborga i poszedł do Wiktora.

Znalazł go trafem w jego mieszkaniu, w humorze złocistym, na rozmowie szalonéj z papugą, która skakała, rzucała się, wściekała, hasała i łajała.

— Nie przerywam? spytał Radgosz na progu.

— Nie, kochany przyjacielu, zawołał Wiktor, który biegł go uścisnąć; papuga zmęczona, boję się żeby mi się już nie wściekła... siadaj...

Radgosz stał i patrzył, zdziwił go nadzwyczaj humor Wiktora.

— No, pułkowniku, spytał, co tam o was za plotki chodzą po mieście?

— O nas? plotki? jakie?

— Nic nie wiész?

— Mogęż się ja domyśléć?

— Mówią że w trumnie dziadka Alberta znaleźliście skarb.

Wiktor zaciął usta... spojrzał na Radgosza.

— Wierzysz temu, czy nie? spytał go.

— No, nie wierzę, ale czyście umyślnie bąka puścili?

— Nie...

— Wytłumacz mi co to jest? zapytał przyjaciel.

Wiktor mu się na szyję rzucił...

— Słowo honoru że nas nie wydasz? chcę by to była tajemnica...

— Słowo! po co słowo? nie wydam...

— Skarb się znalazł... istotnie, rzekł Wiktor. Testament z wszelkiemi ws kazówkami potrzebnemi, przypadkiem odkryliśmy w kryjówce szafeczki która stała w sali weneckiéj. Winniśmy odkrycie przybyłemu tu kupcowi starożytności, który targował sprzęty.

— Nie żartujesz? zapytał Radgosz.

— Słowo uczciwego człowieka—dodał pułkownik.

— Cóżeście dostali?

— Kilkanaście tysięcy czerwonych złotych które stary dziwak złożył w szufladzie własnéj trumny... i na banku londyńskim sumy które z przyrosłemi procentami wynosić będą, jeśli się nie mylémy, do dwóch milionów talarów.

Radgosz spojrzał i uśmiéchnął się.

— Jakby bajka z tysiąca i jednéj nocy, rzekł.

— Chodź do Jakuba a na swe oczy przekonasz się że nie kłamię... chodź.

Poprzedził go, wziąwszy pod rękę, do pokoju brata.

Ten zajęty był właśnie uporządkowaniem papiérów w widokach podróży.

— Niéma tajemnicy dla poczciwego Radgosza — rzekł pułkownik... on jeden powinien wiedziéć o tém co się nazywa naszém szczęściem, pokaż mu co mamy, aby nie sądził że zwodzimy go, bo rzecz trudna do wiary.

Jakub wyciągnął do Radgosza... bilety bankowe pożółkłe, potém uchylił wieko stojącéj skrzyni.

— Głupieję... zawołał siadając Radgosz... głupieję... winszuję... cieszę się, ale jeśli chcecie i frasuję się razem...

— Jakto frasuję się? zapytał Wiktor...

Swedenborgista wzdychając, rzekł po chwili.

— Byliście w położeniu ludzi może jedném z najwłaściwszych do poznania człowieka jakim jest i rozbicia wszelkich złudzeń. Ubóstwo dawało wam możność widzenia w całéj nagości biédnéj natury naszéj... położenie wasze się zmienia a z niém wystawieni jesteście na wszelkie niebezpieczeństwa jakie z sobą wiezie pani Fortuna... na pochlebstwa, na fałszywe przyjaźnie, na miłości udane... Jakkolwiek mam dobre o was wyobrażenie, ludźmi

jesteście; z początkiem będzie was zmiana tonu i oburzać i niedowierzającymi czynić, ale powoli zaczniecie ją przypisywać nie wszechwładnéj złota sile ale przymiotom własnym, dacie się uwieść, stracicie zdrowy zmysł i zdrowe pojęcie ludzi i świata...

— Miałbyś może słuszność, odparł Wiktor... gdyby... gdyby... zadługo nie chłostała nas biéda i podłość ludzi... Nie damy się uwieść.

— Dlaczego robicie z tego tajemnicę?

— Właśnie to moja inwencya—zawołał pułkownik, aby się nacieszyć komedyą... aby napatrzéć jakto oni teraz do nas przystępować będą... ze strachem aby to nie był fałsz... z niewiadomością o ile to prawda, jak wielkie mienie... i tam daléj i tam daléj.

— Ale mój kochany, jeśli się kot w worku nie utai, to piéniądz jeszcze mniéj.

— Dobrze, wszakże niech zgadują! niech wietrzą! a ja... ja się będę śmiał... Umyślnie pozorów unikać nie będziemy... ale prawdy całéj—nikomu! Wystaw sobie Radgosz... co za męczarnia dla ludzi, którzy bać się będą puścić zadaleko, lub uczynić zamało...

— Skarb skarbem, przerwał Jakub, ale w domu mamy nieszczęście... właśnie tegoż dnia Teofil zerwał literalnie z Klarą.

— Błogosławcie Boga że to uczynił, rzekł Radgosz... to przeciwnie widomy znak łaski niebios...

Po dosyć długich odwiédzinach w domu na Długim Rynku, Radgosz wyszedł nie bez wewnętrznéj radości, że biédnéj rodzinie szczęśliwszy promyk zaświécił, nie bez złośliwego szyderskiego usposobienia zarazem...

Widziano go gdy tam wchodził; przechadzający się z rękami w tył założonemi Fiszer... z boku naglądał czatując na niego oddawna... gryzło go że nie mógł być pewnym jak rzeczy stały... po głowie chodził mu wyborny projekt spółki handlowéj, domu *Fiszer et Paparona*, do którego wcielony kapitał i zdolności Jakuba mogły go postawić na najświetniejszéj stopie. Postanowił więc zbadać Radgosza i zawsze przypadkowo niby spotykając się z nim, zaczépił. Stary przyjaciel domu śmiejąc się w duszy, miał się na ostrożności.

— Dzień dobry, kochany Radgosz... dzień dobry; a zkąd to? (Doskonale widział wychodzącego od Paparonów.)

— Wracam od pana Jakuba... ot... zich domu.

— Co tam słychać?

— Co? Teofil Wudtke zerwał z panną Klarą...

— Kiedy? kiedy? gorąco pochwycił Fiszer...

— Nie daléj jak wczoraj...

— Doprawdy! doprawdy! namyślając się... rzekł kupiec—a pan wiész pewnie że i ja się byłem jéj oświadczył...

— Cóś o tém słyszałem.

— Miałem zawsze szacunek dla tych ludzi, których Wudtke nigdy ocenić nie umiał... to są i byli ludzie godni, uczciwi... Bolało mnie i boli że Jakub uznał za właściwe mnie opuścić... poniosłem przez to wielką stratę... Ale, kiedy już o tém mówimy, raczże mnie objaśnić, co to chodzi za plotka po mieście o nich?

— Plotka? nie wiem...

— Jakto? wy... nie wiécie?

— O cóż to idzie?

— Ale o skarb znaleziony! podchwycił Fiszer.

— O skarb!! skarb? a wiem! gadają o tém w mieście...

— Ale wy byliście u Paparonów... tam nic nie słychać?

— Nieśmiałbym był ich nawet spytać o to.

— A oni sami, nie mówili wam o tém nic?

— Nie zgadało się wcale.

— Jużciż gdyby w istocie znaleźli, toby się wam pochwalili...

— Ot, nie wiem, odezwał się Radgosz... nie wiem... nie zaręczam.

— A sami nie postrzegliście tam zmiany jakiéj?

— Nic prócz bardzo swobodnéj myśli i wesołości ogólnéj...

— I jak sądzicie, czy to rzecz możliwa? spytał Fiszer.

Radgosz ruszył ramionami.

— Nie wiem, zupełnie o tém sądzić nie mogę.

Jeszcze mówili z sobą, gdy zdala ukazał się powoli idący Jakub, który pod pachą niósł woreczek. Szedł on po weksel na Londyn i niósł stare dukaty, aby je zamienić na kawałek papiéru... Chciał to dopełnić w piérwszym lepszym bankierskim domu... Właśnie mijał Radgosza i Fiszera, gdy Fiszer głośno go pozdrowił i zaczepił.

— Cóżto pan Jakub starego wspólnika znać już nie chce? rzekł żartobliwie, wyciągając doń rękę...

— Chyba pryncypała, rzekł Jakub, kłaniając się pokornie.

— A dokąd to, jeśli spytać wolno? zaczepił piérwszy...

— Mam sobie przez daleką familią powierzony interes...

— Interes... przez familią! z niezmierną ciekawością powtórzył ukradkiem podchodząc ku niemu kupiec i dla bezpieczeństwa, żeby mu nie uciekł, biorąc go za guzik od surduta: Cóż za interes?...

— Będę musiał jechać do Londynu, rzekł Jakub.

Fiszer brwiami ruszył i znacząco spojrzał na Radgosza, który patrzył na wieżę ratuszową i stojącego na jéj wierzchołku rycerza.

— Do Londynu? więc zapewne idzie... o kredytywę na Londyn... spytał Fiszer uśmiéchając się.

— Tak jest...

— A dlaczegóż to nie łaska, wprost do stare-

go znajomego i przyjaciela... z wymówką rzekł Fiszer. Ułatwimy to w pięć minut, dam kredytywę na dom Belt, Cromby et Com. Chodź pan, panie Jakubie... proszę...

Jakub się dał pociągnąć, pożegnali Radgosza. Fiszer go wziął pod rękę, serce mu biło... Klara była wolną i skarb znaleziony! gdyby można przejednać się z tym domem, zbliżyć, pozyskać ich... zagładzić ślady dawnych nieporozumień. Nieśmiał być natrętnym, a wypadało mu grać rolę nieświadomego skarbu, chociaż w téj chwili coraz silniejszego nabierał przekonania iż plotka miejska musiała mieć pewną podstawę. Tak w dobréj komitywie zaszli do kantoru. Jakub wydobył rulony z dukatami...

Sam ich widok, zżółknięcie skóry, stare pieczątki, rodzaj monety która prawie wyszła z obiegu... niezmiernie uderzyły Fiszera. —O! rzekł sobie w duchu... znaleźli skarb, niéma najmniejszéj wątpliwości!

Ale udał że się nic dorozumiéwać nie chce.

Klara siedziała w swoim pokoiku i płakała.

Odbywała ona tę ostatnią walkę z sercem, po któréj zawsze na życie całe blizny zostają... Na kolanach trzymała listy Teofila, rzucała je po jednemu odczytując w komin i łzy sączyły się po

każdym. Ale hartowna dusza przebywała tę próbę z właściwą sobie energią, wychowanie i nieszczęście nauczyło ją rozumować... widziała świat z wyżyny... a czuła ból jak najprostsze dziécię...

— Wszyscyśmy tacy, niestety! mówiła ociérając łzy — człowiek bywa ideałem na chwilę, ale utrzymać się na tém stanowisku nie może. Skrzydła Ikara podnoszą go ku niebu a lada gorąco namiętności roztapia co je wiązało... i spadamy!! Któż wytłumaczy człowieka wielkiego aż do bohatérstwa... na sekundę, a pełznącego wieki potém robakiem... Bozki w nim promyk walczy z garścią błota w któréj go uwięziono...

Mogłażem się spodziéwać tego po człowieku!

To mówiąc rzuciła listy na ziemię, złamała ręce.

— Ale dlaczego wymagam od niego by był ideałem dla mnie, kiedy ja przestałam nim być dla niego? Biédny! szukał i on promyka Bożego na ziemi... na chwilę błysł mu on z tych oczów... a teraz Rosa nim świéci! Dlaczegóż nie? Przebaczyć mu potrzeba!... Przebaczyć...

Ale co zrobić z życiem, z sercem?

Resztki serca... nigdy już ono całe się nie odda nikomu... odgrzewaną będzie potrawą...

Wstała i przechadzać się zaczęła. — Surowiéj pojmę życie i będę jemu to winna... poświęcę je sztuce, myśli, pracy, temu co nie zawodzi, co karmi a nie przesyca, co po sobie nie zostawuje mę-

tów, w czém dna niéma i końca, co starczy na wieki, coraz nowemi, szerszemi rozścielając się horyzontami.

Chwyciła papiéry z posadzki i razem rzuciła je w komin, a patrząc jak gorzały, płakała...

Jest wielka, niezbadana tajemnica w sercu człowieka... ciężko mu zostać osamotnionêm, potrzebuje dopełnienia, pragnie towarzysza... rozstać się z nadzieją ich... równa się prawie śmierci. Najpotężniejszy umysł nie obroni się temu prawu...

Jeszcze patrzyła i płakała tak biédna Klara, gdy zapukano do drzwi... otarła oczy, zasłoniła komin sobą i gorejące szczątki, słabym głosem odzywając się—proszę.

W progu stała pani Lamm.

— Można? spytała...

Klara za odpowiedź całą podała jéj rękę, przyjaciółka spojrzała w oczy zapłakane, na postawę smutną i zdumiona milczała. Musiémy uprzedzić czytelnika że dobra kobiécina zasłyszała o skarbie, ucieszyła ją wiadomość, przychodziła winszować, a zastawała ją we łzach.

— Tyś płakała? zawołała zdumiona przyjaciółka, płakałaś?

— Nie zapiéram się—tak—płakałam.

— Co ci jest biédne dziecko?

— Pochowałam nadzieję szczęścia, płakałam

nad grobem... nie pytaj, siadaj, mówmy o czém innéin.

— Dobrze... to chyba o skarbie waszym?

— Nie—odparła Klara—nie mówmy o tém, ja nic nie wiem; skarb mój, patrz, to te popioły kominka.

— Listy?

— Listy Teofila...

— Więc młody Wudtke?...

— Jestem wolną, uśmiéchnęła się smutnie... motyl poleciał, biédny motyl. Że téż są ludzie którzy nie wiedzą że uczucie sprofanowane, zużyte, ofiarowane, co chwila odbiérane, zszarzane, nietylko samo traci ale umysłowo i na duchu zniża człowieka, że i przez to on, zamiast się podnosić, głupieje...

— Mój Boże, ktoby się był tego spodziéwał! zawołała Lamm, to może chwilowy obłęd, może powróci.

Klary oczy błysły.

— Tylko Pan Bóg może grzeszników poprawionych miłosiernie przyjmować, serce ludzkie przebaczy, ale miłość się nie wznawia. Teofil który był moim i miał mój szacunek, umarł; ten co żyje jest kochankiem Rosy aktorki... Klara jest wolną! i Klara nie pokocha po raz drugi nigdy. Umarły Teofil pozostanie w jéj sercu... żywym pogardzam!

Egzaltacya z jaką to mówiła Klara, przestra-

szyła poczciwą spokojną panią Lamm, która starała się ją napróżno ukołysać zimną prozą powszedniego życia.

Rozmowa odtoczyła się gdzieś daleko znowu, ale pani Lamm nie potrafiła zadowolić swéj ciekawości co do skarbu; zagadnięta po raz drugi, Klara jéj odpowiedziała stanowczo: —Nic nie wiem, nie obchodzi mnie to, a nie mam prawa ci się zwierzyć, to tajemnica ojca i stryja, dla mnie żaden skarb nie wróci młodości.

We trzy czy cztéry dni po tych wypadkach, telegram wzywał znowu Berensa do Gdańska, posłuszny zięć stawił się natychmiast. Zastał Wudtkego w strasznym humorze czarnym, zakłopotanego. Siedział w fotelu pogrążony, przybity, przywitał zięcia obojętnie i wskazał mu miejsce.

— Wiész, rzekł do niego po cichu, zrobiłem głupstwo... wielkie głupstwo, sam to wyznaję. Ale któż u kaduka może wierzyć w skarby ukryte i loterye! Tymczasem okazuje się iż Paparonowie znaleźli piéniądze dziadka Alberta, nie można jeszcze dojść ile, ale jak ja mam z moich informacyj, i gdy raz skarb się znalazł, musi być bardzo znaczny. Jakub w tych dniach jedzie do Londynu, to pewna, mają więc tam cóś na banku. Od śmierci Alberta gdyby suma najmniéj była znacząca (a małéjby

nie umieszczał) z przyrostem procentów uczyniłaby bardzo poważną. Wystaw sobie co to jest miéć instynkt fałszywy! Panna jedynaczka, bo ten waryat Hiszpan się nie ożeni, dom przepyszny, posag ogromny, a co się tyczy osoby... to była istotnie kobiéta dla bankiera z ambicyą, godną figurować choćby w królewskich salonach.

Tak—dodał—stało się z mojéj winy głupstwo ogromne... Słuchaj Berens, czybyto nie można jak naprawić? wyślij ty mi tu Teofila, ja niby o niczém nie wiem. Panna była do niego przywiązana, przebaczy...

— Ale Teofil poleciał za Rosą do Stutgardu, gdzie ona w rolach gościnnych występuje.

Bankier słuchał jak ogłuszony, stracił nagle energią, nie wiedział co począć.

— Nie mogę sobie darować tego braku instynktu! rzekł. Jakto, żebym ja nie przeczuł piéniędzy? żebym ja nie obrachował że człowiek skąpy, chciwy, co całe życie poświęcił dorabianiu się, przecież w błoto rzucić nie mógł owocu trudów? Ale Paparonów nie cierpiałem, nie cierpię, to mnie zaślepiało. Wystaw sobie, ten łysy, głupi Fiszer ma teraz szansę... oświadczył się pannie, gdy nic nie miała!! Jakub słyszę jest z nim znowu na dobréj stopie, wziął od niego weksel na Londyn.

Prawda że ja dawniéj ledwiem mu niekiedy głową kiwnął, ale on się też teraz prawie nie wita ze-

mną. Chciałem się nieco zbliżyć, żeby te rzeczy jakoś reparować, ani sposobu. O! stało się wielkie głupstwo, nieprzebaczona omyłka, zapłacona bardzo drogo!! Bądź co bądź, przysyłaj mi Teofila.

Wudtke gryzł się, ale pokazać tego po sobie nie chciał.

Berens po naradzie odjechał nazad.

Jeśli kogo bawiła ta, jak on ją zwał, komedya złota—to czcigodnego pułkownika Wiktora. Wziąwszy na siebie rolę naiwną, odgrywał ją z zapałem, z przejęciem, z werwą niesłychaną. Udając że chce utrzymać tajemnicę, Wiktor umyślnie się z nią wydawał, bałamucił ludzi, zwodził, żartował... a humor jego teraz do najwyższéj podniósł się potęgi. Pędził pół dnia w ulicy i miejscach publicznych, dla jednéj tylko téj satysfakcyi, żartowania sobie z ludzi, przypatrywania się minom ich zdziwionym, spłaszczonym, rozciekawionym, osłupiałym.

Oprócz tego miał pułkownik bardzo wiele do czynienia... Naprzód w trudném się znalazł położeniu względem p. René Desforges, kłamać i udawać jakoś nie chciał długo. Przez dwa dni dyssymulował, trzeciego postanowił otwarcie się rozmówić, szczęściem choć to był kupiec, trafił na człowieka wyrozumiałego i miłego charakteru.

Z rana, wziąwszy tysiąc talarów do kieszeni,

poszedł do angielskiéj gospody. René już się może nieco czegóś domyślał. Hiszpan zastawszy go jeszcze w łóżku, siadł przy nim.

— Słuchaj, poczciwy Francuzie, rzekł—powiem ci bajkę, nie będzie ona bez moralnego sensu w końcu, a jest dalipan ciekawa...

— Ja bardzo lubię bajki—odparł Francuz.

— Była sobie jednego razu rodzina uboga...

Tym tonem rozpocząwszy, pułkownik natchniony prawdziwie całą historyą téj ubogiéj rodziny opowiedział Francuzowi, który słuchał jéj z zajęciem; przyszedł nareszcie do ostatecznego rozwiązania. Francuz mu przerwał.

— Teraz ja wam dopowiem reszty—rzekł... znalazłszy w szafeczce miliony dawno poszukiwane, rodzina owa naturalnie ani potrzeby ani ochoty już nie miała pozbywać się starożytnych zabytków. Kłopotliwe jéj położenie względem kupca, który, bądź co bądź, stał się dla niéj narzędziem Opatrzności. Hiszpan przychodzi do niego z rana, zastaje go w łóżku i nie wié z jakiéj beczki począć, żeby z nim przyzwoicie zerwać.—Posądza on go jako kupca o trochę słabości do zysku, myśli coby mu tu dać żeby grzecznie skończyć, patrzy w oczy Francuzowi zafrasowany. Ale opatrznościowo Francuz jest niezłym człowiekiem, i śmiejąc się podaje dłoń, szczęśliwy że mu się choć przypadkiem udało przynieść komuś z sobą lepszą dolę.

Pułkownik począł go ściskać.

— Ale stój, pułkowniku, to nie wszystko. Francuz, jakkolwiek nieinteresowany, jest fantastyk, dziwak, archeolog, i wprasza się aby mógł inwentarz dokończyć, wszystko widziéć, a miéć jeszcze przez parę tygodni wakacyj wstęp do miłego domu.

— Warunki te przyjmuje rodzina chętnie, dodał Wiktor.—Jesteś kochany René, poczciwym, dobrym, zacnym, masz prawo do serca i wdzięczności naszéj... dysponuj nami.

Francuz dziwnie westchnął.

— *Sacrebleu!* zawołał—kaduk mi nadał te miliony!

— Co ci one przeszkadzają? spytał pułkownik.

— Nie mówmy o tém. Jestem załogą i gościem w waszym domu, nie wypędzicie mnie?

— Ale nie... serca i dom otwarte.

Francuz się rozweselił, i tak część już kłopotu spadła z głowy pułkownika.

Miał drugi wszakże nie równie cięższy... był zakochany. Wprawdzie nie piérwszy to raz w życiu mu się trafiało i jak z ran się leczyć umiał szczęśliwie, tak z miłostek wychodził téż ręką obronną. Ale dawniéj wcale inne było jego położenie, fantazyom serca o pensyi szczupłéj trudno dogadzać, teraz bądź co bądź, czuł i on po za sobą owe miliony dziadowskie i mówił sobie—Cóżby to by-

ło tak złego żebym się ja ożenił? Włosy siwe... ale serce młode.

— Karolina Hals ani zamłoda, ani zatrzpiotowata, jak chce mieć rodzaj wdówki do których ja zawsze miałem pociąg daleko większy, niż do niedojrzałych tych istot, które się zowią pannami. Nieszczęścia jéj życia wcale jéj w moich oczach krzywdy nie czynią. Co tam! a Wudtkemu drugą zrobię złość! i pomszczę się nad tym trutniem przykładnie.

Długo się z sobą bił, męczył, wahał, ale nareszcie uczuł potrzebę zupełnego odnowienia bielizny i pod tym pozorem zawitał do sklepiku za Zieloną Bramą.

Zdziwiona nieco przybyciem jego przyjęła go Karolina; i do niéj doszły już wieści o skarbie, była kobiétą i nieco ciekawą.

Pułkownik zameldował się o dwa tuziny jak najpiękniejszéj bielizny, chustki do nosa, ręczniki, różne a przeróżne toaletowe przybory. Ale mając tak znaczne zamówienie uczynić, uczuł się w prawie zająć krzesło i zasiadł na rozmowę.

— Jest w tém téż co prawdy? spytała gospodyni—co mówią o szczęściu które państwa spotkało?

Wiktor zrobił minę niezręcznie głupawą.

— Szczęście jakie nąs spotkało? powtórzył, cóżto być może?

— Znalezione piéniądze.

Wiktor ruszył ramionami i oblókł się przejrzystą szatą tajemnicy.

— Ja się nie mieszam, rzekł, do interęsów domu... brat się tém zajmuje, doprawdy nie wiem...

— Ale wszyscy mówią?

— Wszyscy mówią, a ja milczę! odparł śmiejąc się Hiszpan, a mam ważne powody do milczenia, dodał—jestem stary, a mimoto taki głupi że chciałbym się jeszcze ożenić, w dodatku życzyłbym sobie zyskać serce i zostać mężem nie dla jakiegoś skarbu, ale dla osobistych moich przymiotów. Widzisz pani tedy, że najprostsza polityka zmusza mnie do milczenia.

Karolina uśmiéchnęła się.

— Pan byś się chciał żenić? spytała.

— Okrutnie sobie tego życzę, rzekł pułkownik, wszystkiego już w świecie próbowałem, nawet zastąpienia żony papugą, ale małżeństwa koniecznie popróbować muszę. Powiem pani otwarcie, że złym człowiekiem nie jestem wcale, mam nawet kilka przymiotów nie bez ceny...

— A wad? spytała Karolina.

— Wad... nabrałem w istocie dużo po świecie, ale są znośne, wcale znośne, a któż ich nie ma!! Serce mam doskonałe, to grunt.

Gospodyni śmiała się serdecznie, i na ten raz nie przyszło do wyraźniejszego tłumaczenia. Wiktorowi pilno było jednak rady brata zasięgnąć i Kla-

ry. Wieczorem wedle zwyczaju byli sami, bo René ich przed godziną pożegnał, z notatkami poszedłszy do hotelu.

— Słuchajno Kubciu kochany, rzekł pułkownik, i wy panno Klaro, cobyście powiedzieli gdybym ja wam okrutnego figla wypłatał?

— A no? jakiego spytał Jakub.

— Gdybym się ożenił... cicho jak winowajca, dodał Wiktor, spuszczając oczy.

Klara mimo smutku parsknęła śmiéchem. Wiktór na nią spojrzał i sam się rozśmiał dobrodusznie.

— Masz słuszność że to się wydaje śmiésznèm, szczególniéj po odkryciu skarbu! Wygląda to jakbym sobie mając za co chciał kupić żonę, nieprawdaż?...

— Biédę może,—kłopot pewno! dodał Jakub.

— Widzę że będziecie przeciwni, rzekł Wiktor, ale Klaro moja, ty co jesteś rozumem samym i światłością, mów mi z katedry zdanie swoje.

— Ja wcale nie jestem ożenieniu przeciwną, odparła Klara już poważniejąc... tylko kochany stryj naturalnie ożenisz się nie dla miłości i serca, nie dla ideałów, ale dla rzeczywistości i prostego rachunku, żeby miéć żonę, towarzyszkę, rodzinę, gospodarstwo i te dzieci które tak kochasz bardzo.

— A w miłość to już nie wierzysz dla mnie? spytał pułkownik. Poszedł do zwierciadła, popa-

trzył i dodał.—Masz słuszność, miłości trzeba dać pokój.

Klara śmiała się smutnie.

— Posłuchaj jednak, seryo rzekł stary—ty filozofka, gonisz za absolutem... dla ciebie miłość to ideał, uczucie iedno o którém masz pojęcie określone i... ciasne; tymczasem miłość jest rzeczą stosunkową, uczuciem przerozmaitém i każdy sobie ją do swojego temperamentu, wieku, serca i głupstwa dobrać może... a dlatego kochać. Miłość moja Klaro jestto kwiat... oczewiście nie mam pretensyi aby mi wykwitła *Wiktorya Regia* na suchym piasku moich lat pięćdziesięciu, ale zimowéj astry czemubym nie mógł otrzymać?

— O sofisto stryjaszku! rozśmiała się Klara tęsknie.

— Źle mnie nazywasz, najmilsza synowico— w téj chwili jestem takim filozofem, że sam sobie się dziwuję zkąd mi się to wzięło; powiem ci więcéj—dorzucił całując ją w rękę, głosem ckliwym,— moja teorya czy hypoteza... tak mi się wydaje dodrą, tak trafną, że prosiłbym ciebie... ciebie abyś o niéj pamiętała. Zwiodła cię *primavera*, czemużbyś nie miała dać wykwitnąć białéj lilii drugiego uczucia? hę?

Klara spojrzała nań smutnie i prawie groźno, tak że stryj się zmieszał.

— Stryju, rzekła mu po cichu... aloesy kwitną raz w sto lat, a przekwitnąwszy, usychają.

— To pewna że cię źle botaniki uczyniali—rzekł Wiktor, pocałował ją w rękę i odszedł na stronę.

— Bracie Wiktorze, zawołał Jakub, wracaj do założenia. Z kim się chcesz żenić, mów śmiało, jesteśmy w kółku naszém, rodzinném.

— Dajże ty mi pokój! ja jeszcze nic nie wiem! rzekł Wiktor, chciałem tylko wypróbować jakie ta wiadomość uczyni na was wrażenie! Do ożenienia daleko, a w moich latach, gdybym popełnił omyłkę, byłaby—śmiertelną...

Panu Jakubowi potrzeba było nareszcie jechać do Londynu, ale z dnia na dzień jakoś odkładano tę podróż,—ojciec widział stan Klary i lękał się jéj saméj porzucić, chciał ją wprzódy widziéć nieco uspokojoną, zresztą żadne interesa nie nagliły. W mieście pogłoski były najrozmaitsze, utwierdziło się wszakże przekonanie, iż odziedziczyli oni spadek i że musiał być bardzo znaczny.

Co przewidywał pułkownik, co dla niego zwało się komedyą złota—ziściło się w rozmiarach nawet przechodzących oczekiwanie. Czarodziejska woń tego kruszcu wyjaśniała fizyognomie, łagodziła charaktery, usposabiała do nadzwyczajnéj grzeczności i względności dla Paparonów. Ci ludzie prawie po-

niewiérani niedawno, którzy w życiu, postępowaniu, obejściu się ze znajomymi nic a nic się nie zmienili sami — czuli że się obracali w innéj atmosferze. Kłaniano się im zdaleka; ci co dawniéj nie przemówili do nich, mieli się za szczęśliwych gdy Wiktor lub Jakub na nich spojrzał. Koło okien panny Klary snuł się rój młodych paniczów o najśliczniejszych wąsikach, z uśmiéchniętemi twarzyczkami... tylko wybiérać.

Wszystko to istotnie wyglądało na upokarzającą człowieka komedyą żywota!! A zważywszy jak to biédne życie krótkie, tyle podłości dla kilku chwil wygody lub próżności!! O Epiktecie! Skarb niemal zapomniany był, tak Jakub kłopotał się stanem córki. Wprawdzie Klara mężnie z sercem walczyła, uśmiéchała się bohatérsko, ale na twarzy jéj boleść wypisała straszliwą groźbę anesthezyi, bezczucia, zdrętwienia, zniechęcenia do życia. Wiktor, p. René który z niezmierném był dla Klary uwielbieniem... ojciec, wysilali się na rozrywki... zdawało się wszakże iż te ją jeszcze bardziéj drażniły. Właśnie tego dnia gdy Jakub wieczorem miał jechać, siedzieli przy śniadaniu, a Klara przerzucała dzienniki niemieckie, gdy Wiktor postrzegł że pobladła nagle, gazeta wysunęła się jéj z rąk, pochyliła się na poręcz i omdlała. Wszyscy się ruszyli ratować. Jakub podniósł gazetę z ziemi i wyczytali w niéj artykuł następujący:

— „Smutny wypadek którego szczegóły dostatecznie jeszcze nie są wyjaśnione, przeraził mieszkańców Stutgardu. Od kilku tygodni przybyła tu z Berlina dla występowania w rolach gościnnych znakomita z piękności nadzwyczajnéj i talentu artystka, panna Rosa... a z nią razem od dawna już w niéj rozkochany syn bogatego bankiera z Gdańska, p. Teofil W... Zdaje się że pomiędzy młodemi ludźmi było przyżeczenie małżeństwa, któremu surowy ojciec stawił przeszkody. Młody Teofil W... korzystając ze znajomości, stosunków i nastręczonych mu tu ułatwień, potrafił wyrobić sobie, iż ks. pastor D... pobłogosławił małżeństwo to, które zostało zawarte d. 20, gdy nie daléj jak w dni trzy krwawą tragedyą rozwiązać się miało. Rosa oprócz Teofila W... miała, jak się zdaje, dawniejszy daleko stosunek miłosny z aktorem Robertem M... znakomitym tragikiem. Zrozpaczony piérwszy kochanek przybył w ślad za Rosą do Stutgartu i stanął w tym samym co młodzi państwo hotelu, gdzie szpiegując nowożeńców, zdołał tajemniczo wręczyć młodéj pani list pełen gwałtownych wyrzutów i groźb rozpaczliwych, a kończący się upartém żądaniem ostatniego widzenia... rozmowy pożegnalnéj. Biédna kobiéta, lękająca się jakiego szalonego postępku, awantury rozgłośnéj, przystała. Stało się nieszczęśliwie iż p. Teofil W... zapewne przez kogóś trzeciego uwiadomiony o schadz-

ce żony, zastał ją w mieszkaniu Roberta... Tu szczegółów nam braknie... Na huk rozlegającego się wystrzału zbiega się służba hotelowa... i zastaje piękną Rosę... pływającą we krwi, bez życia... tragika który pasuje się z mężem... Robert M... jest ranny ale rana jego nie zagraża życiu, Teofil W... zabójca żony chciał sobie także odebrać życie, ale go rozbrojono.

Dowiadujemy się iż sprawca tego okrutnego morderstwa został uwięziony i oddany władzom sądowym. Pogrzeb pięknéj Rosy... którą powszechnie uwielbiano, zgromadził tłumy ludu... Zabójcę musiano natychmiast przewieść do Berlina, gdyż tłumy chciały się rzucić na więzienie aby go rozszarpać.“

Wiadomość przyniesiona przez dzienniki, poprzedzona została przyjazdem Berensa na godzin kilka, właśnie gdy Wudtke spodziéwał się nietylko jego ale razem Teofila... Berens wszedł blady, tak zmieniony, tak drżący, wylękły, że bankier wejrzawszy na niego domyślił się jakiéjś katastrofy.

— Teofil się ożenił! krzyknął załamując ręce.

— Ożenił się, cichym, stłumionym głosem rzekł Berens... ale to nic.

— Jakto? nic? jak? nic! ty to...

— Toby było niczém jeszcze, odparł zięć...

Teofil we dwa dni po ślubie przekonał się że to żona nie dla niego, że nie zawsze można zerwać z przeszłością, która pociąga mimowoli i zastrzelił ją... Teofil jest w więzieniu w Berlinie.

Wudtke zachwiał się, oniemiał, chciał się oprzéć na biurku i padł... Pomimo całéj siły jaką miał nad sobą, chwilowo zawróciła mu się głowa, ale Berens gdy go pochwycił, był już przytomnym.

Z zaciśniętemi ustami, blady, z wzrokiem obłąkanym rzucił się w krzesło!

— Zabił! zabójstwo... sąd... kratki... skandal, karyera na wieki zamknięta... przyszłość stracona. Zabił ją i siebie!! rzekł głucho Wudtke—zabił mnie, zabił wszystko... zabił...

I powtarzając machinalnie ten wyraz, szarpał na sobie suknie.

— Alem ja temu nie winien! dodał—to było szaleństwo... ten człowiek zwaryował, ta kobiéta, któż mógł przewidziéć że on pomyśli o ożenieniu się z aktorką... z aktorką w Berlinie!

Wudtke zwykle chłodny i przytomny, był teraz godzien politowania... Wypadek ten odebrał mu rozum i siłę wszelką.

Berens stał blady... czuł się w obowiązku wytłumaczenia...

— Pojechałem za nim do Stutgartu... rzekł cicho...

— Milcz! milcz! krzyknął Wudtke—co się sta-

ło... nieodwołalne... potrzeba go ratować... Co go czeka?

— Niéma wątpliwości że albo krótkie więzienie, lub *verdiet* unieważniający. Morderstwo popełnione zostało w szale i zapomnieniu, w uniesieniu zazdrości... bezprzytomnie... nierozmyślnie.

— A potém! a potém, zawołał Wudtke, co z nim zrobić!! Jestto człowiek zgubiony, ja z nim, nadzieje domu, przyszłości, wielkości, wszystko na co pracowałem życie całe!!

Stary głowę w dłonie zanurzył i nie wstydząc się—płakał. Od lat kilkudziesięciu były to piérwsze łzy, które z wyschłych oczów wycisnął palec Boży... nie zwilżyła ich nigdy nędza ludzka, litość nad położeniem cudzém... Teraz może nie tyle po synu płakał, co po swoich nadziejach... Był upokorzony swym upadkiem...

Gdyby go był w tym stanie widział Wiktor, mógł się czuć dostatecznie pomszczonym, lecz powiédzmy na jego pochwałę że ten cios który dotknął nieprzyjaciela, w szlachetném sercu jego obudził tylko litość i współczucie. Wudtke ochłonąwszy z piérwszego wrażenia, sprawę syna powierzył zięciowi, a sam zamknął się w domu.

W téj dopiéro chwili wielkiéj, doświadczył on po raz piérwszy jak drogą jest miłość ludzka i szacunek u ludzi...

Wszyscy których z nim łączyły tylko względy

i interesa, grzeczność, urzędowe światowe stosunki,—znikli, odstąpili go. Na progu nie pokazał się prawie nikt, z wyjątkiem Fiszera, który go nie lubił, miał do niego żal, ale się przecież nad nim ulitował...

Wudtke na piérwszy wyraz współczucia i kondolencyi oburzył się dumnie.

— Nie lękaj się o mnie, rzekł—wyjdę z tego, dam sobie rady... nie potrzebuję litości, pomocy, ani stękania... zostawcie mnie samemu sobie.

Ażeby lepiéj dać poznać Teofila Wudtke, którego zaledwie mieliśmy zręczność zdala ukazać czytelnikom, musiémy się cofnąć nieco w opowiadaniu.

Teofil z wielką energią wistocie oparł się ojcu i wyjechał z Gdańska z miłością gorącą dla Klary. Zaraz po powrocie do Berlina wziął się do książek i przygotowań których wymagała doktoryzacya... zamknął się z niemi, pisywał tylko do Klary, a listy te były całą jego pociechą.

Berens jednak mając sobie powierzone przez ojca tak zręcznie osnute pobałamucenie jego, wziął się na pozór poprostu a niemniéj umiejętnie do wykonania planu.

Żona wcale niewtajemniczona w następstwa, wiedziała tylko iż ojciec sobie życzył, aby Teofila od pracy oderwano i wprowadzono w świat literac-

ki i artystyczny, któryby go mógł trochę odświéżyć. W domu Berensów, dokąd uczęszczać był zmuszony, poznał artystów kilku, ci namówieni przez Berensa, wciągnęli go w kółko swoje. Z jednym z nich poszedł do Rosy... Rosa została uprzedzoną o człowieku, charakterze, położeniu, woli ojca i możności pochwycenia syna bogatego bankiera... Szło tylko o potęgę, o zręczność. Piękna, młoda, dowcipna, artystka znakomita, zimna i wyżyta mimo wieku (jeszcze nie przeszła lat dwudziestu) — Rosa mogła co chciała. Los jéj był nader dziwny. Rodzice jéj jeździli po Brandeburgii i Pomeranii z jarmarcznemi sztukami, od lat 9 czy 10 Rosa występowała na scenie. Byłoto dziecko cudowne. Nadzwyczajna jéj piękność, kędziory prześlicznych włosów, wielkie oczy które mówiły co chciały, zachwycały wszystkich. Po śmierci ojca, matka poszedłszy za mąż raz drugi, pozbyła się jedenastoletniéj, za dosyć znaczną cenę odstępując jednemu z mniejszych teatrów. Tu talent niezwykły dzieweczki zwrócił uwagę wszystkich, przeszła staraniem kilku poważniejszych ludzi, miłośników sztuki, do szkoły dramatycznéj, a z niéj świetnie wystąpiła w Szauszpilhauzie na placu Żandarmów... Talent Rosy był równie znakomity jak wykwitająca jéj piękność... grała w tragicznych rolach, w subretkach, w rolach miłosnych, nawet niekiedy stare baby gderliwe, z nieporównaną prawdą i wdzię-

kiem razem... Najznakomitsi artyści: Davison, Devrient obiecywali jéj nader świetną przyszłość. Rosa pracowała niezmiernie, umysł miała żywy, pamięć olbrzymią, wychowania swego dopełniła pracą i zakulisowém życiem... Stała się czém być obiecywała, świetną gwiazdą sceny. Teatra w Hamburgu, Dreźnie, Stutgardzie, Wejmarze, Wiedniu wyrywały ją sobie do ról gościnnych, mówiono o nader świetnych warunkach z różnych stron jéj wnoszonych. Dotąd jednak Rosa zostawała w Berlinie, a wolne tylko miesiące obracała na przejażdżki po Niemczech. Taką była jako artystka, w kobiécie odbiło się życie lat piérwszych, lekkomyślnéj matki przykłady, brak tradycyi, zerwanie rodzinnych węzłów... Mając lat czternaście, była podziwem ostygnięcia, rachuby, przewrotności. Nikt nad nią doskonaléj nie grał ról namiętnych, ale ani uczucia, ani namiętności, ani czulszego wrażenia już nie doznawała... Pani siebie, zimna, próżna, kryła pod tą powłoką cudownie piękną, naiwną, dziecinną prawie istotę którą Włosi zowią *un cuore morte*, sercem umarłém. Widząc ją raz w roli Ofelii obłąkanéj, Robert M... który grał Hamlet'a, szalenie się w niéj pokochał. Rosa rozrachowała w początku że artysta utalentowany byłby dla niéj mężem właściwym. Miała plan jechać z nim do New Yorku. Tymczasem trafił się Teofil — dziéwczę powiedziało sobie umrzéć lub zwyciężyć... będę wielką panią... Niestety, zwyciężyła i umarła!.

Ani wdzięk twarzy, ani talent nie byłby podbił Teofila, Rosa oczarowała go umysłowemi przymioty, świetną wyobraźnią, pojęciem żywém, pełnym taktu instynktem artystycznym który nigdy nie dozwalał jéj popełnić omyłki. Całemi godzinami rozprawiał z nią o Goethem, o Schillerze, o kompozycyach Corneliusza, Kaulbacha, o Schnorze i Overbecku, o Schumannie i Wagnerze. Rozumiała wszystko, przeczuwała wiele, była wcale dobrą muzyczką, uczyła się rysować, kochała na pozór poetów... Teofil powoli odkrył w niéj cóś jakby przyszłą niemiecką Korinnę.

Omylił się wszakże; ta natura tak nadzwyczajnie łatwo obejmująca wszystko, nie mogła stworzyć nic—obrazka, dwóch nut śpiéwu... jednego wiérsza. Mówiła z niezmierną łatwością, ale cudzemi myślami i słowami, malowała tylko z natury, śpiéwała tylku z nut. Była artystką, ale nie poetką, wirtuozką, ale nie tworzycielką. Takie jednak bogactwo wspomnień z ust się jéj lało—iż mogła ułudzić...

Pomiędzy nią a Klarą, niemożliwe nawet było porównanie.—Klara wszystko co spotykała w życiu starała się przyswoić, ale twórczo przerabiając jak pokarm na soki żywotne, Rosa połykała to jak strusie żelazo i kamyki.

W początkach téż Teofil patrzył tylko, miał nawet jakiś wstręt do niéj, obudzony nadzwyczajną

jéj porywczością i śmiałością, ale powoli fascynacya uroku jéj objęła go. Rosa starała się go wyróżnić, odznaczyć, okazać mu że na niéj uczynił wrażenie, potém w sposób bardzo dobitny poczęła mu objawiać miłość namiętną, gwałtowną... miłość to uczucie tak drogie, że gdy je najbrzydsza podaje ręka, nie traci ono wartości, cóż gdy z całym blaskiem młodości, talentu, piękności wystąpi? Brylant na skorupce glinianéj jest zawsze brylantem. Teofil bronił się zrazu, wyrzucał sobie najmniejszą słabość, potém nieznacznie uległ, dał się pochwycić, podbić, zawojować i stracił panowanie nad sobą.

Rosa prowadziła ten romans, który o jéj przyszłości miał stanowić, z całą bacznością kobiéty, chcącéj zwyciężyć. Im zimniejszą była, tém pewniejszą tryumfu. Artystka odegrała swą rolę ze wszystkiemi odcieniami rodzącego się uczucia, wybuchającéj namiętności, walki z dziewiczą skromnością, z obawą niesławy u świata. Były tam i chwile heroizmu, zrzeczenia się i zerwane stosunki i udane ostygnięcia, i co tylko może dramat ożywić, a ku aktorce pociągnąć i skrępować. Teofil był młody, był uczciwy i szlachetny, miłość ta grana wydała mu się tak wyjątkową, idealną, że spokojne uczucie Klary, lodem przy niéj było i obojętnością. Wśród walki z samym sobą, niekiedy zostawiony na chwilę rozmysłom na pastwę, z boleścią wracał

do czystéj swéj miłości dziecinnéj, potém znowu prąd pasyi go porywał, pochłaniał i oszalał. Circe to była, co istotnie mogła ludzi przeistoczyć w zwierzęta...

Reszta téj smutnéj historyi jest nam znaną.

Robert M... kochał ją szalenie, kochał i widział w niéj idealną Ofelią w wieńcu kwiatów, ze śpiéwką na ustach. Zawadzał jéj swą zazdrością, więc przez wpływy jakie miała w dyrekcyi i wyższych sferach, oddalić go na pewien czas potrafiła.

Gdy powrócił, Rosa już ujechała mu do Stutgartu... z narzeczonym.

Zdaje się że przyjaciele Teofila, widząc jak daleko zabrnął, bo się z tém nie tail że żenić się zamyślał, ostrzegli go o Robercie i dawnych stosunkach z nim Rosy. W ostatnich czasach sypały się listy bezimienne wykrywające mnóstwo wypadków z przeszłości, ale Teofila już nic odwieść od postanowienia nie mogło. Rosa wyznała mu część jakąś błędów życia, resztę pokryła zręczną zasłoną i upewniała go o miłości swojéj. Tymczasem nadjechał Robert... Teofil który życie postawił na to szalone przywiązanie, w piérwszéj chwili zdrady o któréj powątpiewać nie mógł, w rozpaczy postanowił jéj i sobie życie odebrać. Biédna istota co tak świetniała na scenie, skończyła jak w piątym akcie tragedyi... wzrok jéj omdléwający padł na Roberta jeszcze... Nie mogła kochać ale on był

dla niéj ideałem artysty, przed którym czuła się słabą i zwyciężoną... Teofil był dla niéj — synem bankiera.

Gdy związany sznurami, zbladły, na pół obłąkany Teofil znalazł się żywym w ciemnéj izdebce więzienia, a gorączka piérwsza powoli ustępować zaczęła, wpadł z niéj w rodzaj melancholii milczącéj, która o umysł i zdrowie lękać się kazała. W tym stanie apatycznym wywieziono go do Berlina, ale wysłany lekarz zaprzeczył rozpoczęciu badania sądowego, tak znalazł go źle i niebezpiecznie na zdrowiu. Musiano kilka tygodni dyetą, lekarstwami, najtroskliwszém staraniem, powolnie rozbudzać do życia, do przytomności... Kilka razy próbował się w więzieniu to wieszać, to zarzynać, tak że posadzono przy nim stróża, który go na chwilę nie odstępował... Naostatek zdrowie jego polepszyło się i można było obwinionego przesłuchać, ale zeznania były bardzo proste i krótkie. Teofil nie zaprzeczał niczemu, nie szukał wymówki żadnéj, nie myślał się tłumaczyć, odpowiadał zimno: — Zabiłem...

Wrażenie jakie ta tragedya uczyniła w artystycznym świecie berlińskim, w dziennikarstwie, mogło i musiało oddziałać na sędziów... Rosa powszechnie była wielbioną, uznano w niéj talent

piérwszego rzędu, co do charakteru, opinia publiczna aż do zbytku była pobłażającą i wyrozumiałą. Wedle powieści przyjętéj powszechnie, jéj odwiédziny u Roberta miały tylko na celu zaklęcie go, aby się wyrzekł wszelkich z nią stosunków. Zeznania artysty nie wiele wyjaśniły... Na Teofila rzucano gromy i potępiano go tak zawczasu, iż adwokat który miał bronić sprawy, zawahał się już był czy mu niewypadnie przypuścić dla obrony chwilowego obłąkania.

Jakkolwiek rodzina Wudtke, Berensowie, skoligaceni z nimi mogli mieć znaczne wpływy w Berlinie, trudno było rachować na nie w sprawie tego rodzaju... Spodziéwano się wyroku dosyć surowego.

Od chwili przeczytania téj nieszczęsnéj wiadomości w gazecie, stan Klary niepokoił jéj rodzinę. Fenomenem niezwyczajnym i wcale niespodzianym wypadek ten zamiast w niéj obudzić wstręt i rozerwać ostatek węzłów, ścieśnił je tylko. Całą duszą zdawała się znowu przywiązywać do nieszczęśliwego... W piérwszych dniach z omdlenia i wzruszenia przeszła w lekką gorączkę, przeleżała, wstała potém, ale w stanie rozdrażnienia, niepokoju, płacząc chodziła po pokoju, zamyślona, nie dając się niczém rozerwać, niczém ukoić w żalu. Widać było że chciała wyrobić na sobie zwycięztwo, ale napróżno.

Siadała do fortepianu i wstawała cała we łzach, zaczynała czytać i odrzucała książkę, w towarzystwie była jak osamotnioną, niesłuchając co mówiono i nieodpowiadając na pytania, lub półsłówkiem odzywając się i niestosownie. Szczególniéj męczyło ją liczniejsze towarzystwo, wesołe usposobienie stryja Wiktora.

Z jednym ojcem była swobodniejszą i szczérszą. Dwa te serca, rodzicielskie i dziecinne, długą wspólną wypróbowane i związane niedolą, rozumiały się najlepiéj i przed nim Klara spowiadała się z myśli, z uczuć bez wstydu, z pokorą, z uczuciem. Jakub się tak przejmował wszystkiém co się jéj tyczyło, iż żaden jéj wyraz, żadne pojęcie go nie raziło. Nawykli do siebie, płakali razem... Jakub téż nie odstępował na krok dziecka, podróż do Londynu naturalnie zupełnie odłożoną została.

Poczciwy Wiktor który kochał synowicę, pragnąłby był jéj służyć, stał pod drzwiami często, ale widział to sam że z sobą ulgi nie przynosi i odchodził smutny. Najczęściéj więc razem z Francuzem przesiadywał w sali na cichéj rozmowie.

René ów na nieszczęście przywiązał się do téj przypadkowéj znajomości Paparonów, a katastrofa która spotkała Klarę, co na nim niezmierne zrobiła wrażenie—napełniła go także współczuciem. Z dnia na dzień zwlekał swój odjazd do Paryża. Stryj Wiktor rozumiał Francuza, w sercu go żało-

wał, ale ani mógł, aniby był śmiał próżnéj mu czynić nadziei.

Upływały tygodnie bez zmiany żadnéj. Klara nie była wcale spokojniejszą, drżała o życie Teofila, czekała wyroku, musiano z niezmierną pilnością strzedz dzienników i odczytywać je wprzódy, aby na nią jaka wiadomość straszliwa niespodzianie nie spadła.—W końcu ojciec, stryj i wszyscy pragnąć zaczęli, ażeby już co rychléj zawyrokowano o jego losie, bo niepewność przedłużona, dla zdrowia Klary, nawet dla jéj życia, poczynała być groźną. Radgosz który całe dnie przepędzał u nich, na rozkazach będąc i posługach, naradzał się już z lekarzem, czyby jakiéj fałszywéj gazety nie należało dla niéj wydrukować. Jakub się temu sprzeciwił.

Taki był urok téj nieszczęśliwéj istoty, iż nietylko swoi ale i obcy czuli się ku niéj pociągnionymi nieszczęściem które ją spotkało i losem z którym walczyć się starała. René Desforges wyrobiwszy sobie że go przyjmie na chwilę aby ją mógł pożegnać, prawie się rozpłakał zobaczywszy ją strasznie zmienioną, ze zwiększonym złowrogo blaskiem oczów. Pojechał on, ale szepnął stryjowi, że na wiosnę do Soboty przyjedzie dla kąpieli. Kąpiele wcale mu tam nie były potrzebne... przywiązał się do Klary.

Cała zima przeszła tak w niepewności, gdyż

proces z powodu stanu Teofila się przeciągnął. Zdrowie Klary było codzień gorsze... zaczynała kaszlać... Ale nadchodził czerwiec już... Jakub i Wiktor uradzili przenieść się do téj cichéj wioseczki na brzeg morza, sądząc że spokój tego ustronia, cisza, drzewa i urok téj wód płaszczyzny może cóś biédnéj Klarze pomogą.

Z Londynem Jakub tylko listownie się porozumiał i sprawę tę z łatwością uregulować potrafił.

Ktokolwiek przeżył szczęśliwą godzinę jaką nad morzem Śródziemném lub Adryatyckiém, a losy go późniéj kiedy zaniosły na północne Baltyku wybrzeża, nie mógł nie uczuć jak natura nieskończenie płodnym jest artystą...

Tworzy ona prawie z tych samych zawsze materyałów tak dziwnie różne obrazy, a umié im nadawać taką harmonią, taki blask myśli Bożéj, że człowiek z uczuciem przychodzi, staje i czyta w téj nieśmiertelnéj księdze, co tam Stwórca napisał.

Są kraje dla różnych plemion, różnych losów i uczuć przeznaczone, tęsknocie nigdzie nie może być lepiéj jak nad zwierciadłem Baltyku. Nie przegląda się w nim ten lazur surowy, ostry włoskich niebios, który razi i niepokoi, ale niebo jakby

mgłą obleczone, niby oko które łza przyćmiła... Nad brzegiem niéma tu piętrzących się skał czarownych, złocistych, ani w oddaleniu sinych gór, tu drzewa gałęźmi piją fale, i śmiało zstępują prawie do morza, szumią tęsknie razem z jego wodami jedną pieśnią, żółty piasek jakby spłowiały, jakby wiekami wypełzły rozściela się miękko, przypominając że był niegdyś dnem tych wód które się ustąpiły ziemi. Wzgórza dalekie zginają się w linie zaokrąglone, łagodne, spokojne, a jeźli na dalekim horyzoncie pokaże się wysepka, to jak chmurka fioletowa, jak obłoczek spoczywa na falach...

Zdaje się że to morze nawet nie ma gwałtownych ruchów południowych braci, śpi i kołysze się, mówi z powagą starca modlitwę ziemi odpoczywającéj. Bryźnie czasem żywszą falą, ale wnet upamiętane wraca do swego majestatycznego spokoju. Inaczéj, wolniéj tu barki krążą, inaczéj chodzą ludzie. Kraj to zadumanych tęsknic i myśli, co w ciszy szuka Boga. Ulubiłby ten brzeg anachoreta, ukocha go dusza spragniona pokoju, którego ziemia dać nie może... Cicho... cicho... szemrze fala... drzewa modląc się kołyszą... gdzieniegdzie domek ukryty w gałęziach bujnych, rzadziéj wieżyczka kościołka... Bujnéj poezyi południa tu nie masz, ale jakaś sielanka z elegią wiejską się pożeniły, jest w tém urok choć inny... jest myśl

acz różna, jest piękność ale odmienna. Żyć trzeba na południu, starzéć się i wspominać tutaj.

Jest w tém cóś co się go dzi z duszą zbolałą... co ją pociesza... natura jakaś zrezygnowana. Tam na południu skały się kłócą z drzewami, morze walczy z kamieniem, niebo piorunuje i klnie wichrami, tu wszystko s ię pojednało, do jednéj drzémki kontemplecyjnéj.

Tak wygląda morze a raczéj zatoka w Zopot, dawnéj Sobótce, dlatego podobno tak nazwanéj, że mieszczanie bogatego Gd ańska, jeździli tam ostatniego dnia w tygodniu na o dpoczynek niedzielny... Schludnie, cicho, jakoś klasztorno. A gdy sąsiednie ogrody opactwa w Oliwie na książęce cóś patrzą... Sobótka ze sw emi drzewy, podobną jest do pustelni kartuzów...

Dodaje temu brzeg owi wdzięku mnóstwo dzieci dla których wody zatoki szczególniéj są pokrzepiające. Te matki i te dziatki dopełn iają doskonale cichego obrazka.

W jednym z domków niedaleko od mor za rodzina Paparonów przeniosła się i zamieszkała już ostatnich dni maja... Stryj Wiktor który hiszpańskie tylko znał morze i brzegi, nie był zadowolony z Baltyku.

— To jest morze swojskie, domowe, wygląda mi jak cóś obłaskawionego, mówił—nie robi tego wrażenia co tamte, nie mam dla niego wielkiego

uszanowania, nadto jakoś pokorne i potulne. Z tamtém aż miło się poborukać i trzeba respekt znać, bo nie żartuje!

Klarze jednak było tu lepiéj, orzeźwiło ją powietrze razem, zieloność i widoki fali spokojnie umiérającéj na słonym brzegu... Proces tego nieszczęśliwego Teofila miał już być nareszcie odsądzonym, gdy jednego dnia gość zupełnie niespodziany zjawił się u pana Jakuba...

Byłto Berens zięć bankiera. Pan Jakub zaledwie go znał z widzenia, a nigdy żadnych z nim nie miał stosunków... Zastawszy samego Paparonę, bo Wiktor poszedł był na przechadzkę z Klarą — począł od zakłopotanych kilku słów poufnéj rozmowy.

— Jesteśmy zupełnie sami — odezwał się gospodarz.

— Prawdziwie nie wiem jak mam moje spełnić poselstwo, rzekł Berens... ale zdaje mi się że najwłaściwiéj będzie gdy panu się zwierzę... Wiadome mu były stosunki mego szwagra Teofila z panną Klarą, przed temi nieszczęsnemi wypadkami... Zdaje się że Teofil w więzieniu uczuć musiał i... winę swoję i odradzające się uczucie gdyż oto... zapragnął koniecznie list napisać do panny Klary. Sąd dozwolił... polecono mi...

Jakub słuchając wstał zbladły i drżący, na twarzy jego malował się przestrach taki, że Berens

który list trzymał już w ręku—cofnął się i nie śmiał mu go wręczyć.

— Panie, zawołał Jakub—nie wiész zapewne w jakim stanie zdrowia znajduje się córka moja. Téj nieszczęsnéj znajomości z Teofilem winienem że ona i ja cierpiémy... nie wiem czy podobna list ten jéj oddać, nie pogorszając jeszcze położenia z którego dotąd starania rodziny i lekarzy wyprowadzić jéj nie mogły.

— Dlatego téż list ten składam w ręce pana jako ojca... przerwał Berens, ręką drżącą oddając pismo—pan najlepiéj osądzisz co z nim począć.— Stan Teofila także obudza litość... niewiadomo jaki sąd nań wypadnie... jestto jakby ostatnie słowo i prośba przedśmiertna... Daruj pan, aleśmy nie mogli mu odmówić.

Jakub wziął list w milczeniu, zdawało mu się niewłaściwém już czynić wymówki rodzinie i tak srogo dotkniętéj, skłonił się tylko wzruszony i Berensa pożegnał.

Ten odchodząc już zwrócił się jeszcze do p. Jakuba.

— W przypadku rzekł, gdyby to, czego się nie spodziewam, zajść mogło... to jest gdyby była jaka odpowiedź, któraby wielką była pociechą dla nieszczęśliwego... najłatwiéj ją będzie przesłać na ręce moje do Berlina...

Jakub powtórnie się skłonił, a w obawie ażeby

Klara nie nadeszła niespodzianie z przechadzki, list schował i co najprędzéj pożegnał przybyłego.

Obawa ta ojcowska była prawie przeczuciem; Berens zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy w zawrocie ulicy spotkał się z Wiktorem i Klarą. Jakkolwiek chciał ich uniknąć, Klara postrzegła go i poznała, zadrgały jéj usta, przyśpieszyła kroku nic nie mówiąc i wprost pobiegła do ojca, wlepiając w niego oczy jeszcze straszniejszym niż zwykle jaśniejące blaskiem.

— Berens tu był, rzekła wpatrując się w drżącego Jakuba, był u ciebie ojcze... z jakiémś poselstwem... może śmierć zwiastującém... nie wiem, ale bądź co bądź, nie zostawiaj mnie w niepewności, ufaj mi, nie taj przedemną! mów!

Jakub odgadnięty w ten sposób, chciał skłamać, ale biédny człek nie miał ani przytomności dosyć, ani nawyknienia do wykrętów, zmięszał się, splątał, jąkać począł—Klara pocałowała go w rękę.

— Ojcze mój, rzekła—rozumiem twą obawę i troskliwość, ale patrz na mnie, jam zrezygnowana i spokojna!! a niewiadomość, niepewność uczyni mnie nieszczęśliwą.

Jakub spoglądał na Wiktora, drżał, naostatek widząc się zmuszonym oddać list, wyjął go powoli i ledwie dosłyszanym rzekł głosem:

— Zlituj się nad sobą i nad nami...

— List od Teofila! zawołała chwytając Klara.

— Czekaj, rzekł Jakub wstrzymując go w ręku — mojém zdaniem czytać go i przyjmowaćbyś nie powinna, po tém wszystkiém co się stało...

Klarze łzy płynęły z oczów, z wyciągniętą ręką stała błagająca, przestraszona.

— Ojcze, ojcze, rzekła, nieszczęście z wielu błędów rozgrzésza, wiele win odpuścić każe. Dziś, dziś wiemy lepiéj kto mi serce Teofila odebrał... intryga ojca którego Bóg skarał tak ciężko. Wskazano go młodego, niedoświadczonego na próbę któréj uległ... Całe jego życie złamane... Ja, ja mam obowiązek siostry ulitować się nad nim... przebaczyć mu gdy może... a! któż wié jakie go czekają losy... Ojcze, masz serce... nie bądź okrutnym dla niego... bo mnie dosięgniesz tą surowością swoją...

Jakub pocałował ją w czoło... Klara pochwyciła list, ale jakaś wstydliwość niewieścia nie dopuściła jéj go czytać przy stryju i ojcu, wzięła uśmiéchnięta prawie i szybkim krokiem pośpieszyła do swojego mieszkania... Z trwogą posłyszano że się zamknęła na klucz...

List był w tych słowach:

„Klaro... pani... nie wiem jakim tytułem i imieniem odezwać się teraz do ciebie, a jednak czuję przychodząc do przytomności po śnie i zmorze z których mnie krew zbudziła, że do ciebie piérwszéj z błaganiem zwrócić się muszę. Z za więziennych krat, nie wiedząc jaki los mnie spotka,

śmierć czy zamknięcie... złamany, na poły umarły, nie widząc już przed sobą nic tylko sędziów i pokutę... uczułem że ciebie jednę o przebaczenie prosić jestem obowiązany... Winien jestem, winien tak ciężko, splamiony tak niezmytém piętnem szału i zbrodni, iż nawet to serce twoje anielskie nie wiem czy mi potrafi odpuścić winy. Na nikogo ich nie składam, nikomu nie przypisuję—ja sam jestem sprawcą wszystkiego... a jeśli mnie osądzą za niegodnego życia... nie będą zasurowi. Zły użytek uczyniłem z niego, z serca mojego, z młodości... i to wówczas gdy Bóg dał mi wybranemu takie szczęście jakiém było... twe przywiązanie... serce twoje!!

„Jak z piekieł nie wracają potępieni, tak z téj przepaści w którą wpadłem oślepiony... nic mnie podźwignąć nie może. Zgubiony na wieki, chciałbym umrzéć unosząc z sobą twój obraz, pragnąłbym oblec go na ostatnią godzinę w szaty miłosierdzia... Przebacz mi... niegodnemu przebaczenia.

„Klaro, winienem, ale wśród szału tego, przysięgam ci że na jednę chwilę miłość moja dla ciebie nie ustała... Nie potrafię tego stanu duszy i serca wytłumaczyć—ta namiętność która mnie opanowała, ten czar który mi odjął przytomność, innemi jakiemiś posługiwał się władzami. Jak z upojenia, chwilami wychodziłem trzeźwy i płakałem wspominając ciebie, czując się już niegodnym, nawet my-

ślą wpatrywać w oblicze twoje... Z téj gorączki otrzeźwiła mnie—krew...

„Żyję—a życia mojego myślą jedyną—ty... Raz jeszcze chciałem uklęknąć przed tobą, i prosić cię miłosierdzia... Strułem ci życie, krwawą plamę wspomnienia zostawiło dotknięcie moje na czystych twoich szatach... ale tyś aniołem i przebaczysz... Klaro—ulituj się nademną, poniosę głowę pod miecz spokojny, jeźli z przebaczeniem twém umrę...“

List ten pisany widocznie pod wpływem rozdraźnienia, ledwie czytelny, nabiérał znaczenia strasznego od groźby śmierci zawieszonéj nad głową nieszczęśliwego. Jakub i Wiktor pod edrzwiami Klary stali długo, wysłuchując najmniejszego szmeru, niepokojąc się nawet milczeniem... Klara czytała, czytała go zrazu nierozumiejąc nic, prócz tego, że on do niéj napisał. Raz, drugi i trzeci przebiegła go oczyma, nim myśl potrafiła pochwycić. Rozgorączkowanie, zburzenie, nie dozwoliło jéj nawet zapłakać... z oczyma zaiskrzonemi, siadła natychmiast odpisać, nie chciała stracić ani chwili, mając mu przynieść pociechę. Odpowiedź była następująca:

„Niech ci Bóg jak ja przebaczy... Serce moje posłało do twego więzienia dawno to słowo przejednania i litości, na które nieszczęściem swém zasługujesz. Z ludźmi i światem obchodziłeś się jak z przyjaciołmi i rodziną, nie wiedząc że oni są

walką i wrogiem, że człowiek stać musi na straży serca,—zawsze zbrojnym, wiecznie wojującym...

„Cóż dziwnego że w walce nierównéj upadłeś? To słowo tylko braterskie—posłać ci mogę i czystą łzę która niech duszę twoję obmyje i pokój ci przyniesie z sobą... *Klara.*“

Nie mogła napisać więcéj, gorączkową ręką skréśliła te wyrazy, gorączka podtrzymywała ją do końca, wkrótce usłyszał Jakub otwierające się drzwi pokoju, Klara wyszła z suchemi oczyma, trzymając list... zbliżyła się do niego i schwyciła jego rękę.

— Ojcze mój, nie sprzeciwiaj się—dla mojego spokoju, zaklinam cię, spełnij wolę moją, prześlij mu ten list, nie tracąc ani chwili... Męczy mnie to, chciałabym aby go natychmiast odebrał... abym mu przyniosła pociechę... Mój ojcze!—I przyklękła przed nim.

Jakub wszedł z nią do jéj pokoiku.

— Droga Klaro, rzekł, znasz mnie, daję ci słowo że list odeślę, ale wprzódy błagam ja ciebie, posłuchaj mnie... Nie znasz życia i świata... Ten nieszczęśliwy proces Teofila w dzisiejszych obyczajach, jest dla wielu pożądaną sposobnością do tworzenia skandalów. Dziennikarstwo pochwyciło go i zużytkowuje na korzyść swoję... niéma najdrobniejszéj okoliczności którąby uszła uwagi tych ludzi, co się muszą karmić nawet nieszczęściem cudzém, byle żyli. List pisany do ciebie, twoja od-

powiedź, wszystko to choć wzmiankowaném będzie w procesie, pójdzie po gazetach, rozniesie się po świecie. Druk, moja Klaro... czarny jest i czerni na wieki... odmyć plam które wyciska nie można, twoja przyszłość...

— A! drogi ojcze, Klara niéma przyszłości, zawołała córka chwytając jego rękę, dla tego złamanego życia aby sobie oszczędzić trochę przykrości, odmówić temu Łazarzowi kropli wody, co usta jego zwilżyć może... nie... o! nie... Cóż zresztą napisać mogą na mnie? żem go kochała? wiedzą wszyscy, i żem mu posłała słowo miłosierdzia i przebaczenia w przeddniu sądu i kary... to mi nie uwłacza! Uspokój mnie, drogi ojcze, nie sprzeciwiaj się, nie będę ci się już naprzykrzać prośbami... a dziś proszę jeszcze, błagam ciebie...

— Niech więc tak będzie jak chcesz, rzekł ojciec. Wiktor natychmiast pojedzie do Gdańska, zastanie tam pewnie jeszcze Berensa i odda mu odpowiedź.

Pocałował ją w głowę, Klara któréj dopiéro teraz obfite łzy rzuciły się z oczów, kryjąc je, zamknęła się w swoim pokoju.

Po długich zwłokach spowodowanych stanem zdrowia Teofila, sprawa jego przyszła nareszcie pod sąd. Obwiniony obudził w sędziach litość i współ-

czucie, wybladłą twarzą, szlachetną postawą i aż do zbytku otwartém przyznaniem się do winy. Obrońcy posłużyło to do wymownego głosu w którym dotknął całego życia Teofila i usiłował wykazać że ta wina którą on na siebie przyjmował, spaść musiała na otaczających ludzi, zbieg okoliczności dziwny i fatalny, wpływy upajające i t. d. Sala była widzów pełna, a interes jaki obudzał nieszczęśliwy ów zabójca, podniecony był do najwyższego stopnia. Kobiéty płakały... Sędziowie po kilkakroć musieli zawieszać posiedzenie...

Powiedzmy to na korzyść dzisiejszych sędziów w ogóle, iż sprawiedliwość ludzka stała się mniéj mściwą, mniéj okrutną, wniknęła głębiéj w duszę człowieka, pojęła to że srogością nie zapobieży występkom a sama się splami... Tu wszakże zadanie sędziów było dosyć trudne. Z zeznań okazywało się że zabójstwo nie zostało popełnione w szale chwilowego zapomnienia, Teofil od dwudziestu cztérech godzin był uwiadomiony o przybyciu Roberta M... nabił broń, przygotował się do zemsty, popełnił ją, prawie z rozmysłem. Znaczenie występku i domiar kary zawisły całkiem od ocenienia tych okoliczności, które się przedstawiały niejasno. Prokurator dowodził z obowiązku iż zabójstwo było rozmyślne, obrońca nastawał iż dopełnione zostało w gorączce, w rozpaczy, któréj trwania godzinami ograniczyć niepodobna. Mnóstwo drobnych

szczegółów z życia nieszczęśliwéj Rosy, mogło téż do pewnego stopnia winę Teofila umniejszać. Berens i inni przyjaciele Wudtkego usilnie się starali osłonić rolę ojca w téj sprawie i zapobiedz ażeby imię Klary, i wszystko co poprzedzało wypadki ostatnie, pokryte zostało milczeniem. Obrońca wszakże nieokazując po sobie nic, dopiéro w chwili stanowczéj, użył zaczerpniętych ze znanych sobie tylko źródeł wiadomości dla uniewinnienia Teofila, który padł ofiarą niezręcznie poprowadzonéj, niebezpiecznéj intrygi. Zwrot ten śmiały, obraz przedstawiony z talentem, z uczuciem, wyrzekania na skażenie obyczajów wieku, podziałały stanowczo na sędziów.

Sprawa kosztem wprawdzie miłości własnéj ojca i rodziny, przybrała zupełnie nową postać. Teofil wyglądał teraz w oczach wszystkich jako ofiara zbytniéj i źle zrozumianéj troskliwości rodzicielskiéj.

Rozprawy przeciągnęły się długo, zamknęły nakoniec a ciekawi długo w noc na wyrok czekać musieli... ten wypadł zupełnie uniewinniający. Teofil słuchał go nie okazawszy najmniejszego wzruszenia, zdawało się że w piérwszéj chwili nawet nie zrozumiał. Bolała go najwięcéj obrona, którą kilkakroć oburzony przerywał. Bardzo niewłaściwe w tém miejscu i w takich okolicznościach sypnęły się oklaski. Kilka osób pośpieszyło do Teofila aby rękę jego uścisnąć, Berens między innymi. Unie-

winniony którego natychmiast uwolniono, nie mówiąc słowa, wyrwał się z pośrodka otaczających go, śpiesznym krokiem wybiegł z sali, i w mroku nocnym zniknął...

Wielki niepokój ogarnął rodzinę i przyjaciół Teofila, gdy ani nazajutrz, ani dni następnych śladów jego odkryć nie potrafili; przypominano sobie z trwogą, że w piérwszych dniach po uwięzieniu targnął się kilkakroć na życie własne, lękano się ażeby rozpacz i wstyd nie doprowadziły go do samobójstwa. Kilka dni trwały jak najpilniejsze poszukiwania w okolicach, gdy jednak nie odkryto nic, uspokojono się nieco, domyślając się że musiał dobrowolnie kraj opuścić. Ale dokąd się mógł udać i o czem—nikt nie wiedział.

Wypadek ten, przebieg sprawy, niemiły rozgłos jéj, uwaga przez to zwrócona na rodzinę, tak podziałały na starego bankiera, zniechęciły go do życia, do interesów, że zdawszy sprawy domu na piérwszego swojego komisanta, sam zamknął się i począł dziwaczyć w odosobnieniu, tak że znowu o niego się lękać przyszło. Przybycie córki, wnuków, Berensa, choć nie wiele pomogło, przyniosło mu przynajmniéj jakąś przymusową rozrywkę. Ale charakter i usposobienie, owa dawna duma i wiara w siebie w osobliwszy sposób przekształciły się

na smutek, ducha upadek i odrętwienie. Dowiadywał się tylko o Teofila... posyłał, obiecywał znaczne nagrody za odkrycie miejsca jego pobytu, ale poszukiwania były próżne.

Wudtke tak stetryczał, tak tryb życia zmienił nagle, iż po całych dniach często niespokojny chodził po ulicach, po ogródkach, po okolicy, jak nieprzytomny, a niekiedy nawet słyszano go mówiącego do siebie...

Pogłoska zupełnie nieuzasadniona, raczéj domysł czyjś mniéj więcéj trafny, przypisywał Teofilowi zamiar ucieczki do Ameryki, powzięty jeszcze w więzieniu, a dokonany w chwili uwolnienia.

Dzienniki które z najmniejszemi szczegółami opisywały ostatnie rozprawy ciekawego procesu zabójcy Rosy i jego uniewinnienie, doszły téż do rąk Klary. Nie zdawało się ojcu właściwém je wstrzymywać, bo jéj mogły przynieść jakąś ulgę, a przynajmniéj niepewność ciężką zakończyć. Rachuba ta nie omyliła, gdyż Klara od tego czasu stała się daleko spokojniejszą, powoli zaczęła powracać do zatrudnień zwyczajnych, smutny uśmiéch zakwitał na ustach, czytała, grała a ojciec odrodził się, widząc że okrutne przesilenie moralne na które wystawioną była—zdawało się przechodzić.

Od listu wszakże i odpowiedzi, nawet z ojcem ani półsłowem nie wspomniała nigdy o Teofilu... jakby sama o nim i o smutnéj przeszłości na za-

wsze chciała zapomnieć. Z każdym dniem teraz była weselszą... swobodniejszą a stryjaszek Wiktor, któremu objawy wesołości i dobrego humoru były do życia potrzebne, cieszył się że i on mógł nie rażąc synowicy, być takim jakim go Bóg stworzył. Wśród tego mnóstwa dzieci pułkownik w Sobótce był jak w raju, prawie cały dzień spędzał na brzegu morza z niemi, robiąc im okręciki, zbiérając muszelki i urządzając gry a zabawy do których sam czynnie należał... Wyprawiał uczty dla swoich przyjaciół, urządzał przejażdżki, był ulubieńcem tego młodego świata a po części i matek, a potroszę i ojców. Sobótka pogodziła go z Gdańskiem, gdyż dotąd mawiać był zwykł że jest przysłowie w Hiszpanii — kogo Bóg miłuje, tego w Sevilli posadzi, a powinno być: a kogo diabeł prześladuje, tego do Gdańska zapycha... Wypiérał się już po troszę konceptu.

Ale jakkolwiek znośniejsze dziś dla niego było gdańskie życie, pułkownik z dniem każdym czuł, iż tak przyczépiony do Jakuba, do synowicy, nie wytrzyma na jedném miejscu. Przez długie lata włóczęgi i awanturniczych przygód, nawykł był do czynnego, a raczéj do ruchomego jakiegoś żywota, zmian, wrzawy i niepokoju... jakkolwiek i tu sobie sztucznie wynaléść umiał zajęcie dla ust, dla rąk, dla serca, przecież wszystko to razem wzięte nie starczyło mu. Chwilami przemyśliwał co robić—

czyby nie pojechać do Indyj po imbir smażony, do Chin po funt herbaty, do Australii po rodzime złoto, lub gdziekolwiekbądź po guza. Miał na swój dział tyle do wydania, iż mógł choćby własnym okrętem ambarkować się, bodaj do Abissynii.

To bogactwo w ogóle tak znaczne iż przeszło piérwsze rachuby, bo procenta narosłe w Londynie utworzyły sumę bajeczną—najmniéj nie zmieniło trybu życia Paparonów. Jakub dla siebie nawykł był nic niepotrzebować, Klara nie lubiła nic prócz książek, muzyki i kwiatów, a tych miała podostatkiem, naostatek pułkownik który dla oszczędności swéj z nałogu i potrzeby sam się czasem zwał pułkownikiem Maravedi, nie umiał pieniędzy wyrzucać, chyba dla uciechy drugich.

Los który czasem bywa bardzo rozumny, a zawsze rozsądniejszy jest od człowieka, zrządził iż w tym roku Karolina Hals jakoś zachorowała a doktorowie poradzili jéj przenieść się na parę miesięcy do kąpieli w Sobótce. Pułkownik zdumiał się, ucieszył, oszalał zobaczywszy panią Karolinę, złapawszy ją, niemal cały dzień bawił i wymógł na Klarze całując jéj rączki że sama piérwsza uczyniła krok do poznania się z ubogą, pracowitą ale bardzo przyzwoitą kobiétą. Karolina acz o wiele starsza, ale przez los wypróbowana, poważna i miła razem, przypadła do serca Klarze. Lubiła ona czytać, więcéj jeszcze myśléć, i rozumiała dobrze

świat i ludzi, spokój duszy dawał jéj wielką wyższość. Klara znalazła w niéj wkrótce powiernicę i przyjaciółkę. Jakub był rad temu niezmiernie, Wiktor jeszcze bardziéj, bo miał sposobność wpatrywać się w te oczy niebieskie i czoło jasne, słowem wszyscy byli szczęśliwi—prócz może pani Hals, która zawsze lękała się być im natrętną i z dumą uczciwego ubóstwa, obawiała się zbyt poufale bratać z bogatymi. Obawy jéj jednak przeszły powoli, gdy się przekonała jak ci milionerowie obcy byli własnemu mieniu i szkodliwego wpływu jego na siebie uniknąć umieli. Bogactwo na nich nie oddziaływało, długiém wypróbowani nieszczęściem, osamotnieni, mieli poczciwe nałogi biédnych ludzi, a żadnéj z wad spanoszonych.

Gdy tak rodzinie Paparonów lepsze zdawały się dni obiecywać, a przynajmniéj znośniejsze, Wudtke stary upadał i zchodził na niedołężnego starca. Budził on zrazu uśmiéchy ludzi, teraz poczciwi zaczynali go się litować... Córka wezwała lekarzów rady, wszyscy jednozgodnie nie wiedząc co mu dać za specyfik, jak zwykle doradzali spokój, rozrywkę, wesołe towarzystwo, oderwanie się od pracy, kąpiele. Ale Wudtke z Gdańska się ruszyć nie chciał. Ledwie nieledwie namówiono go do Sobótki także. Była ona mu znośniejszą dlatego

że w dawnych szczęśliwszych czasach nawykł był tam czasem niekiedy parę spędzać tygodni. Ci co go wyprawili nie wiedzieli zapewne iż rodzina Paparonów, a co gorzéj i Karolina Hals się tam znajdowała.

Los doskonale o tém wiedział wszakże i musiał miéć pewne zamiary. Piérwszy Wiktor, który wziął na siebie obowiązek donoszenia co się dzieje na całéj przestrzeni villegiatury Sobotskiéj, przybiegł przestraszony z wiadomością, że bankier znajduje się w Sobótce... Zdaniem jego dla uniknienia niemiłego spotkania dla stron obu, należało do miasta powracać. Rozmowa o tém odbywała się przy Klarze, która stanowczo się temu oparła, a gdy Klara objawiła swe zdanie, ojcu Jakubowi pozostawało tylko w czoło ją pocałować i zamilknąć.

— Ale stryju kochany, rzekła—dlaczegóżbyśmy mieli od niego uciekać? Jestto człowiek biédny, nieszczęściem dotknięty.

— Właśnie dlatego, zawołał Wiktor, nie sądzę żeby widok rodziny która mimowolnie stała się może tych nieszczęść powodem, miał być dla niego pociechą. Prędzéj go to podraźni.

— Cóżeśmy my mu winni? rzekła Klara. Zresztą zobaczymy wrażenie przy piérwszém spotkaniu; jeśli istotnie mamy być mu przykrzy, odjedziemy, ale dlaczegóżby we wspólném nieszczęściu...

— Jakto? wspólném nieszczęściu? przerwał Wiktor. Klara się zarumieniła mocno.

— Mylę się, rzekła... w nieszczęściu, chciałam mówić—nie podać dłoni, nie starać się zbliżyć i przejednać!

— A no! rozumiem, odparł stryj... no, to probujmy...

Przez kilka dni wszakże próby nie doprowadziły do niczego, bo się nie spotkali z nim, ale stała się rzecz niespodziana. Wudtke chodząc nad morzem, postrzegł Karolinę, Karolina poznała go łatwo, bo zdala widywała często w ulicach... on przypomniał ją sobie, zbladł, zmieszał się i zdjąwszy kapelusz przywitał. Karolina wzruszona ledwie odpowiedziała skinieniem głowy... rozeszli się, a biédna kobiéta cały dzień była cierpiącą. Nazajutrz na przechadzce znowu, Wudtke ukradkiem podszedł, spojrzał i ukłonił się. I powtarzało się tak przez dni kilka, ten człowiek zimny i wyrachowany, spotykał się codziennie ze wspomnieniem młodości, z marą jedynego słodszego uczucia które zaznał, i po spojrzeniu jakby rzuconém na przeszłość swoję, odchodził ze spuszczoną głową i marzył.

Aż nakoniec ten osamotniony, któremu ta samotność zaczęła widocznie ciężyć, w którego sercu budziły się jakieś uczucia naturalniejsze, poczciwsze, tak zachodził, że Karolinę Hals prawie samą

spotkał pod drzewami u brzegu morza... Nie mogła, nie wypadało jéj uciekać. Wudtke przemówił do niéj, serce uderzyło, litość odezwała się... wydawał się jéj biédnym, zmiłowała się i choć obojętnie, dopuściła kilka słów, może kwadrans trwającéj rozmowy. Rzecz była małego znaczenia, ale następstwa mogła mićć wielkie.

Chociaż Karolina słówka o tém nie powiedziała nikomu, przecież tego samego dnia wieczorem po kwaśnéj minie pułkownika poznać było można, iż już wiedział co się święci. Byli sami, Wiktor naprzód westchnął żołniérskim sposobem aż Klara drgnęła na krześle, a potém się odezwał:

— Mówcie co chcecie, iż Mahometanie ze swoim fatalizmem mają słuszność... wszystko fatalizmy... są familie przeznaczone fatalnością aby się jadły, zabijały i szkodziły sobie wzajemnie. Wybiłbym tych Wudtków do nogi żeby z nimi raz skończyć.

— A toż co nowego? zawołała Klara, cóż to jest?

— Teraz koléj przyszła na mnie...

— Na was? spytał Jakub—cóż takiego?

— Muszę już być otwartym... bo nie wytrzymam ze złości. Przecież mogliście postrzedz że Karolina Hals nie była mi obojętną, przyznaję się, miałem pewne zamiary... wcale mi szło nie źle... diabeł nadał bankiera... Już się do niéj uczepił,

już! To stara miłość... wysadzi mnie najłatwiéj w świecie.

— Ale oni się z sobą chyba z daleka gdzie widzieli, przerwała Klara.

— Ja mam lepszą od waszéj policyą—odezwał się Wiktor, nietylko że się widzieli niemało razy, nietylko że jéj widocznie szukał i zachodził drogę, ale dziś przez kwadrans rozmawiali z sobą. A kobiéty—z przeproszeniem Klary—są zawsze gęsi... Ona co miała mu w oczy plunąć, miłosiernie uśmiéchnęła się i wdała w litościwą gawędkę... Taka słabość zakrawa już na niedołęztwo.

Klara zaczęła się śmiać...

— Przyznaję się, że dotąd Wudtkego żałowałem... ale teraz gdy już drudzy zaczynają się nad nim litować—ja się brzydzę... Trzeba mu było zachorować, przyjechać tu... i stołka mi podstawić.

— Stryjciu! mówiła Klara, któż wié na co to tak los zrządził... nie możesz się zgodzić z papugą a miałbyś z żoną żyć w zgodzie?

— Widzę że zaczynasz być złośliwą; zawsze mnie to cieszy jako znak zdrowia, ale dlaczego piérwszy pocisk wymierzony na kochającego się stryja?

Klara zerwała się z krzesła i poszła go uściskać.

— Niewdzięczny stryjaszku, rzekła, chciałam cię twoim sposobem w smutku rozweselić... przepraszam.

— Ale czyż nie mam słuszności? zapytał Wiktor wzdychając. Mam lat z okładem pięćdziesiąt, miałem się żenić w życiu razy około piętnastu, zawsze mi się nie udało. Tu już myślałem nareszcie, dobiję targu! nie—jawi się umyślnie owaryowany dla mnie bankier...

— Przecie że do niéj grzecznie przemówił, to jeszcze nic nie dowodzi—przerwała Klara, że mu przez litość odpowiedziała słów kilka... że...

— Że, że, że... zawołał Wiktor, a ja czuję że moja sprawa przegrana. Gdyby przyszło pójść się wyrąbać lub wystrzelać o Karolinę, niezawodniebym się utrzymał, ale tu, na słowa, szepty i śmiéchy, pojedynku nie wygram...

Klara umiała zręcznie skargi stryja obrócić w żart i tak się rozmowa skończyła... Synowica wyszła, Jakub i Wiktor zostali sami.

— Słuchajno, poczciwy Jakubie, odezwał się oglądając do koła Wiktor— ja ci cóś mam powiedzieć.—Czy ty uważasz jak humor Klary od niejakiego czasu zmienia się i coraz staje weselszym?

— Widzę to z wielką serca pociechą, rzekł Jakub cicho; wracają chwile zamyślenia i smutku, wszakże jest lepiéj, lepiéj, to pewna. Niéma na świecie nieśmiertelnych żalów i boleści wiekuistych, czas leczy...

— Ty to przypisujesz czasowi? rzekł Wiktor... — A twojém zdaniem, czemużby to przypisać należało? spytał Jakub.

— Mojém zdaniem! ba! mojém zdaniem, mówił pułkownik—tu nie o zdaniu mowa... ją mam pewne wskazówki... wiadomostki, ja niby cóś wiem i czegóś się domyślam...

Jakub wstał i zbliżył się do niego.

— Na miłość Bożą! mów... co ty tam wyszperałeś...

— Ale bo znowu nie przypisuj mi wielkich odkryć... bo to dotąd jeszcze tak jak nic, a jednak... jednak.

— Mówże, błagam cię.

— Zobaczmy wprzódy czy kto pod edrzwiami nie słucha...

— Wiktor nucąc piosenkę obszedł pokój, wyjrzał za okno, otworzył drzwi i obwarowawszy się tak od zasadzki, począł w te słowa:

— Wy mnie macie wszyscy „z pozwoleniem, za starego dobrodosznego safandułę? hę? nieprawdaż, a ja od was podobno wszystkich przebieglejszy jestem...

Jakub ścisnął go, śmiejąc się.—Mów daléj.

— To przedmowa tylko, kończył pułkownik... Masz tedy wiedziéć że ja pilne oko ciągle zwracałem i zwracam na tego mojego anioła Klarcię, śledzę każdy jéj ruch, uśmiéch, zadumanie, łzę,

westchnienie. Kiedym piérwszy raz dostrzegł tych rozjaśnionych oczów, pogodniejszego czoła, swobodniejszéj mowy, pomyślałem, to nie może być bez przyczyny. Uparłem się ją odkryć, i zdaje mi się że schwytałem... Klara za pośrednictwem dawnéj swéj przyjaciółki pani Lamm, jeśli się nie mylę, odbiéra jakieś listy i wysyła odpowiedzi. Niéma wątpliwości, że korespondować musi z Teofilem...

— Myślisz że on żyje? spytał Jakub.

Wiktor którego się zawsze żarty trzymały — odparł.

— A no, wątpię żeby z nieboszczykiem mogła korespondować, bo o poczcie ani kolei na tamten świat dotąd nie słychać... Łapałem ją kilka razy na pisaniu jakichś długich listów, które niby nieznacznie zakrywała przedemną, wyśledziłem że chodzi do Lamm, że kiedy Lamm do niéj przyjdzie, bywa więcéj rozpromieniona niż zwykle... Powiédz mi gdyby tak było... gdyby ten zbójca... he? czybyś pozwolił???

Jakub się zamyślił.

— Nie zdaje mi się to prawdopodobném, rzekł. Gdzieżby on się ukrywał? Jakby do téj korespondencyi przyszło — ale Klara, Klara najlepiéj wié i czuje co możliwe, co dobre dla niéj. Wiész jak ją kocham, wiész jak ona panuje nademną umysłem i sercem, że jéj wola dla mnie świętą, pomimo to, powiem ci szczérze, byłbym przeciwnym małżeń-

stwu... czujesz to. Z wielu względów uniewinniono go, a boję się go dla córki. Zapewniłżeby on jéj szczęście? możnaż zapomnieć takiéj krwawéj przeszłości? nie zostawujeż śladów na człowieku?

— Byłbyś przeciwny? spytał Wiktor... nawet gdyby ona uznała to potrzebą swéj przyszłości i szczęścia?

— Byłbym przeciwnym, błagałbym ją, odparł Jakub, tak jest... To szczęście, oparte na czystém uczuciu wyniesioném z dzieciństwa, dawniéj możliwe, upragnione, dziś niepodobieństwem się stało. Szukając tylko spokoju, uczciwości, zgody i tego innego szczęścia biernego, które ogółowi ludzi najprzystępniejszém jest, znajdzie Klara łatwo godniejszego siebie człowieka...

— Z takim wstrętem patrzyłbym na odnowienie tych stosunków, dodał Jakub, a tak się godzę we wszystkiém z Klarą, iż mi się zdaje niepodobieństwem aby ona mogła tego chcieć co dla mnie przykrémby było... i dlatego nie daję nawet wiary twoim spostrzeżeniom, kochany bracie.

— Hm! rzekł Wiktor który się téj odpowiedzi nie spodziéwał—a jeśli ja się nie mylę!

— To byłoby nieszczęście nowe! zawołał Jakub.—Klarę oddać człowiekowi który raz w uniesieniu dopuścił się morderstwa, zważ ty to?

— Ale ja to wiem, rozumiem, pojmuję, mówił

pułkownik, a zawsze ci powtarzam uparte pytanie: jeśli ona zechce?

— Ona nie może chcieć tego!

— Bracie! miłość jedyna! miłość młodości w takiém jak jéj sercu!

— Właśnie dlatego że w jéj sercu... musiała ona już zgasnąć. Rozumiem litość dla niego, nie przypuszczam miłości... nie! nie! to być nie może. Marzysz bracie kochany.

— Chociaż bardzo ostrożny, pułkownik wszystkie przed tém zwierzeniem się drzwi i okna starannie opatrzył, zapomniał podobno, że zastawione parawanem i zamknięte szczelnie wejście, oddzielone tylko bardzo cienką ścianką od pokoju Klary, dozwalało nawet mimowoli i chęci słyszéć co się po cichu mówiło w przyległéj izdebce. Zapomniał a raczéj mu na myśl nie przyszło, że Klara wprost wróciła do siebie.

Dopiéro po skończonéj rozmowie, która zwłaszcza przy ostatku podniesionym była prowadzona głosem, pułkownik wychodząc zobaczył drzwi zewnętrzne od Klary otwarte i ją siedzącą przy stoliku, zapłakaną; podparta na rękach, patrzyła w okno i łzy się lały strumieniem po twarzy. Wiktor zobaczywszy to, struchlał, nie wątpił już że wszystko słyszéć musiała, nawet gdyby nie chciała. Na

progu stojąc, załamała ręce. Obejrzał się, Jakuba nie było.

— Jakub jest najpoczciwszy człowiek w świecie, rzekł w duchu, ale że on w życiu ani muchy nigdy zabić nie był w stanie, zdaje mu się że mimowolne nawet zabójstwo nie da się przeżyć i odpokutować. Wyraźnie słuszności nie ma, trzeba synowicę ratować, bo wiecznie będzie ten dom nasz chorował i stękał tylko.

Na palcach tedy wszedł do Klary milczący i składając ręce przed nią jakby ją chciał przebłagać, zapytał cichuteńko.

— Słyszałaś?

— Wszystko...

— Chodźmy na przechadzkę! zawołał głośno, dając jéj znak; chodźmy, wieczór śliczny a zdrowie wymaga... Jakub niech sobie nad papiérami siedzi, a my...

Klara zrozumiawszy go wzięła kapelusz, ścisnęła rękę Wiktora, wyszli. Ażeby się z ludźmi nie spotykać, skierowali się aleją odosobnioną, gdzie dla wilgoci mało kto się przechadzał. Pułkownikowi pilno już było rozpocząć rozmowę, pocałował w rękę Klarę i odezwał się.

— Przebacz mi cóś słyszała, przebacz! proszę, ale może téż się to na co przyda... ja ofiaruję ci się na sprzymierzeńca, który nie zdradzi.

— O mój dobry stryju, czyżbym ja powinna

spiskować przeciw tak dobremu jak mój ojcu... Nie wyrażę ci jak mnie boli jego uprzedzenie, jego niechęć dla biédnego Teofila... Ty—odgadłeś, tak jest, on pisuje do mnie, jam mu przebaczyła wówczas gdy groźba śmierci zawieszona była nad głową jego, i zapomniałam o winie i nieszczęściu. Gdybyś wiedział co przecierpiał! ile się ludzie przyczynili do tego nieszczęsnego upojenia, którego narzędzie śmiercią przypłaciło swą płochość... Mogłamże przez dumę, przez surowość niezbłaganą, dobijać człowieka dla którego po raz piérwszy w życiu uczuciem wielkiém i czystém otworzyło się serce moje?...

— Ja to wszystko i doskonale rozumiem, pośpiesznie odpowiedział Wiktor, i godzę się zupełnie—ale cóż zrobimy z Jakubem? czy tybyś nie potrafiła go przekonać? skłonić?

— Wątpię, kochany stryju—rzekła Klara—ojciec jest dla mnie niewyczerpanéj dobroci... znasz go, ale téż tam gdzie mu się zdaje że idzie o szczęście całego życia, tam on będzie nieubłaganym... lękam się tego.

— Gdzież jest Teofil? mogę cię o to zapytać?

— Teofil—cichszym głosem odpowiedziała Klara... chcąc uciec od ludzi a bojąc się czy nie mając siły odbiedz zbyt daleko, siedzi... nie zdradzisz mnie?

— Ja? podchwycił pułkownik zdziwiony—ja?

— Siedzi na wyspie Rugii. Nie znasz téj skały rzuconéj wśród morza?

— Nie... rzekł Wiktor, alem ich tyle widział podobnych, że się domyślam... Cóż on tam robi?

— Co robi? uczuł potrzebę pracy mozolnéj, ręcznéj, jest rybakiem, pracuje z prostymi ludźmi, w ubóstwie, jakby chciał sam ekspiacyą tą zatrzéć plamę i zgryzoty przeszłości.

Wiktor głową potrząsł...

— Dobrze że się nie wybrał zadaleko, rzekł. Ale mów co ty myślisz? co zamierzasz?

— Ja? westchnęła Klara, ja nic nie wiem więcéj, prócz że—kocham nieszczęśliwego.

— Mów z ojcem!

— Nie mogę!

Pułkownik zamilkł—a po chwili dodał:

— Bądź co bądź, masz mnie na posługi swoje...

— I nie zwlekając—odpowiedziała Klara, zapewnić sobie pragnę, że méj prośbie nie odmówisz. Mogłabym ją uczynić ojcu, ale nie chcę obudzić jego podejrzeń; ty stryju możesz mi pożyczyć kilku tysięcy talarów?...

— Mogę ci oddać wszystko co mam, gdy skiniesz, rzekł pułkownik.

— Tak żeby ojciec nie wiedział?

— I nikt w świecie! dodał Wiktor... Domyślam się że mu je chcesz posłać... Jutro ci przyniosę.

Klara spojrzała na niego z wdzięcznością, ale nie odpowiedziała ani słowa.

— Nie śmiéj się zemnie teraz, dodał Wiktor zawstydzony—bo to co powiem wyglądać będzie na żądanie zapłaty za usługę... mam i ja prośbę do ciebie.

— Mów, kochany stryju... mów.

— Wiész że stary Wudtke zbliżył się do Karoliny, i obawiam się go—muszę śpieszyć, stary, nie mam do stracenia czasu. Przemów do niéj słów kilka za mną? niech stanowczo odpowié, czy pułkownik Maravedi może miéć nadzieję osiągnięcia jéj ręki?

— Całém sercem podejmuję się pośrednictwa, odpowiedziała Klara z uśmiéchem, a miło mi ją będzie nazywać stryjenką, bo nie wątpię...

— A ja—bardzo... Jest fatalność jakaś w mojém przeznaczeniu, dodał śmiejąc się pułkownik... trafiało mi się żem gdy na ślub śpieszył już w białych rękawiczkach, znajdowałem moję narzeczonę już odchodzącą z innym od ołtarza.

Klara spojrzała nań.—Biédny stryjaszek! rzekła.

W parę dni potém Jakub z córką miał długą, poważną rozmowę... Nie była ona wyraźném z jéj strony wywołana zapytaniem, nie doprowadziła ją do wyznań, obracała się w ogólnikach, a jednak

wskazała Klarze to czego się domyślała i lękała, że ojciec jéj stanowczo będzie przeciwny odnowieniu z Teofilem stosunków. Dobroduszny i powolny ojciec, w tym jednym razie, okazywał się upartym i nieubłaganym... Kosztowało go to i prawie ze łzami potém przyszedł Klarę ucałować w czoło.

— Dziécię moje, rzekł... w moich oczach tyś takiego godną szczęścia, takiego człowieka, takiego losu, iż mnie oburza samo przypuszczenie ofiary z twojéj strony...

Klara łzy miała w oczach, schyliła mu się do nóg, popłakali się oboje i rozeszli tak...

Posłuszny rozkazowi stryj Wiktor nazajutrz zaraz odniósł Klarze dziesięć tysięcy talarów, to jest największe *kilka*... o których mu wspomniała...

— Mówiłaś co z Karoliną? spytał cicho...

— A! jeszcze nie... jeszcze nie!!

Wiktor odszedł. W istocie Klara mówiła z przyjaciołką, ale otrzymała odmówną, przykrą odpowiedź, miała jeszcze choć słabą nadzieję nawrócenia, przekonania i dlatego nie śpieszyła odkryć się przed poczciwym pułkownikiem... Znowu upłynęło dwadzieścia cztéry godzin, Wiktor szepnął:

— Mówiłaś z Karoliną?

— Jeszcze nie mogłam.

Na trzeci dzień téż samo pytanie i prawie jednakowa odpowiedź, Wiktor się dorozumiéwał— posmutniał.

Przestał już pytać, gdy czwartego dnia Klara przyszła sama do niego i uścisnęła jego rękę smutna, milcząca.

— Rozumiem, rzekł—nie chce mnie! ale bom téż śmiészny z mojemi siwemi włosami... papuga mnie nawet nie znosi...

— Kochany stryju, byłoby inaczéj może, gdyby nie los. córki dla któréj Karolina musi się poświęcić!

— W jaki sposób?

— Wudtke się z nią żeni...

Te wyrazy jak piorunem raziły Hiszpana, zaciął usta... oczy mu błysnęły, pięści zacisnął, byłby bił i rąbał gdyby mógł, ale powoli ostygał, miarkował się, w zbladłém oku zakręciła się łza i przymuszony śmiéch wykrzywił mu usta.

— Tak być musiało, rzekł—są fatalizmy.

Klara spojrzała na niego z politowaniem, ale stary swego bólu wstydził się okazywać dłużéj, zakręcił się żywo i poleciał na brzeg morza...

Nadeszły chłodniejsze noce i ranki, kąpiele powoli ustawały, rozjeżdżali się goście... Sobótka wyludniała, tylko Paparonowie jeszcze pozostali na czas jakiś w téj cichéj ustroni. Polubiła ją szczególniéj Klara, postanowili więc dosiadywać aż do burz i wichrów jesiennych.

A jesień w tym roku, co się rzadko trafia gdy człowiek tego potrzebuje, przeciągnęła się długo jeszcze, cicha i prześliczna. Im mniéj obcych otaczało tu maleńką kupkę biédnych konwalescentów, tém im lepiéj z tém było.

Wudtke który po doznaném nieszczęściu, straciwszy syna, widział w tém palec Boży, karzący go za wyparcie się kobiéty ukochanéj... stanowczo się oświadczył Karolinie Hals... i od tego czasu był spokojniejszym. Los biédnéj kobiéty nie był do pozazdroszczenia, ale nie wahała się na chwilę, widząc w tém powinność. Pożegnawszy Paparonów, wyjechała zaraz do Gdańska, a w tydzień potém miejscowa gazeta w rubryce familijnych wiadomości doniosła o ślubie bankiera z Karoliną Hals. W mieście różne to wywołało wrażenia i sądy... w ogóle jednak umiano ocenić czyn ten i jego pobudki... Wudtke ożywił się nieco, dom jego zmienił, a Berensowie na których to jak piorun spadło, z narzekaniem na ojca, na intrygi, nieukontentowani, prawie się z nim poróżniwszy, odjechali nazad do Berlina.

Pułkownik przetrwawszy piérwszy a srogi żal— przyszedł do siebie zupełnie.

— To pewna, mówił żartobliwie przed Klarą, że jestem dobry na rękę; bylem o kim pomyślał, pewnie się znajdą konkurenci i ktoś mi z przed nosa pochwyci.

Żartował, ale serce go bolało...

— Znajdziesz sobie żonę łatwo... jeśli cię nic nie kosztuje coraz nowy czynić wybór... mówiła Klara.

— Nie—już koniec, to była ostatnia próba, pozostaję z papugą... na wieki... kwita z kobiét, przechodzę na nieprzyjaciela rodzaju żeńskiego, z wyjątkiem jednéj Klarci...

Przedłużony pobyt w Sobótce nareszcie się kończył, poczęły przygotowania do wyjazdu, wszystko prawie upakowane już, a zwlekano jeszcze, tak tu im było miło i cicho i zdrowo dla duszy.

Pułkownik palił w swoim pokoiku cygaro rano i dumał, sam może dobrze nie wiedząc o czém, myślą przebiegając długie, ruchliwe, pełne różnych, przeróżnych wspomnień życie, gdy drzwi się otworzyły nagle i Jakub wpadł do niego z rękami załamanemi, z włosami potarganemi w nieładzie, prawie obłąkany; dość było nań spojrzéć, by się straszliwego jakiegoś domyśléć nieszczęścia. Wiktor przeląkł się tak, że przytomność postradał niemal.

— Klara! Klara! wołał Jakub, córka moja...

— Co się stało, mów! mówże, nie trzymaj mnie w niepewności.

— Nie wiem, jaki straszny wypadek... zginęła!

może utonęła w morzu, nie pojmuję... Klara wczoraj wieczorem jeszcze wyszła na przechadzkę i nie powróciła... Pokój jéj zamknięty... jéj niéma!

Wiktor posłyszawszy to, ochłonął.

— Utopić się nie mogła, rzekł—co ci się dzieje! porwaną być tu także, niepodobieństwo, chodźmy do jéj pokoju...

— Drzwi zamknięte! zawołał Jakub.

Pułkownik spojrzał ruszając ramionami, zbliżył się do drzwi, potrząsł niemi, zajrzał przez dziurkę od klucza, i pochwyciwszy za klamkę pchnął tak że się rozleciały w kawałki... Weszli do cichéj izdebki razem z Jakubem, oglądając się do koła, wszystko to było nietknięte, na stoliku widoczny kawałek papiéru. Obaj bracia zbliżyli się żywo ku niemu i wyczytali:

— Stryju Wiktorze, dobry stryju, polecam ci ojca, uproś mi u niego pobłażanie, cierpliwość, ty zgadniesz gdzie jestem. Tak być musiało! tak powinnam była uczynić. Lekarz ze złamaną nogą kalece nie każe przychodzić do siebie, ale sam idzie ku niemu...

Wrażenie jakie wypadek ten uczynił na ojcu — opisać się nie daje... padł przybity... Wiedział wprawdzie że Klara żyła, ale postępek jéj zabolał go... po tym kroku uczynionym przez nią z ener-

gią i stanowczością wielkiego znaczenia, Jakub przekonywał się iż zawrócić się, zmienić postanowienia nie będzie mogła. Serce jego ojcowskie widząc w tém nieszczęście dziecka, jeszcze je mocniéj ukochało!! Wiktor stał rozmyślając czy powiedzieć mu gdzie oni byli, czy wstrzymać, zwłoka zdawała mu się konieczną, zmilczał więc. Ale znudzony stryjaszek widział w tém doskonały pretekst do puszczenia się nieco w świat i na awantury, już tedy rozmyślał tylko jak się Jakubowi wyrwać, kogo przy nim zostawić i jak umalować swój wyjazd w ten sposób, żeby się brat celu jego nie domyślał.

Podróż ta piekła go gdy powracał tego dnia do miasta, a nazajutrz wybiegł z domu o rannéj bardzo godzinie na wywiady. Naprzód do Radgosza.

— Słuchaj przyjacielu... historye domu Paparonów jeszcze się nie skończyły, nowe strapienie, Klara... uciekła z domu za Teofilem.

— Więc wiedziała gdzie jest?

— Oddawna jak się zdaje... Heroiczne dziéwczę poszło dźwignąć z upadku tego, któremu raz serce oddało! O! to mi kobiéta! nie taka gęś jak one, z pozwoleniem, wszystkie... Radgosz, kochanie, idź do Jakuba. On te rzeczy widzi gorzéj niż ja, i siedzi zdesperowany po córce. Ja mam poszlaki dokąd się udali i muszę w trop dążyć, żeby dziewczyny saméj jednéj nie zostawić, tobie polecam brata, żebyś mi ani krokiem się nie ruszył od nie-

go. Bierz od razu Swedenborga, bo cię już nie wypuszczę. Dziś wybiéram się w drogę i albo wieczorem pojadę jeszcze, lub jutro rano.

— Ale dokąd?

— Tego ci nie powiem, będę ich szukał, znajdę i przywiozę, to pewna, a ty mi ojca przygotuj żeby przyjął jak należy. Niéma już nic do wyboru, musi takiego zięcia wziąć jakiego mu da córka... to darmo, kwasy nie pomogą, a Klarze poczciwéj wyrządzi przykrość. Radgosz, miłosierdzia! idź zaraz! idź.

To mówiąc uścisnął go Wiktor i nie mówiąc gdzie daléj iść myśli, pobiegł na pensyą pani Lamm.

Szło mu o to żeby się przekonać czy ona lub kto inny towarzyszył Klarze, nie przypuszczał bowiem ażeby pojechała sama. Ale przyjaciołkę zastał w domu, byłato chwila właśnie gdy po wakacyach zjeżdżają się uczennice, niepodobna jéj było opuścić na chwilę zakładu, nie wiedziała nawet o losie Klary — i rozpłakała się posłyszawszy iż znikła.

Przyznała się że była pośredniczką w przesyłce listów, które natychmiast po uwolnieniu Teofila poczęły obiegać między nim a Klarą, nie taiła że był na Rugii i że większa część listów nosiła stępel Ankony, ale Klara nic jéj nawet nie powiedziała o swoim zamiarze.

Pożegnawszy zrozpaczoną panią Lamm, Wiktor zrazu przez proste zapomnienie wpadł do magazy-

nu Karoliny Hals i wszedłszy dopiéro a zastawszy u stolika obcą sobie fizyognomią podżyłéj niewiasty, cofnął się przypominając że niestety! zmieniła już nazwisko i mieszkanie.

Niiezmordowany w zabiegach, nie wahał się wpaść do bankiera dla rozmówienia się z jego żoną, a przynajmniéj przekonania się iż ona nie towarzyszyła Klarze... Na dole wszakże zaraz dowiedział się iż pani Wudtke w domu nie było. —Wyszła? spytał—odpowiedziano ni to ni owo,—wyjechała? służąca wyraźnie mówić nie chciała, składając się niezgrabnie zupełną niewiadomością. Pułkownik, z niecierpliwością dosyć głośno hałasował w sieni, i wywołał tém z pokoju samego Wudtkego... Już się miał cofać ledwie mu ukłoniwszy, gdy stary pochwycił go za ręce i wprowadził uprzejmie do pokoju. Byłci to wprawdzie ten sam dawny, znajomy nam Wudtke, z trochą dumy i bankierskiéj arrogancyi, ale jak się późniéj malowniczo wyraził Wiktor—„podobny był do starego Wudtkego nowy Wudtke jak kartofel ugotowany do surowego. Nieszczęścia, uczucie, znękanie, późniéj spokój sumienia, zmiękczyły go i, (zawsze wedle wyrażenia stryjaszka) uczyniły... jadalnym.“

— Pułkowniku, rzekł, zamykając drzwi za sobą, jeśli mam winy jakie przeciwko wam, człowiek jestem, przebacz mi, podaj rękę i pogódźmy się. Wiem że i za moję teraźniejszą żonę żal masz do

mnie!—Domyślam się z czém przychodzisz, ale ja od wczoraj jestem tak szczęśliwy, że z całym światembym się chciał pogodzić. Syn mój żyje, a przed waszą Klarą, przed tym aniołem miłosierdzia klękać potrzeba. Pułkowniku, przebacz mi, wszyscy mi darujcie winy... Bóg mnie i tak srodze za nie ukarał...

— Kochany panie Wudtke, rzekł Wiktor, jestem stary żołniérz, gotówem zabić na placu nieprzyjaciela gdy mi stoi na drodze, ale upadłego ratuję. Padłeś, żal mi cię było, pokazałeś serce, uczucie... podaję ci rękę... ale dalipan—czasu nie mam, powiédz mi prawdę? żona twoja z nią pojechała?

Wudtke się zawahał.

— Wy chcecie je dogonić i przeszkodzić temu co Teofila jedno uratować i ocalić może! pułkowniku, proszę, błagam cię.

— Nie masz o co prosić! ja jadę ale wcale nie myślę im przeszkodzić. Nie taję ci że Jakub, Jakub jest poczciwy, że go to boli... ale i on już dziś po tym kroku Klary będzie musiał zezwolić na wszystko.—Przyznaję się że jadę i natychmiast za nimi, ale bez złych zamiarów... Słowo żołniérskie... mów, pojechały?

— Tak jest! rzekł Wudtke— ale wiészże dokąd?

— Wiem, wiem, na Rugią. Same?

— Nie—wynalazłem im i dodałem człowieka,

który się rodził w Putbus i zna doskonale wyspę całą.

— Wiedzą one gdzie go szukać?

— Około Ankony, miejsce wynajdą łatwo, stary mój Zerka z pod ziemiby wydobył gdy czego szuka, wyspa nie jest zbyt rozległa...

Pułkownik już jedném tylko słuchał uchem, ściskał Wudtkego i śpieszył.

— Poszedłbym do Jakuba z wami? przebąknął bankier.

— O! nie! czekaj, chwilę znajdziemy lepszą, piérwszemu żalowi trzeba się dać w samotności wypalić... Za moim powrotem, zobaczymy.

To powiedziawszy, pułkownik wybiegł, wrócił do domu i po drodze wymyślił interes, którym mógł złudzić Jakuba. Przyszła mu do głowy sukcesya w Poznańskiém. Choćbym miał 10,000 talarów sam zapłacić, rzekł, powiem mu że jadę ją odbiérać, że rzecz pilna, a dla większego prawdopodobieństwa każę sobie dać plenipotencyą.

— Dosyć, mój Jakubie, rzekł wchodząc do niego, że kiedy się na kogo spikną okoliczności, wszystko przychodzi nie w porę, nawet jeśli co dobrego Pan Bóg zsyła.—Chociaż to rzecz małéj wagi, ale przyznasz że i tych tam dziesięciu tysięcy talarów tracić nie warto a które nam ze spadku nareszcie

przypadły. Wystaw sobie, ów kuzyn z Poznańskiego wzywa mnie pod utratą spadku—abym natychmiast przybywał go odebrać i kwitować, ale to nie tracąc ani chwili... Chcą się układać, płacić, byle co najprędzéj skończyć i widać im to na cóś potrzebne. Wszystkie głowy i półgłówki należące do spadku, zjeżdżają pozajutro do Poznania. Ja więc albo dziś wieczór lub jutro rano muszę wyruszyć. Zlituj się, natychmiast dawaj mi plenipotencyą!

— A gdzież ten list? spytał Jakub.

— List? ten list? a! list! I pułkownik zaczął go szukać po kieszeniach. Gdzież u licha list? Odebrałem go od listonosza w ulicy, możem nim i cygaro zapalił!

Pułkownik udawał skłopotanego doskonale.

— Zgubiłem go oczewiście, rzekł w końcu, ale mniejsza o to.

— Jakto mniejsza? tam była przecież wskazówka do plenipotencyi.

— Ogólną mi dasz! co u kata! czy nie uwierzysz?

— Ale bo któż papiéry do interesów odnoszące się gubi? rzekł Jakub.

— Jakto kto gubi? ja gubię! i to zawsze,—odparł Wiktor—czy do téj pory o tém nie wiesz? To stała moja metoda pozbywania się interesów razem z papiérami.

Jakub ramionami ruszył.

— I tak ci pilno w takiéj chwili o te 10,000?

— A! przepraszam! tylko co łajałeś mnie za papiéry zgubione... otóż ja cię połaję za to wyrażenie... niéma lichych interesów i małych piéniędzy.

— Masz słuszność—ale porzucisz mnie gdy ja ciebie tak potrzebuję...

— Bardzo mi żal, wierz mi, przecieżeś nie dziecko.

— Nielitościwy jesteś, szepnął Jakub—mnie tak dobrze czuć cię przy sobie w złéj chwili!

— Powrócę, kochany Jakubie, natychmiast... porwę tylko talary i... nazad...

— A! niechby je tam porwało! dodał Jakub.

— No! ale taki pojechać trzeba—rzekł Wiktor. Radgosz poczciwy przy tobie miejsce moje zastąpi, żebyś znów zbyt osamotnionym nie był... ściskam cię, całuję i jadę.

— Wiész że cię nie poznaję! dodał Jakub.

— A! siła złota! gorączka złota! rozśmiał się pułkownik... rodzi się chciwość... jestem niecierpliwy żeby już pochwycić ten spadek. Dzieciństwo, przyznaję—ale—tak jest!

Pułkownik tegoż wieczora znikł z Gdańska.

EPILOG.

Nie chcielibyśmy już nadużywać cierpliwości czytelników, i widziémy potrzebę dokończenia naszego opowiadania. Wedle ścisłych sztuki prawideł, moglibyśmy jeszcze, na zupełne usprawiedliwienie, odmalować im żywemi barwami obraz cichéj wyspy skalistéj, rzuconéj u brzegów jak wysypana ręką morza prastarym ludom mogiła... moglibyśmy przejść wzdłuż ten uroczy kąt, na którym Hunny, Normandowie, Słowianie—i germańskich zdobywców kości śpią w starych grobowiskach; gdzie jeszcze Światowid króluje a kamienne i bronzowe siekiéry o pracy i boju plemion niepoliczonych rozpowiadają...

Moglibyśmy odsłonić zżółkłe karty Helmoldowskich powieści i odwzorować żywot nowych osadników na tych wybrzeżach, którzy podania cudze i cudze pamiątki sobie przyswajają...

Stanęlibyśby na tych komorach skalistych nad morzem, poszlibyśmy w bukowe lasy święte... na wierzchołki wzgórz z których oko obejmuje wyspę całą i morze i ludy dalekie. Stąpając po gruzach, bawilibyśmy się odgadywaniem czy Hunny, czy Celtowie, czy Skandynawi te mury wznosili, czy to były hradyszcza, czy świątynie?

Ale cudne północne krajobrazy Rugii, już dające przedsmak dzikiéj natury skandynawskiéj, niejednegoby zniecierpliwiły,—nie jedenby tupnął nogą, żądając kategorycznéj odpowiedzi, czy nareszcie Numa poszła za Pompiliusza.

Niestety! to naiwne pytanie jakaż to zjadliwa krytyka naszych powiastek, których zawsze tematem jest wstęp do życia a nie samo życie, jak słusznie uważał Zacharyasiewicz—chociaż jesteśmy u końca i śpieszno nam do niego, musiémy jednak jeśli nie rozgrzeszyć, to wytłumaczyć siebie i całe pokolenia protoplastów romansopisarstwa. Dla bardzo ważnych powodów powieść która szuka ideałów i poezyi, wybiéra chwilę życia, w któréj mniéj jest rzeczywistości smętnéj i prozy powszedniéj; człowiek z kolebki wynosi jakąś woń świéżą... jest jakby pod wrażeniem innego świata... powoli nudziarz ten nasz, świat ziemski, ściéra z niego barwy niebieskie i napawa go swemi wyziewy.

W walce ze życiem i światem
Nikt przyszłości nie jest panem...
Z rąk Bożych wychodzim kwiatem—
Świat w grób nas rzuca—łachmanem...

A o łachmanach jak o umarłych—*nihil*.

Dla téj odrobiny poezyi, powieść wybiéra epokę co nią jaśnieje...

Wracamy do Pompiliusza...

Ostatni list Teofila napisany do Klary tak był przejęty tęsknotą, znużeniem, boleścią, i zdawał się zapowiadać jakieś plany nowe, dziwaczne, może oddalenie się na drugą półkulę, że postanowiła pejechać sama aby go wyrwać rozpaczy a życiu powrócić. Myśl tę gorącą powierzyła Karolinie, upoważniając ją aby o tém napomknęła Wudtkemu... Tak ułożył się prędko plan podróży, który Klara umiała wykonać z właściwą sobie energią. Wudtke dodał im do podróży starego Zerkę, który znał wyspę doskonale. Na drugi dzień, gdy Jakub dopiéro postrzegł ucieczkę córki, była już ona wieczorem na wyspie... Musiano przenocować w Putbus, Zerka poszedł na zwiady.

Wyszukanie rybaka przybysza łatwém nie było, przemknął się bowiem umyślnie bez śladu. Listy oddawane na poczcie w Ankonie, wskazywały że na północnym cyplu wyspy przebywać musiał w jednéj z małych osad rybackich u brzegów. Trzeba więc było całą przebiedz wyspę aby się tam dostać. Nazajutrz najęto powóz i puszczono się w drogę brzegiem morza. Zerka towarzyszył kobiétom. Klara jechała zamyślona, drżąca, niespokojna. Jakkolwiek mocne miała postanowienie podać rękę Teofilowi i dowieść mu że zapomniała przeszłości, myśl spotkania się z nim, piérwszego widzenia, piérwszych wyrazów, które wyrzec mieli, napełniała ją jakąś trwogą. Cofać się nie czas było i nie chcia-

ła, a niewieścia obawa ogarnęła ją w chwili stanowczéj...

Kilka razy spocząć musieli. Obie kobiéty przypatrywały się morzu i poważnym liniom tego krajobrazu, tak wybitnie północne noszącego cechy. W Witle... mieli już w dalszą drogę się puścić, gdy Klara siedząca w powozie krzyknęła. Na głos ten, idący w prostéj sukmanie wyrobniczéj człowiek z wiosłem na plecach, podniósł głowę.

Byłto Teofil. Klary tylko oczy poznać go mogły. Ów piękny młodzian, wyglądał na ogorzałego od wiatrów morskich człowieka; wychudły był, blady, a wyraz twarzy dawniéj łagodny, przybrał jakąś dziką niemal surowość. Strój wieśniaczy dowodził że istotnie w trudzie codziennym, łamiąc się z ciała bólem, chciał zwyciężyć moralne cierpienie, zapomniéć, ale twarz znękana, czarna, oczy zagasłe świadczyły że walkę tę mógł przypłacić życiem.

W mgnieniu oka Klara wyskoczyła z powozu i stanęła przed nim, wyciągając mu dłoń z uśmiéchem łagodnym, ze łzą na powiece. W téj chwili obawa która jéj towarzyszyła w podróży, zupełnie ją odeszła, uczuła się silną i mężną.

— Teofilu, zawołała—gonię ja za tobą, kiedy ty na moje wołanie i prośby wrócić do mnie nie chciałeś... przychodzę sama, bez wiedzy ojca, zrywając z ludźmi... aby cię zmusić do przejednania. Sama powrócić już nie mogę... Przyrzekłam ci być

twoją—dotrzymuję obietnicy, bom ci ślubowała na troski życia, na trudy i boleści, nie na słodycze i wczasy...

Teofil stał zdumiony, drżący... i nie mówiąc nic, padł na kolana, całując jéj rękę.

— Klaro moja, rzekł po chwili przychodząc do siebie ze zdumienia—ja nie powinienem przyjąć twéj ofiary, bom jéj nie godny.

— Teofilu, to była chwila szału...

— Krew! krew! rzekł z cicha, spuszczając głowę młody człowiek.

— A moje łzy! przerwała Klara, nie sąż téż co warte? Skazujesz mnie na nie... Jam przysięgła być twoją i pozostanę na całe życie samą... wdową jeśli mnie opuścisz... Dźwignij się duchem Teofilu, przeszłość wynagrodzić można i potrzeba! ludzie ci ją przebaczą, masz w duszy czém się opłacić.

Nie można było téj rozmowy wśród ulicy przedłużyć—zwrócili się więc ku morzu wszyscy, pani Wudtke szła w dali za nimi.

Któż wątpi że Teofil oprzéć się nie mógł szczęściu? Klara wspomniała mu że jego ojciec zezwala na wszystko, ale nie powiedziała nic o swoim. Chciała natychmiast razem z sobą wziąć narzeczonego do Gdańska i paść z nim do nóg Jakubowi. Ale Teofil błagał i prosił aby mu oszczędziła wstydu pokazania się w rodzinném mieście z tą plamą krwi, którą czuł zawsze na sobie. Na kilka jeszcze

lat przynajmniéj chciał się oddalić od Gdańska i przebyć je w ciszy, wśród kraju zupełnie obcego. Klarze trudno było znowu opuścić ojca, ale spodziéwała się go nakłonić aby razem z nimi udał się do Włoch, do Anglii, do kraju któryby sam wybrał... Ułożono się wreszcie o to iż Teofil nie pokazując się nikomu, wieczorem niepostrzeżony powróci do Gdańska, i razem z Klarą i starym Wudtkem, pójdzie do Jakuba, aby go przebłagać i skłonić do projektów Klary.

Nie łatwo wszakże przyszło biédnéj niewieście wymódz na Teofilu posłuszeństwo zupełne; młody człowiek padał przed nią, ale czuł się tak upokorzony przeszłością że nawet dla niéj nie mógł uczucia wstydu zwyciężyć.

— Nie chcę się narażać nawet na to położenie, rzekł w końcu, bym prześladowany wejrzeniem, dotknięty słowem, podrażniony—zapomniał że istotnie występnym jestem. Człowiek w takim wypadku oburza się, traci poczucie sprawiedliwości, ujmuje się w duszy za sobą i stara uniewinnić...

Już nocą na dwóch wozach, bo drugi Teofil i Zerka zajmowali, puścili się nazad do Putbus, szczęściem dla nich ludzie byli miejscowi, noc pogodna i księżyc w pełni.

Stanąwszy przed Fürstenhofem... Klara wysiadając poczuła że jéj ktoś rękę podaje... zapach cygara przypomniał jéj mimowolnie stryja, podniosła

głowę... Milczący Wiktor stał przed nią, z cichém—dobry wieczór! Rzuciła mu się na szyję.

— A! ty nieoszacowany, drogi mój, złoty stryjaszku...

— Znalazłaś zgubę? spytał Wiktor, jest Teofil? Klara wskazała ręką.

— Ojciec! mów mi o ojcu!

— Ojciec zażalony, zgryziony! biédny nad wyraz, zostawiłem przy nim Radgosza... Gdy wrócisz, przebłagamy go...

Wieczór spłynął jakoś smutnie... Teofil był milczący... Klara zmęczona wysiłkiem, Wiktor miał wprawdzie wielką ochotę dodać im swéj niewyczerpanéj wesołości, ale studziły go trwożliwe ich wejrzenia i posępne czoła.

Nazajutrz rano wszyscy razem puścili się napowrót—w drogę. Wiktor także nie wprzódy miał się pokazać Jakubowi aż razem z Klarą, Teofilem i Wudtkem... Syn przybywszy do Gdańska wprost z nimi udał się do bankiera, który go przyjął bez wymówek, bez słów, uściskiem i łzami. Klara u pani Wudtke doczekała do późnego wieczora, pułkownik wysłał do Radgosza kogoś aby o danéj godzinie był w kamienicy przy Długim Rynku. Chwila ta oczekiwana nie bez obaw... nadeszła nareszcie. Jakub był sam w swoim pokoiku z Radgoszem, który słowa z niego dobyć nie mógł, gdy stąpanie po wschodach i w sieni nagle wstrzęsło Jakubem,

przeczuł on raczéj niż domyślił się córki i kogóś więcéj. Wstał nagle z krzesła, oczy wlepił we drzwi, i bez tchu czekał... otworzyły się drzwi, Klara prowadząc Teofila za rękę, weszła drżąca ale pewna serca ojcowskiego, klękła przed nim... podniosła głowę...

— Ojcze najdroższy, pobłogosław mi—to mój mąż... ten lub nikt inny! Ojcze, łzami zmył winę swoję, nie bądź przeciwnym, a nadewszystko nie bądź z tego nieszczęśliwym, z czego ja będę szczęśliwą, bo mi twoje szczęście téż do mojego potrzebne.

— Stało się, rzekł Jakub wzdychając... Klaro moja... ale ty mnie nie opuścisz??

Przystąpił stary Wudtke, a naostatek Wiktor.

— Jakto? powróciłeś? zapytał zdziwiony Jakub.

— Wróciłem, bom niedaleko jeździł, odpowiedział pułkownik, późniéj się to wyjaśni.

Nie mógł się pan Jakub sprzeciwiać, pojednał się z Teofilem, dobre jego serce ujęte zostało istotnym żalem i wyrytą na twarzy młodego człowieka boleścią.—Tegoż wieczora po cichu ułożono się wyjechać nie daléj jednak jak nad brzegi Renu, gdzie kilka lat mieli młodzi państwo zamieszkać.—Ślub odbył się prywatnie w domu i w małém kółku domowych przyjaciół i rodziny.

Wypadki te wszakże wpłynęły bardzo nieszczę-

śliwie na losy domu w Długim Rynku, który nie zamieszkany opustoszał. Stryj Wiktor nie chciał tu sam zostać, pojechał z Jakubem i młodém małżeństwem w okolice Bonn, i pocieszał się tu wspomnieniami lat akademickich, polowaniem, wesołém towarzystwem o które mu łatwiéj było niż w Gdańsku...

Teofil miał zawsze wstręt do zamieszkania w mieście rodzinném, postanowiono więc sprzedać kamienicę i willę, zachowując tylko zawarte w niéj pamiątki, a rodzinę Paparonów w weneckim domu zastąpili Anglicy, i przerestaurowali go tak zręcznie na gładkie pudełko w stylu XIXgo wieku, iż teraz próżnoby go już szukać było w Gdańsku.

KONIEC.